SŁOWA PRAWDY

DLA

LUDU POLSKIEGO.

„Wszelki tedy, który słucha tych słów moich i czyni je, będzie przypodobion mężowi mądremu, który zbudował dom swój na opoce."
Ewang. S. Mat. VII. 24.

SŁOWA PRAWDY

DLA

LUDU POLSKIEGO



DRUKOWANE
POD OPIEKĄ
PRZENAJŚWIĘTSZÉJ MATKI BOSKIÉJ CZĘSTOCHOWSKIÉJ,
OPIEKUNKI POLSKI.
1848.

I.

Grobelny i Dudziak sprzedali swoją pszenicę na targu w Krakowie, i powracali sobie do domu na jednym wozie, bo droga była nienajlepsza; więc się był Dudziak doprzągł do swego sąsiada i na jeden wóz ćwierciońki pokładli. — Właśnie słońce zachodzić poczęło, kiedy za miasto wyjechali. Jasne promienie odbijały się o pozłacane kopuły kościołów Krakowskich, o miedziane dachy wysokich kamienic i oświecały wyraźnie te trzy mogiły, które są koło Krakowa, na pamiątkę Krakusa, Wandy i Kościuszki, usypane.— Najwyższa z nich jest mogiła Kościuszki; to choć na ziemi już się ciemnieje, na niéj jeszcze promienie słoneczne goreją, jakby uczcić miały chwałę tego Polski bohatera.

Grobelny z Dudziakiem obrócili się ku miastu, i nie mogli się nacieszyć, bo im się zdawało, jakby wierzch miasta był ze szczerego złota i srebra; tak się wszystko błyszczało; — a na mogile Kościuszki

jakby kto wielki ogień rozpalił. — Jechali sobie wolno, i przez niejaki czas oglądali się ciągle na ten wspaniały widok; — potem Grobelny podciął szkapy, i ruszyli kłusem ku domowi.

Milczeli z razu oba, aż nareszcie odezwał się Dudziak: — Mój Boże! co to jednak musiał być za dobry i pobożny król ten Kościuszko, kiedy mu cały Naród, jakeście mi tam w mieście powiadali, tak wysoką naniósł mogiłę! — Jać ci mówiłem, odpowie Grobelny, że to nasi Ojcowie i nasze Matki i wszystko co wtedy żyło, bo i ja tam byłem, tę mogiłę mu usypało; ale kto ci to powiedział że on był królem? — Nie był królem? — rzecze zdziwiony Dudziak, a toby też o nim tak wielkich rzeczy wszędy nie rozpowiadano, i takiejby mu pewnie mogiły Naród nie sypał!

Wierz mi sąsiedzie, odpowie Grobelny, choćby kto nie wiedział, toby od razu zmiarkował, żeś nie stąd rodem i że niedawno musisz w naszych stronach zamieszkiwać; bo tu niema małego dziecka coby o Kościuszce nie wiedziało bez mała tak dobrze, jak o swoim ojcu. Kogo się spytasz, każdy ci powie, że on nie był ani królem, ani książęciem, ani żadnym tam wielkim panem z panów, ale za to był naszym obrońcą, był naczelnikiem całego wojska polskiego wtedy, kiedy to nasi porwali się do pik, do kos, do cep, do kłonic, i daléjże wyganiać Moskala; — oj było to, było!

Wtedy wszystko, co zdrową rękę miało, garnęło się i stawało w szeregach: pan czy nie pan, mieszczanie i urzędnicy, gospodarze i parobcy; — każdy

leciał, czy w kożuchu, czy w żupanie, czy w kamzeli, czy w katanie, i nuż tedy rąbać, siec, kłuć, mordować Moskali. A każdy szedł rad i kropił po Bogu, bo poznał, co to moskiewskie rządy; więc też już potem nie żałował choćby ostatniéj kropli krwi, byle tylko wypłoszyć nieprzyjaciela.

A tu jeszcze mieć takiego wodza, jak Kościuszko, co to z każdym się obszedł, jakby ze swym rodzonym bratem, — a jenerał taki sławny, że jak się Moskale dowiedzieli, że to on stawa na czele Polaków, już owe kacapiska drżały ze strachu. Nasza wiara dokazywała cudów męstwa i waleczności; gniotła a wyganiała to plugawe robactwo z kraju, ale — jakoś wtedy Pan Bóg był zagniewany jeszcze na Polskę: Kościuszkę Moskale zabrali do niewoli, gdy upadł w bitwie Maciejowickiéj, — i źle się skończyło. Został on późniéj wypuszczony z niewoli, ale nie mógł patrzeć na ucisk i gwałty moskiewskie i wywędrował do dalekiego kraju, do Szwajcaryi. Tam umarł opłakując aż do śmierci nieszczęśliwą dolę swojego Narodu. Naród zaś polski, czcząc w nim wielkiego wodza i Polaka, co gorąco umiłował kraj polski i Lud polski, sprowadził ciało jego do Krakowa, pochował obok królów polskich, — i garściami ziemię znosząc, taką mu na pamiątkę usypał wysoką mogiłę.

Cudownych, cudownych rzeczy wszędy nasi dokazywali z nieprzyjacielem, — a on się zewsząd wynosił i umykał co miał siły. Nie tak to, mój Boże, było jak teraz, co — gdzie nogą stąpisz, wszędy cesarskiego, austryackiego plugastwa co

nie miara. A wszystko się puszy i potrąca naszych, jakby ta nasza święta ziemia już od wiek wieków do nich należała.

Alboć i u nas, rzecze Dudziak, tam w Poznańskiém jest lepiéj? Prusaka wszędy, jak świerszczy w piekarni. Wszędzie się ciśnie, wszędy w drogę włazi, i za to, że się naszym chlebem, naszą krwawą pracą żywi, jeszcze się wydrwiewa z naszéj niedoli. Jużem Bogu Wszechmogącemu dziękował, kiedym tu za ojcem do was ciągnął, że przecież raz człowiek odetchnie; — a tutaj szelmy cesarscy tak samo i jeszcze gorzéj prawie dokazują, niż tam Prusaki.

I westchnęli sobie obadwa.—Słońce już było zaszło, więc w pobliskiéj wsi dzwonili na pacierze. Grobelny dojeżdżał też właśnie do Bożéj męki stojącéj nad drogą; przytrzymał konie, i uchyliwszy kornie czapki przed Zbawicielem świata, odmówił, pospołu z Dudziakiem, pobożnie trzy pozdrowienia anielskie.

Gdy już byli niedaleko domu, rzecze Grobelny: Oto wiesz co, sąsiedzie? bo my, to tak tylko z trzeciego wszystko wiemy; ale tu o granicę mieszka nasz kochany Grzegorz. Insi go tam nazywają Grzegorzem z pod Racławic, bo był w bitwie racławickiéj pod Kościuszką, i zdobywał armaty moskiewskie, a my go tu sobie nazywamy: poczciwym Grzegorzem. Jutro, da Bóg doczekać, pójdziemy na mszę świętą, to do niego musimy wstąpić. On o wszystkiém, co się u nas przed laty działo, najlepiéj wie, bo sam znał Kościuszkę, jak oto ja ciebie, — i bił

się wiele razy za nasz polski kraj, — więc on też i o Kościuszce bardzo wiele wie, i zna wszystko w Polsce, jakby swoje bydło w oborze. Przeszłéj zimy rozpowiadał nam we wieczory rozmaite historye, jedne ciekawsze nad drugie, o samych polskich rzeczach. To już człowiek ani do karczmy nie wstępował, tylko zawsze chodził do Grzegorza, a słuchał; — nie raz się wszyscy rozpłakaliśmy, kiedy on nam począł powiadać, co się to w tym naszym kraju działo. Człek się tak do tego Grzegorza poczciwego przywiązał, że nam wszystkim wielce żal było, kiedy dłuższy dzień nastawał, bo wieczór był krótki i nie miało się już czasu od pracy do słuchania ciekawych historyj. Ale Grzegorz nam obiecał, że byle go Bóg przy zdrowiu zachował, to nam téj zimy znowu będzie wszelakie rzeczy opowiadał, które nam się bardzo przydadzą.

A czemuż nie? odrzekł Dudziak; ja zaraz idę, jeżeli wy do niego pójdziecie, bo bardzo rad słucham. Nie raz przecież człowiek przez całą noc siedział a słuchał, jak baby przędząc albo drąc pierze razem, rozmaite gadki opowiadały.

Nazajutrz była niedziela. Grobelny zawołał sąsiada, i obadwa pospieszyli do Bożego kościoła. — W kościele kapłan wstąpił na kazalnicę, i w rzewnych słowach miał kazanie do ludu. Jakże ślicznie odzywał się o tych świętych Pańskich, co na naszéj polskiéj ziemi żyli i całe życie w gorliwości i

pokorze dla Narodu polskiego pracowali : o świętym Stanisławie, biskupie krakowskim; o świętym Kazimierzu; o świętym Janie Kantym; o błogosławionéj Jadwidze, téj królowéj polskiéj, co tyle dobrego dla Polski zrobiła, co Litwę ochrzciła, co tyle uczynków miłosierdzia i litości biednym ludziom pełniła, i Bogu wiernie służyła.

Rozczulił się pobożny kapłan, kiedy mówił o tych polskich świętych, co piersią swoją bronili kraju i religii świętéj od napadów barbarzyńskich. Jezus Chrystus, zbawiciel nasz, mówił świętobliwy pasterz, odkupił rodzaj ludzki krwią swoją przenajświętszą, i przeznaczył go do używania swobody i wolności; kazał się wzajem miłować i wspomagać, a nie dręczyć i nie nakładać na ludzi gnębiącego jarzma niewoli. Święte więc i błogosławione imiona patronów naszych, którzy wypełniając nakazy boskie odganiali od granic nieprzyjaciela; — Bóg dobrotliwy przyjął ich za to do chwały swoiéj, i zgotuje światłość wiekuistą każdemu, który pełniąc wolę bożą, odda zdrowie i życie na usługi kraju swego.

Mówiąc te słowa, obrócił się kapłan ku stojącéj na boku ławce, na któréj siedział starzec siwy jak gołąbek; — drewniane szczudło zastępowało mu utraconą nogę, — na twarzy, prócz zmarszczków starości, widać jeszcze było znaki od szabli. Starzec ten widząc, że kapłan do niego stosuje te ostatnie słowa, ukląkł, uderzył się w piersi, i łzy radości oblały oblicze jego. Wszystkich oczy obróciły się na Grzegorza, bo to on tam siedział, i wszystkim

się z radości na łzy zbierało, że to ksiądz proboszcz takie święte słowa miał do ich poczciwego Grzegorza.

Po mszy świętéj, Grzegorz otoczony kilku synami i wnukami, którzy go pod ręce wziąwszy prowadzili, powrócił do domu. Dudziak ze swym sąsiadem wstąpili po nabożeństwie do karczmy, bo każdy z nich zabrał był po kawale gęsi i chleba, więc się przez południe w karczmie posilili. Dudziak co niedzielę i święto chodził jak należy do kościoła, ale nigdy jeszcze nie widział był starego Grzegorza, bo to starzec już słaby na siłach, więc tylko kiedy było dosyć ciepło i pięknie na dworze, wybierał się do kościoła, a zwykle siedział w domu, w swojém skurzaném krześle i tam przed ołtarzykiem ładnie ustrojonym zapalał sobie świece i modlił się.

Po południu, pobrał się Grobelny, a wziąwszy z sobą Dudziaka pobiegł do Grzegorza. Weszli w podwórze i z daleka przy sadzie ujrzeli mieszkanie jego. Płoty z desek szczelnie zbitych opasywały całe gospodarstwo; w podwórzu czysto i porządnie: pługi i wozy w rząd ustawione, na boku stajnie z oborą, drewniane ale schludne. Wszędy chędogo umiecione, — mierzwa na jedno miejsce głębsze zgarniona. Właśnie też bydło i konie u studni pojono. Dudziakowi aż się serce śmiało, że bydełko takie ładne i wszystko gospodarstwo

w tak dobrym było stanie; dziwił się że stary Grzegorz tak ślicznie gospodaruje; a Grobelny rzekł mu na to : łaska to boska przymnaża wszystkiego! Poczciwemu Grzegorzowi rok w rok lepiéj się w gospodarstwie wiedzie, bo mu iście sam Pan Bóg pomaga za to, że cały jego żywot uczciwy i sprawiedliwy, że przez połowę życia w szczerości serca pracował kosą i szablą na wolność naszego kraju, a przez drugą połowę żyje bogobojnie a pracowicie przy roli, — wychowuje dziatki i wnuki w bojaźni bożéj i w kochaniu naszego kraju.

Weszli nareszcie do mieszkania Grzegorza. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków Amen! odpowiedziała cała gromadka, co się w izbie znajdowała.

Jużem też myślał, rzecze Grzegorz siedzący w swojém skurzaném krześle do Grobelnego, że nie żyjesz, bo już od parę niedziel czekałem na ciebie i wyglądałem cię naprożno!

Prawdać, odpowie Grobelny, żem dawno u was nie był. Kobiecko mi chorowało, więc choć przyszedłem do kościoła, musiałem się zaraz pobierać ku domowi. Ale jużem też bez was, miły Grzegorzu, nie mógł dłużéj wytrzymać. Przyszedłem więc i przyprowadziłem do was mojego sąsiada, co to niedawno do nas przyciągnął. — A zkąd to zapytał Grzegorz. — Z Poznańskiego, odpowie Dudziak. — I cóż cię z tak daleka tu do nas przywiodło? — Znaliście pewnie mego stryja, odpowie Dudziak, ten odumarł; więc mój ojciec tu przyciągnął objąć gospodarstwo, a niedawno ja za nim przybyłem.

W Poznańskiém zaś wyprzedaliśmy się ze wszystkiém.

I jakże ci się tu z nami podoba? zapyta Grzegorz; pewnie cię bierze tęga za dawném siedliskiem? — Prawda, rzecze Dudziak, że człowiek tak jeszcze całkiem nie przywyknął do obcych ludzi, ale mi się tu wszelako podoba, bo i ziemia urodzajna i tak jakoś tu troche rzeźwiéj, niż tam u nas było.

Jakżeż, Grzegorzu? przerwie Grobelny, dotrzymacie nam słowa? — A to w czém? odrzecze starzec. — Kiedyśmy przy końcu przeszłéj zimy żałowali, że już dłużéj nie będziem mogli słuchać waszych opowiadań, przyrzekliście nam, że da Bóg doczekać na przyszłą zimę, znowu się na długich wieczorach uczciwie nagadamy i znowu nam o wszelakich rzeczach rozpowiadać będziecie.

Wiedz, moje dziecko, rzecze Grzegorz, żem dla tego najbardziéj za tobą tęsknił, bo jak tylko jesień i dni dłuższe nastały, bez ustanku mnie moi męczyli, żeby im opowiadać. To i teraz widzisz, że ich tu dosyć się zeszło: ale ja ich zawsze wstrzymywałem, pókibyś ty, mój Grobelny, nie przyszedł, bo wiem, żeby ci markotno było, gdybyś nie miał słyszeć tego co i drudzy.

Niech wam to Bóg nagrodzi, miły Grzegorzu, że tak o mnie pamiętacie; bo prawdę powiedziawszy, krzywda by mi była. To mówiąc Grobelny pochwycił ławę stojącą u stołu, postawił ją naprzeciwko Grzegorza i zasiadł na niéj; przy nim Dudziak, drudzy ze wsi, co ich tam było z gospodarzy,

parobczaków i chłopców do dziesięciu i reszta domowa siadali gdzie kto mógł.

Przeszłéj zimy, Grzegorzu, więcéj nas to troche było! rzecze jeden z parobczaków. Wojtka nie ma, Stacha nie ma! Dałby Bóg litościwy, żeby rychło do nas powrócili; oj! byłybyście im rade, Kasiu albo ty Jagusiu!

Pewno, żebyśmy im były rade, zaszczebiotała Jagusia. Lepiéj przecież aby powrócili, niż że tam mają jakby złodzieje jacy za kratami siedzieć. — Na te słowa wszyscy jakoś posmutnieli i ucichli.

Stało się! przerwał nakoniec Grzegorz. Pan Bóg dodał jeszcze jedną próbę do tylu krzyżów, które już był na kraj nasz nieszczęśliwy zesłał. Rwaliśmy się, dzieci kochane; — myśleliśmy, że to już po ostatni raz i przecież że tą razą człowiek swobodnie odetchnie, po tylu leciech niewoli i obcego tyraństwa. Stało się! jęczymy na nowo, i na nowo musimy błagać Ojca niebieskiego, aby nam dopomógł w tym upadku, i litościwém okiem spojrzał na lud pognębiony.

Tu stary Grzegorz złożył pobożnie ręce, a obróciwszy się ku swemu ołtarzykowi, gdzie był Zbawiciel rozpięty na krzyżu, i Najświętsza Matka bolejąca, tak się na głos modlił: Dziękuję ci Panie, żeś przez łaskę swoją najświętszą tę oto wierną gromadkę uchronić raczył, od rąk nieprzyjacielskich i obrzydłéj niewoli; — dziękuję ci Boże za to, że z nimi w tym czasie niedoli pozwoliłeś mi się pocieszać w ostatnich może godzinach mojego życia; — ale proszę, błagam cię, Boże Ojcze wszech-

mogący, któryś wywiódł lud żydowski z niewoli egipskiéj, ukróć dni naszéj niewoli! Zbawicielu świata, któryś Łazarzowi za jego bole i poniewierkę zgotował wieczne wesele w niebie, a okrutnego brata skarał mękami piekielnemi,— zgotuj zbolałéj i sponiewieranéj naszéj Polsce uwolnienie od nieprzyjaciela, a okrutnych gnębicieli ukarz według zasłużonéj kary a sprawiedliwości Twojéj świętéj.

Nastąpiło milczenie. Potém ozwał się Grobelny: Bóg jest litościwy,— on nie daruje krzywd, co nam je uciemiężyciele Polski wyrządzają. Chociaż my na teraz nie mamy nic prócz odważnego serca i mocnéj pięści, a oni mają i armaty i karabiny i pałasze,— to jednak zrządzi tak Pan Bóg, że się na naszéj ziemi już długo żywić i dokazywać nie będą. Bo w cóżbyśmy się nareszcie obrócili? Teraz jeszcze dosyć jest między nami ludzi uczciwych i kochających kraj swój, ale jak ta nasza niedola dłużéj potrwa, to wszystko pójdzie na psa.

Już co w tém, to wielką prawdę mówisz, rzecze Grzegorz, bo co chwila gorzéj się staje i co chwila więcéj naszych ludzi się psuje, co chwila więcéj ludzi naszych daje się oszukać i otumanić sługom królewskim albo cesarskim. Pamiętam ja, co to było za Kościuszki, za Napoleona, albo i podczas téj Rewolucyi w Warszawie! — Jeżeli kto spieszył ażeby się stawić w szeregach polskich i bić nieprzyjaciela, to go każdy z naszych przyjął czy to na nocleg, czy na wypoczynek — ugościł, przewiózł kawał drogi! A jeżeli miał zdrowie i siły, sam zaraz szedł z nim do szeregów polskich. Kiedy

się z Poznańskiego przemykali przez granicę na Rewolucyę do Warszawy, wtedy ich każdy chłop polski przez Prosnę, albo przez Powidzkie jezioro na drugą stronę przewiózł i jeszcze uczęstował. A kiedy mu kto chciał płacić za to, to bardzo był markotny człowiek polski, że mu za to chcą płacić, co on z dobrego serca i z dobréj woli uczynił. Cóż dopiero powiedzieć o tém, jak się nasi w saméj Rewolucyi zakazywali dzielnie i walecznie! Pewnieście już sami o niejednym z naszych słyszeli, jak to o tym Piotrze Gałczyku z Krzemieniówki, com tu o nim bodaj nie raz już komuś powiadał.

To nieboszczykowi Andrzejowi powiadaliście o nim; odezwała się Balbisia; z tych tu jeszcze żadnemu!

Jeżeli chcecie, to i wam o nim powiem, rzecze Grzegorz.

Powiedzcie nam, powiedzcie! ozwali się wszyscy, boć to człowiek zawsze rad słyszy o swoich.

Grzegorz tak mówić począł:



II.

Na kilka lat przed Rewolucyą ożenił się był Piotr Gałczyk z córą gospodarską z Umiązek, i dostawszy z nią kawałek posagu, osiadł na małem gospodarstwie. Nie wiele mu własne gospodarstwo przynosiło, więc się często najmował do dworu. Nie było chłopa lepszego do kosy, jak on;—w całéj okolicy nie było lepszego przodownika. To też czy żniwo pańskie, czy sprząt siana, czy omłot,— wszystko szło piorunem.

Młody dziedzic, nie baczę już dobrze jak się zwał, umiał cenić jego skrzętność i pracowitość i lubił go bardzo, bo Gałczyk jak był tęgi do roboty, tak też uczciwy między ludźmi. Więc często gęsto odebrał od swego dziedzica złoty, dwa i kilka złotych więcéj, niż mu się od roboty należało, często też wiertel owsa albo płachtę koniczyny.

W Warszawie podtenczas wybucha Rewolucya. Pan zabiera z domu co miał szabel, fuzyj, pistoletów i szykuje się do wyruszenia, a zwoławszy

ludzi swoich ze wsi, rzecze do nich: Dzieci moje kochane! nadeszła nareszcie godzina, w któréj zrzucimy jarzmo moskiewskie! — W Warszawie już zaczęli, więc i nam trzeba wyruszyć na ratunek naszéj Ojczyzny. Kto z was ma zdrowie i chęć gotową chwycić za broń i iść na nieprzyjaciela, niechaj stanie po prawéj stronie, a kto nie ma chęci, niech stanie po lewéj stronie! Kilka tylko kalek i starców stanęło na lewéj stronie, reszta na prawéj. Z pomiędzy młodych jeden tylko się znalazł, co nie przeszedł całkiem na prawą stronę do ochotnéj gromady, ale stanął na samym środku i łza mu się w oczach pokręciła.

Przez Boga żywego! cóż ci to Piotrze? zawołał pan. Ty byś to chciał w domu pozostać?

Panie! rzecze ze łzami Gałczyk, niech ręce i nogi połamię, jeżelim nie gotów iść z panem każdéj godziny; ale, panie! nie dziw, że zamiast radości łza mi w oku siedzi. Żona mi dziś zległa; dziecko niezdrowe, — a ona może jutro skończy. Lecz dziéj się wolo! wielkie jest miłosierdzie Boże! Nie zostanę doma; pójdę z wami! — Zmiękczyły te słowa wszystkich; otoczyli go i najprzód młody dziedzic, a potém drudzy go ucałowali. — Nie zginie kraj, zawołał dziedzic, w którym się tacy znajdują ludzie jak nasz Gałczyk!

Przed wieczorem wszyscy wyruszyli ku Warszawie. Kiedy już kilka mil od domu byli, odezwał się pan do Piotra: Bądź dobréj woli! nie zapomną ludzie o twoim chwalebnym postępku i o twojej kobiecie nie zapomną. Teraz już kobieta

twoja w moim pokoju leży—doktór do niéj przyjechał, i matka moja ją pielęgnować będzie, jak własną córkę.

Panie! niech ci Bóg niebem za to wynadgrodzi!

Mnie?—nie, mój Piotrze! tyś uczynił twoją powinność względem Matki Ojczyzny, — ja wypełniłem też tylko święty obowiązek względem twéj kobiety. Zaczém wyruszyliśmy, prosiłem matki, żeby twą żonę wzięła do dworu. Matka moja przyrzekła mi to wszystko dla twéj kobiety uczynić, coby dla własnéj córki uczyniła. Znasz pewnie moją matkę i wiesz, że dotrzyma tego, co przyrzecze.

Panie kochany! odpowie Gałczyk, nietylko nasza wieś, ale cała okolica zna ją z takich uczciwych i dobrych uczynków. Teraz oblicze zakłopotanego Piotra wypogodziło się, jak niebo wśród lata.

Przybywają do Warszawy. A tu, gdzie spotkasz kogo, to się śmieje, krzyczy, śpiewa i drwi sobie z Moskali, bo to już wtedy wypłoszono ich z Warszawy. Wszędy gwar; wojska jak pszczół, a samo polskie; to granatowe z białemi wyłogami, to z karmazynem na piersiach, to piechur, to ułan, a każdy pokręca wąsa. Warszawianki przymilają się do wiarusów polskich i jeszcze bardziéj ich nasadzają na Moskala. Iście jakby odpust jaki, tak było wszędy i gromadnie i wesoło.

Ale nie jeść to tylko i pić i śpiewać, bo niedługo słychać było o nadciąganiu wojsk moskiewskich; trzeba było wnet nadstawić i ręki i głowy. A więc marsz w pole! i niedługo Grochów, Dęby, Iganie,

Wawer, Ostrołęka, błonie Warszawy i tyle innych miejsc w Polsce trzęsły się od huku armat i karabinowego ognia. Pika, bagnet, pałasz i ta nasza kościuszkowska broń, ukochana kosa, powinność swoją sprawiały. Padało Moskali jak much o ziemię, — krew, jakbyś z cebrów lał, pryskała po naszéj świętéj ziemi. Na byczéj skórze by się nie spisało tylu czynów piorunowych a bohaterskich, jakie Polacy okazywali.

A wiecie co nasz Piotr zrobił? Oto przystał zaraz ze swoim dziedzicem do kosynierów; — a kosynier, to pewnie wiecie, że nieprzelewki, bo gdzie sięgnie, tam się już Moskal łba, ręki albo nogi nie doracbuje, — owoż to Piotrek też nie na żarty kosę wziął do garści. Kiedy do bitwy, to on niby do żyta w żniwa: jak się wysforuje, jak zacznie siec na prawo i na lewo, i wywijać i poszarpywać kosą — miły Jezu! na koniec świata byłby sobie drogę przez Moskali utorował. A dziedzic jego zawsze przy nim, a rąbie a bije! Ale daj go katu! Moskal, choć to liche kacapisko, jednak przecież nie z gliny ani z drewna. Więc też prawie za każdą razą po bitwie — kogo wiozą do lazaretu? już to pewnie tam Gałczyk z panem swoim. — Wiem! Kazimierz mu było imie; więc z Kazimierzem między drugimi na wozie. Żeby go żona była widziała, jak powracał z bitwy, to ze związaną głową, to ręką, to znowu z kulą w nodze, pewnieby się była niebogą rozpłakała. Jemu nieraz ból niezgorzéj doskwierał, a on za każdą razą tego tylko żałował, że nie będzie mógł od razu iść i kropić po swojemu.

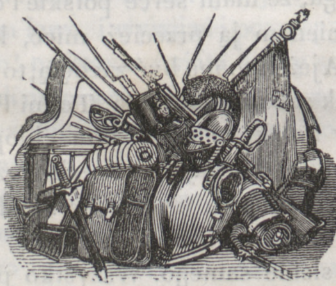
Miano o nich wielkie staranie. Podczas wielkiego postu, kiedy się do lazaretu dostali, pokupowała im ta Polka, która się pielęgnowaniu rannych Polaków poświęciła, *Gorżkie-Żale*. Śpiewał więc i nasz Piotr te Gorzkie żale z drugimi; ale jak tylko mu się rany podgoiły, już nie mógł wytrzymać w lazarecie i daléj znowu do szeregów.

Wiedzieli dobrze o naszym Gałczyku naczelnicy; to też kogo najprzód leczyć i pielęgnować? oto Piotra i Kazimierza. Kto ma dostać publiczną pochwałę? Piotr i Kazimierz. Komu przeznaczyć zaszczytne krzyże? Komużby, tylko Gałczykowi. Ale on tylko jeden mały krzyżyk przyjął, a kiedy mu znowu chciano dawać, mawiał: Nie przyjmę. Bo jeżeli to ma być nagroda za zasługę, czyż to w tém moja zasługa, że mam serce polskie i odwagę polską? Powinienem ją przecież mieć, kiedym jest Polakiem. A jeżeli to ma być zachętą, to mnie dosyć zachęty, jak zobaczę Moskala. To mi Polak, to mi prawdziwy Polak! to mi rozum chłopski; to mi serce uczciwe, kochające. Niechby żądał czego chciał, — z pod serca wydobyłbym i dałbym mu! On kochał kraj swój bardziéj niż żonę, niż dziecko swoje, niż siebie samego. Wszystko poświęcił za wolność Ojczyzny, co tylko miał najdroższego w świecie.

A wiecie, jak go też Moskale nazywali! Oto: *Lach-Czort,* a drżeli też przed nim, iście jakby przed złem jakiém. I mieli przed kim drżeć. Wysłali Moskale patrol; rozstawili pikiety; — oho! już wtedy Gałczyka w polskim obozie nie widnać;

Choćby był nie jadł, nie pił, nie spał, on nic! — on sobie cichym pęchem, to na raku, to na brzuchu, podciąga się pod pikietę i zaczem się Moskal spostrzeże, już mu zarzucił powróz na szyję: o ziemię! i gadaj szelmo hasło! albo cię na miejscu uśmiercę. A jak się wydobyło hasło, to się już wszystkich miało jakby w sieci.

Póki dobrze, to i dobrze! ale choć najtęższemu może się przydarzyć nieszczęście. — Owoż, kiedy raz........



III.

Ktoś zapukał do chaty Grzegorza. Balbisia poszła otworzyć. I kto wchodzi? Oto ksiądz proboszcz. — Pan Bóg z wami, miły Grzegorzu i wy mili parafianie! — Pan Jezus z proboszczem dobrodziejem! odpowie Grzegorz. Podaj stołek jegomości, Balbisiu! Jakże tu dobrodziejaszek do nas trafił? — Do kogożby pierwéj, jeżeli nie do was, miły Grzegorzu, gdzie poczciwość, cnota i polskie serce, jak u was, tam mnie spraszać nie potrzeba; tam bez zapraszania chętnie idę.

I o czemże tu u was? bo widzę że was obsiedli, i zapewne o czém ze starych dziejów prawicie. Powiadajcie, powiadajcie! ja słucham z drugimi, a jeżeli na to przystaniecie, to i ja wam potém co opowiem. — A mój Jezu! zawołał Grzegorz, któżby tam lepiéj co wiedział od proboszcza dobrodzieja! Ja sobie człowiek prosty; wiem tylko, com sam widział, albo tędy i owędy z książki wyślabizował, a dobrodziejaszek i uczony i wiele też rzeczy sam

dożył na świecie. Więc też bardzo radzi będziemy, jeżeli nas ksiądz dobrodziéj czego pouczy. Ja tu właśnie o tym Piotrze Gałczyku... — O Gałczyku? zawoła proboszcz. O! wielu, wielu nam takich, a pewnieby wnet powiały chorągwie polskie i zajaśniały orły białe w naszéj nieszczęśliwéj krainie!

Zadumał się przy tych słowach kapłan i smutek jakoby chmura osiadł mu na czole. Grzegorz zaś tak daléj mówić począł:

Otóż, kiedy idzie, to jak po maśle, a jak się też raz uwięźnie, to zaraz po same uszy. Tak też było i z Gałczykiem. Kiedy się jednego razu siecze w najlepsze z Moskalami,— a tu kaci nadali, Moskale odcięli go z kilkanastu wiarusami od reszty kompanii. Cóż tu począć? kusa rada! Gałczyk na takie rzeczy tylko jedną znał radę: bić póki ręka może i pókiby się z nóg nie zwalił. Daléj tedy na prawo i na lewo rżnąć a oganiać się porówno z resztą towarzyszy. Tu łeb moskiewski, tu ręka, tu noga pada, tu się jelita z brzucha za kosą wloką; ten się przodem na ziemię wywraca, drugi w tył przewala? Ale darmo! Naszych kilkunastu, a tamtych coraz więcéj przybywa i jak szarańcza opada naszych bohaterów.

Poddajcie się! krzyczy Moskal, i przypadłszy z boku ciął Gałczyka tak ciężko w głowę, że upadł skrwawiony na ziemię. Reszta wiary już tylko albo na wieki upadła, albo od ran i zmordowania leży krwią obryzgana i potem oblana.

O! nie tu jeszcze koniec. Teraz pozostała jeszcze dla nich rzecz gorsza, niż sama śmierć, bo mo-

skiewska niewola. Biorą nieboraków i włoką, jak niestworzenia Boskie.

Nie minęły jeszcze dwa tygodnie, kiedy piętnastu kozaków pędziło przed sobą siedmiu polskich niewolników, a mieli ich zapędzić aż na Syberyę. Polacy mieli na sobie tylko spodnie i koszulę;—zbici do krwi kijami, bladzi, wynędzniali od głodu szli przed kozakami którzy ich często nahajkami poganiali, wrzeszcząc: *Ha! buntowczyki! sobacze juchy! a ot ten Gałczuk Lach-Czort sukinsyn!*— A naszemu Piotrowi krew w żyłach kipiała, że to szubrawcze kozactwo, co przed polskiemi kosami do piekła by się było skryło, teraz z bezbronnych się natrząsa.

O! nie wtedy to tylko, moi mili, ale i teraz tak się dzieje! mówił Grzegorz. Widzieliście pewnie sami i słyszeliście o tém dobrze, jak te szelmy teraz przed wybuchem Rewolucyi krakowskiej drżały. Wiem ja dobrze, jak to Prusaki ani się na noc nie rozbierały ze strachu; jak to i kreishauptmany i pruscy kommisarze i wszystkie te drugie diabły się uwijały, spać w nocy nie mogły; — bez mała by się Niemcy z żonami i bachurami byli wynieśli, jak to za owych czasów, kiedy Dąbrowski z legionami wszedł do Poznania! A teraz, miły Boże! pisnij tylko słówko, a gotowi cię rozdrapać, albo zgnoić w więzieniu. Oj! nie byłoby tak, nie było, ale prawdę powiedziawszy, lud nasz jest jak bydło.

Jak to, Grzegorzu? zakrzyknie Grobelny, lud nasz bydło? Przecieżeśmy zawsze i oto ta razą.....

Nie do was ja też to stosuję, odpowie Grzegorz, ani do nikogo z tych, którzy wiedzą, jak im jest pod obcemi rządami i jakby im być mogło, gdyby reszta była szczerymi Polakami. — Ale powiedzże sam? wieluż jest pomiędzy nami prostemi ludźmi takich, co czują nasze pognębienie i co wiedzą kto nas przygnębia? Tam daléj pod Moskalem łapią na rekruta i posyłają na Kaukaz, na wieczną zgubę. Tamtejsi więc ludzie jeszcze trochę czują, że gdyby nie moskiewskie rządy, to by synów nie wydzierano rodzicom i nie wysyłano gdzieś tam na kraj świata! Ale patrz koło nas, patrz pod Austryakiem i Prusakiem! — Tu kreishauptman albo inny jaki cesarski służalec wepchnie kilka złotych w łapę i każe mordować panów, a lud ciemny dobywa noża i zabija po najmnie brata Polaka. — Tam znowu kommisarz pruski, chytry jak lis, nałże prostemu człowiekowi niestworzonych rzeczy : jaki to ten rząd pruski łaskawy, jak się stara o chłopów, — i różnych rzeczy kommisarz naobiecuje, — a chłop wraca do domu uradowany i dopieroż rozpowiadać kobiecie i kumotrom, jaki ten kommisarz uczciwy człowiek, co on mu to naobiecywał.

I jakżeż tu nie powiedzieć, żeśmy bydło głupie teraz? Nie mógł nas też Pan Bóg bardziéj skarać, jak takiém zbydlęceniem, taką ślepotą! Bo, przez Boga żywego! gdyby lud prosty wiedział....

O czem Grzegorzu? o czem żeby lud prosty wiedział? zapytało kilku młodych parobczaków.

Słowa mi na ustach mrą, odrzekł Grzegorz, za nadto mi się serce kraje, kiedy mi na myśl przyj-

dzie ten okropny stan nasz i ta ślepota ludu naszego. — Późniéj wam we wielu słowach odpowiem. Teraz nie mogę.— I stary Grzegorz, ów człowiek siedemdziesięcioletni, który większą połowę życia przepędził w obozie, który z kosą w ręku po równo z Głowackim szedł prosto na armaty moskiewskie, który w bitwie pod Maciejowicami patrzał, jak mu brat padł od kuli, a nie płakał nad śmiercią brata, — ten starzec w téj chwili zapłakał gorzko nad niedolą kraju, nad niedołęztwem Ludu, — i twarz zakrył rękoma. Smutno było wszystkim ;— księdzu stoczyły się dwie wielkie łzy po twarzy. Milczeli.

Potém ksiądz proboszcz powstał, ujął Grzegorza za rękę i ściskając ją rzecze : Grzegorzu kochany! prawda i święta prawda, że tylko przez ślepotę naszego Ludu, przez brak poznania tego, co być powinno w naszéj Polsce, tak długo jarzmo obce dźwigamy, i do lepszéj doli dojść nie możemy. Ale nie traćmy nadziei. Ja i wielu sług Bożych zanosi przy każdéj mszy świętéj gorące modły do tronu Najwyższego o to, aby Lud nasz oświecić raczył. On się ulituje nad krajem naszym i może rychléj, niż nam się zdaje, natchnie Lud nasz słuszną pomstą na nieprzyjacioł.

O! złote są słowa dobrodzieja! odrzeknie Grzegorz już znowu weselszy, oby się jak najprędzéj spełniły.

Ale Grzegorzu! takeście się zapuścili, żeście aż zapomnieli dokończyć historyi o Piotrze Gałczyku. Przecież to teraz prawie najciekawsze. Opowiedź-

cie tylko aż do końca; a ja wam zaś jeszcze coś o nim powiem, czegoście pewno nie słyszeli.

Grzegorz ukoiwszy ból w sercu pocieszającém słowem księdza plebana, rozweselił się znowu, i tak mówił o Gałczyku: — Pędzą ich więc a pędzą. Gałczyk kiedy niekiedy obejrzy się na kozaków i zgrzytnie zębami. Idą samemi polami, aż przecież na trzeci dzień przypadło im przebywać bór wielki. Weszli do lasu: kozacy bliżéj jeszcze niewolników postępować zaczęli, aby który z Polaków nie uciekł. Gałczyk niby to wielce zemdlony zwalnia kroku. Kozak na niego prawie wjeżdża i chce smagać nahajką; — a tu nasz Gałczyk — jak nie porwie kamienia, jak nie grzmotnie w łeb kozaka, jak nie zacznie uciekać w gęstwinę! — Krzyk, hałas! Kozacy z koni, jeden je trzyma, czterech pilnuje na drodze, reszta w las za Gałczykiem. A on, jak się przyczaił w gąszczu, tak ani się gmernał. Kozaki latają tam i napowrót, k'sobie i od sieb', nawoływają, strzelają do gąszczów. Ale gdzie tam! nie ma i nie ma. Trudna rada; nosy na kwintę i wychodzą nazad do koni. A tu i reszty niewolników i czterech kozaków na drodze nie masz. Jedno tylko kozaczysko trzyma konie, jak trzymało i powiada, że reszta niewolnika takoż pouciekała i kamraty kozaki ich gonią. Szukały kozaki i goniły przez pół dnia, ale nadaremnie; wrócili więc napowrót jakby nigdy nic, i powiedzieli że Lachów odstawili.

Gdzie się wszyscy nasi porozpraszali, tego już nie wiem; ale Gałczyk to lasami, to manowcami

rżnie się wprost nazad do Warszawy. Co to za radość była, kiedy go znowu swoi zobaczyli; choć to już nie taka radość jak w on czas, kiedy po pierwszy raz stawił się był w Warszawie, bo Moskale mieli niezadługo bombardować do miasta.

Wkrótce nadeszła też ta okropna chwila szturmu. Trzęsło się całe miasto od huku armat; błonia Warszawy i wszystkie okopy zasłane były trupami moskiewskiemi. Ale cóż? co jeden tysiąc nieprzyjacioł padł, nadbiegał inszy i tak bez końca; Moskale nareszcie weszli do miasta — i zginęliśmy.

Wtedy jak wszyscy, tak i nasz Gałczyk wrócił z zbolałém sercem do swojéj wsi. Jakież to było powitanie! żona wychodzi na przeciwko i wynosi na ręku chłopca ładnego, ubranego w jedwabistą sukienkę od pani. Biedna dziecina zlękła się zobaczywszy ojca, który miał oblicze ogorzałe od słońca i wąs zawiesisty. On ze łzą radości powitał kobietę i uściskał syna, który miał rość na wolności polskiéj, a przez nieszczęście, co nasz kraj na nowo dotknęło, musiał tak jak ojciec jego wyrastać w niewoli.

Co to tam było rozpowiadania! On o bitwach, o wojsku, o Polakach, o Moskalach; — a ona, jak sobie wciąż mieszkała we dworze i jak ją dobra pani pielęgnowała w chorobie.

Gałczyk jak bił i rąbał tęgo, tak teraz szczerze się znowu jął gospodarstwa. I miał też czem począć, bo pan Kazimierz uchodząc za granicę polecił matce swojéj, aby wszystkim, którzy z jego wsi

byli z nim na Rewolucyi, podawać grunta, umniejszyć przez większą połowę pańszczyznę, dać po sześćdziesiąt złotych; a Gałczykowi dwieście pięćdziesiąt złotych na lepszą zapomożkę. — Zagospodarował się więc uczciwie; doczekał się, ile mi wiadomo, trzech synów i dwóch córek, i żyje lubiony a szanowany pomiędzy swemi.

Tak to widzicie, — poczciwy a kochający swój kraj szczerze, zawsze się jakoś wyskwiernie z biedy, bo i ludzie mu dobrze życzą i Pan Bóg mu błogosławi.

Nie znacie końca, odezwie się ksiądz proboszcz, więc go wam opowiem. Przed dwoma tygodniami przejeżdżałem przez Krzemieniówkę i popasałem w karczmie, — kazałem sobie zgrzać piwa z imbirem, siedzę, — wchodzi jeden, wchodzi drugi i trzeci. Ci także sobie piwa zgrzać kazali, — i jak to zwykle, to o tém, to o owém, zaczęli też o Gałczyku. Byli to gospodarze tamtéjsi. Oni mi to z płaczem powiadali, że Gałczyk niedawno umarł. Potém mi powiadali, że w tydzień po jego śmierci ni stąd, ni z owąd spostrzegli nad grobem jego kamień ciosany z jakimś napisem złotemi literami. Pytam ich się, kto mu ten nadgrobek postawił? Ba! pytaj się; nikt nie wie. W nocy go ktoś cichaczem zwiózł i postawił.

Zdjęty ciekawością kazałem umyślnie jechać na Zdrażewice, gdzie Gałczyk był pochowany, aby się przekonać naocznie. Przyjeżdżam — wstępuję do proboszcza, pytam go się o Gałczyka. On powiada, że prawda i sam się dziwi, skąd się ten

nadgrobek wziął. Idziemy go oglądać; patrzę — z pięknego czarnego marmuru, wysoki na trzy łokcie; na wierzchu wyciosana z kamienia kosynierska czapeczka, i wyczytałem złotemi literami taki napis:

PIOTROWI GAŁCZYKOWI,
POLAKOWI PRAWEMU,
TEN
NADGROBEK
STAWIAJĄ
SZCZERZY POLACY.

Tak to, prawdziwa cnota i poświęcenie się dla kraju nigdy nie bywa zapomniane. Gałczyk był sobie prostym chłopem jakoli my; gdzieby go tam na to stało, żeby mu kobieta nadgrobek stawiała. Ale pamiętali o tém insi, i choć pokryjomu uczcili jego imie.

Czy się to tam ostoi, Bóg najmilszy wie, — bo jak się Moskale dowiedzą, będzie śledztwo, kto tam ten nadgrobek postawił; a czy się wyda, czy nie, pewnie go zabiorą. — Tak to już daleko u nas doszło, że nam nie pozwalają ani wspominać o chwalebnych czynach i poświęceniu się za Naród.





Bartłomiéj Głowacki.

IV.

Ksiądz proboszcz przyniósł z sobą wielką książkę, w któréj były opisy rozmaitych wydarzeń i do tego obrazki. Otworzył ją teraz i rzecze: Niewiem czyście kiedy widzieli takie obrazy. Przybliżcie się, możecie je sobie po kolei obejrzeć, — a czego nie zrozumiecie, to wam wytłumaczę.

Najciekawszy był Dudziak, — więc też zaraz bierze do rąk książkę i przygląda się z Grobelnym, który wskazując na obraz pierwszy zapyta: A co? znasz tego?

— Sukmana na nim chłopska, ciecioć nasza krakowska, odpowie Dudziak, ale go nie znam.

— A to przecież Bartosz Głowacki, chłop jak my krakowski, obok którego nasz kochany Grzegorz, w bitwie Racławickiéj, szedł z kosą na moskiewskie harmaty.

— O! święta pamięć jego, odrzecze żywo Dudziak, a cóż inni, jak on w chłopskich sukmanach,

a z szlufami, jakby jacy jenerałowie, cóż to oni z nim robią?

Oto widzisz, mówił daléj ksiądz proboszcz, tu jest wymalowane, jak Naczelny wódz Kościuszko, przypina Głowackiemu szlufy officerskie. Grzegorz to nam najlepiéj opowie, boć własnemi na to patrzał oczyma. — Wszyscy więc otoczyli Grzegorza, a gdy Grobelny pokazał mu książkę — Prawda, prawda, zawołał, to ten sam Głowacki! a otarłszy łzę z oka, którą mu wycisnęło przypomnienie towarzysza z pod Racławic, tak mówić począł:

Jak dziś pomnę, było to po zimie, świeżo jakoś na wiosnę, — a wkrótce po drugiém rozszarpaniu naszéj Ojczyzny przez wrogów. W Warszawie rządził wtedy, jak turecki Basza, moskiewski jenerał Jgielstrom. Dokuczał do żywego, tak iż się ludzie srodze przeciw niemu rozjedli. Madaliński, który dowodził dwoma pułkami ułanów polskich, a stał około Ostrołęki, pierwszy dał hasło powstania, uderzywszy na huzarów pruskich. Wszędzie po miasteczkach, gdzie tylko stali, napadał na nich, bił, a co nie zabił, to brał do niewoli. Tak idąc zaszedł aż w Krakowskie. Pod oną chwilę staje w Krakowie Tadeusz Kościuszko, który przed dwoma laty wrócił był z Ameryki, gdzie za wolność walczył, i pod Dubienką oparł się Moskalom, i dobrze ich przetrzepał. Co tylko żyje otacza go wnet, jako przyszłego Zbawcę Polski. Lud na rękach go nosi, a on w krakowskiéj chłopskiéj sukmanie, jak go tu na rysunku widzicie, z czerwoną czapeczką na głowie, siada na konika, i wywijając

pałaszem, woła: Héj daléj za mną bracia Krakowiacy! Daléj za kosy i piki, pójdziem ostatnią kroplę krwi przelać za Matkę naszą! A chłopkowie, jak zobaczą, że on taki pan, taki sławny jenerał, mówi do nich po bratersku, a prawda mu z oczu patrzy, — tak daléj rwać się jeden przez drugiego do kos, do kłonic, i tak złączywszy się z regularném wojskiem polskiém, ciągnęła ta ochocza ruchawka wyśpiewując, przeciw Moskalom, aż pod Racławice. I ja tam byłem, moje dzieci kochane, i ja szedłem z kosą w ręku na moskiewskie harmaty... Sypnęli do nas kartaczami, aż się zwaliło kilkadziesiąt chłopa. Ale Kościuszko zawołał: Nie dajcie się wiarusy, pokażcie co umiecie! — Serca nam przybyło, skoczyliśmy naprzód, a Głowacki najpierwszy przypadłszy do harmaty moskiewskiéj, kiedy żołdak właśnie lont do zapału przykładał, przykrył go swoją czapką krakowską, i tak ogień zdusiwszy, nie dał harmacie wypalić, — a tymczasem, myśmy reszta nadbiegli, i dalejże siec kosami na lewo i na prawo, aż się Moskaliska dorachować nie mogły. Widząc to Kościuszko, klaskał w ręce z radości i wołał: To mi to zuchy! A potém przywołał Głowackiego, uściskał go i ucałował w obec nas i całego wojska, i sam mu przypiął szlufy officerskie, jak to tutaj wymalowane widzicie.

— A tu na drugim obrazku? — zawoła Butny. Patrzcie, to bodaj nie taki sam będzie chwat jak Głowacki. Mina tęga, zuchowata, i pewnieby także nie dał Moskalowi dmuchać sobie w kaszę. — Po-

każcie tylko — rzecze Grzegorz. A toć właśnie Kiliński, szewc, rodem z Poznania, co to kiedy Kościuszko z Głowackim dokazywał pod Racławicami, on w Warszawie zrobił rewolucyę i wygnał z niéj Moskali. — Słyszałem, słyszałem już o tém, odrzęcze Butny — a ciż tu z nim inni, pewnie także dobrzy Polacy?

Obraz ten przedstawia, mówił znowu ksiądz proboszcz, jak spiskowi Polacy, cywilni i wojskowi, zmawiają się na Moskali u szewca Kilińskiego. On to mając wielką wziętość i miłość u rzemieślników warszawskich, skoro krzyknął aby się rzucili do broni, natychmiast go usłuchały wszystkie cechy. Wojsko polskie regularne stojące w Warszawie, jako tu zeń niektórych przysięgających przed ukrzyżowanym Zbawicielem widzicie, złączyło się z ludem, i dalejże rąbać i siec nieprzyjaciela. Naprzód wszystko leciało do arsenału. Odbito bramy i rozebrano broń. Dopieroż to zaczęła się bójka. Moskale zajadle się odcinali; ale z ludem to nie żart. Jak zaczną kropić nasi z dachów, z okien, z zamurów—zdaje się że deszcz ognisty i kamienny pada. Padali więc jak muchy Moskale po wszystkich ulicach. Igielstrom, o którym już wam Grzegorz mówił poprzednio, że jak tyran dręczył w Warszawie, zatarasował się w swoim pałacu i obstawił harmatami. Dalejże Lud znowu na niego. Jak zacznie parzyć a parzyć, aż Igielstrom zwątpiwszy o wszystkiém, uszedł tylną furtką do obozu pruskiego. Padło tedy ze dwa tysiące Moskali, nabrano co nie miara niewolnika, reszta uszła gdzie mogła.



JAN KILIŃSKI.

Dziwicie się takiemu zwycięztwu? Nic w tém wszakże, dzieci moje, dziwnego!

Wierzcie mi, że dla podłego służalca nie masz straszniejszego człowieka, jak Polak, kiedy mu idzie o wolność kraju. Zna nas z tego świat cały,— i choć byś ty był z gołą ręką, a taki żołdak z bagnetem i pałaszem, to go mrowie przechodzi. Pamiętam ja dobrze, jak to było we Lwowie za Napoleona. Powiadała mi to sama szynkarka, u któréj się to stało.

Austryackiego cesarskiego żołdactwa, powiada, siedzi u mnie i pije, może ze trzydziestu chłopa. W tém na raz wpada ułan polski tylko z pałaszem w ręku, i jak krzyknie: A wy szelmy! ja wam tu pokażę! — Tak szczęście, że były tylne drzwi, bo nie wiem, gdzie by się wtedy byli ze strachu podzieli. Broni nawet swéj pozapominali. Kilku tylko chwyciło za bagnety i chciało uderzyć na ułana; a ten, jak poskoczy, jak machnie na prawo i na lewo, tak oto, jak mi zbawienie duszy miłe, koło mojego szynkwasu trzech padło trupem i pojuszyli mi izbę.

Święta to prawda! odezwie się ksiądz proboszcz. Przed Polakiem, który chwyci za broń w sprawie Ojczyzny, drży wszystko ze strachu. Bo proszę was! Cóż takiemu Moskalowi, albo pruskiemu, albo austryackiemu żołdakowi ma nadać odwagę? W czyjéj-że on obronie staje? w jakim celu się bić z nami ma?

Taki żołdak wyrusza przeciwko nam dla tego, że mu groźno nakazują, ale byłby kontent, żeby mógł

jak najprędzéj uciec do domu. Polakowi kraj, żona, dzieci, które chce wybawić od jarzma obcego, nadają odwage i męstwo prawdziwe; — Polak bije się dla tego, że jak pobije nieprzyjacioł, żyć sobie będzie wolny w swéj Ojczyznie, a z wolnością polepsza sobie i chudobę swoją.

A żołnierzowi moskiewskiemu albo inszemu cóż z tego przyjdzie, że się z nami bić ma? Nic zgoła, chyba pochwała; a jak zginie, to zostawi żonę i dzieci bez dachu i chleba. Toć też nie dziwota, że oni nigdy prawdziwéj odwagi mieć nie mogą i drżą przed nami Polakami.

Cesarz moskiewski, austryacki, albo król pruski, ci to zyskują, jak nas ich wojska zwyciężą, bo im z naszego kraju przybywa dość pieniędzy z podatków, i wszystko robią, żebyśmy tylko przeciw nim nie powstali, bo by stracili te dochody, co z naszych podatków rok w rok po milionach mają. Dla tego też to, strach ich niesłychany na byle wieść o powstaniu przejmuje, i kraj cały zapaskudzili szpiegostwem, żeby wiernych Ojczyznie podsłuchiwać i więzić. O! straszna to zaraza. A co najbardziéj boli, że im nasi właśnie w téj plugawéj robocie pomagają, jak gdyby nie wiedzieli że słuszna kara Boża, prędzéj czy poźniéj szpiegów i zdrajców dosięga. — Słyszeliście, co się stało w Siedlcach? — Nie, nie słyszałem, odpowie Dudziak; a cóż się tam takiego stać miało? — Słuchaj! rzecze Grzegorz, opowiem ci, a obaczysz, jak to sprawiedliwość Boska nigdy nie przepuszcza temu, co rodakom swoim jest na zdradzie.

Wtenczas, kiedy tu w Krakowie wybuchło powstanie, miało też być powstanie w Siedlcach, nie daleko Warszawy. Ale że się to powstanie tam w Siedlcach źle powiodło, więc naczelnicy powstania: Pantaleon Potocki, Żarski i Kociszewski, nie widząc innego ratunku, cofnęli się z swymi ludźmi i schronili się na wsi; Żarski i Kociszewski w karczmie, a Potocki wpadł do młynarza za wsią, którego znał od dawien dawna. Czy myślisz, że im dano schronienie? Właśnie to chłopi z karczmy po kryjomu znać dali do miasta, że u nich są jacyś podejrzani ludzie. Wojsko w te tropy przybyło, obstąpiło karczmę, złapało i powiązało tych dwóch. A z Potockim tak się stało: młynarz niby to mile przyjął Potockiego i miał go przenocować, aby z rana mógł się daléj dokąd przemknąć.

Poczciwy przyjacielu! mówił do niego Potocki, nie rób sobie wiele zachodu! ja się choć na gołą podłogę porzucę i prześpię. — Panie kochany! gdzieby tam panu spać na podłodze; przynajmniéj słomy przyniosę i rozścielę.— Potocki przystąpił do niego, ujął go za rękę i uściskał mówiąc: Pan Bóg ci zapłaci i ja ci sowicie odwdzięczę się za tę przysługę.

Młynarz potém poszedł do stodoły po parę snopków słomy na posłanie. Potocki tymczasem postawił dubeltówkę swoją w kącie, pistolety wyjął z zapasa, położył je na stole, i drzwi dla bezpieczeństwa zaryglował. Usiadł potém przy stole i zamyślał się smutnie, że ten początek powstania tak nie-

szczęśliwie wypadł. Długo tak siedział — czeka i czeka; młynarz coś bardzo długo nie przychodzi. Nareszcie puka ktoś do drzwi. — Kto tam? zapyta Potocki. — To ja młynarz; niosę słomę na posłanie. Potocki otworzył drzwi nic nie wiedząc co się święci.

Bo czy myślisz, że młynarz poszedł prawdziwie do stodoły po słomę? Widzisz, co za psia wiara! Wyszedłszy z izby czemprędzéj dał znać, że u niego jest Potocki. Kozacy z żandarmami przybyli, otoczyli dom, ale choć na jednego człowieka, bali się jednak obcesem uderzyć. Więc młynarz się podjął i drugiéj zdrady. Bo kiedy kozacy już stali, a bali się wejść, wtenczas to on zapukał i wszedł ze słomą, niby to na nocleg. Ale nie wyszło parę minut, a tu młynarz zaszedłszy z tyłu, porwał Potockiego za nogi i wywrócił na ziemię. Wrzasnął zaraz na Kozaków; ci wpadli do izby, skrępowali nieszczęśliwego Polaka i zabrali. Wkrótce Moskale wydali dekret. Żarskiego i Kociszewskiego powieszono w Warszawie, a Potockiego w Siedlcach.

Młynarz, co się zwał Piesek, i drudzy chłopi co drugich dwóch zdradzili, sprowadzeni zostali do Warszawy. Tam publicznie rząd moskiewski dziękował im za takie przywiązanie, za taką przysługę, i dał każdemu po sto rubli i ordery.

Ale krew uczciwa woła o pomstę do Boga. Kto zdradzi brata, kto wyda brata pod knyp nieprzyjacioł, niech się niespodziewa błogosławieństwa nieba. Prędzéj, czy poźniéj zsyła Pan Bóg w spra-

wiedliwości swojéj świętéj straszną karę na takich ludzi.

Tych, o których wam mówiłem, już dotknęła kara Boska. Jeden z nich nagłą śmiercią umarł;— drugi oszalał i teraz chodzi na klęczkach prawie, wołając w rozpaczy o odpuszczenie mu tego okropnego grzechu; — a trzeci, ów młynarz, co zdradził Potockiego, choć dostał sto rubli, codzień bardziéj się trapił i bladnął i żółkniał; sumienie go truło; — poszedł do spowiedzi świętéj, ale jeszcze smutniéjszy powrócił, i jednego razu, kiedy z żoną powracał z targu, wszedł do lasku niby to po biczysko, i obwiesił się. — Cóż na to powiecie?

Kara Boże! istny dopust Boży! zawołali na głos wszyscy.

Kara Boża, odezwie się ksiądz proboszcz, na tym to świecie ich spotkała, ale to nie koniec: spotka ich jeszcze i na tamtym. — Bóg przenajświętszy w gniewie do nich rzeknie: Gdzież są cnoty wasze? gdzież są prawe uczynki wasze? Oto w sromocie waszéj zaprzedaliście za kilka srebrników i wydaliście na śmierć braci waszych, którzy wam ulgę zgotować mieli; — oto jako najemniki podłe przystaliście do nieprzyjacioł Ludu mego polskiego; — oto staliście się Judaszami na braciach waszych! Idźcie więc jako on Judasz przeklęci na ogień wieczny, gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów. — O straszny to moi mili, straszny i śmiertelny grzech zdradzić Polaka przed Moskalem, albo Prusakiem, albo Austryakiem. — Onić zdradę złotem może wynagrodzą, ale ty za to duszę zatra-

cisz na wieki. — A choćbyś potém wciąż do Częstochowy chodził i krzyżem legał i spowiadał się i ostrą pokutę wykonywał, tobyś ledwie w sto lat życia Majestat Boski przebłagał.



V.

Powiedźcież nam Grzegorzu, mówił Dudziak, czy to podobna aby ludzie już tak zbestwieni byli, że każdego co chce wolności polskiéj, zaraz wydają w ręce nieprzyjacioł?

O dzieci moje! zaczął mówić Grzegorz, żeby lud prosty zdradzał takich ludzi ze złego serca, albo gdyby tylko dla tego ich wydawał w ręce nieprzyjacioł, że mu to rząd pieniędzmi, albo orderem wynagrodzi, to byśmy już przed Panem Bogiem nie byli godni, tylko aby nas pokarał ogniem siarczystym jak Sodomę i Gomorę. Wtedy byśmy byli gorsi od wszelkiego ludu, co żyje na Bożym świecie, i nie moglibyśmy się nigdy przenigdy spodziewać lepszych czasów, bo sam Pan Bóg musiałby na wieki odwrócić oblicze swoje święte od ludu polskiego. Ale, dzieci moje! tak dalece jeszcze nasz Naród się nie zesromocił; — nasz Lud ma jeszcze serce, — nasz Lud jest w gruncie serca

uczciwy i uczciwszy może od wszystkich Ludów na ziemi, — tylko ta ślepota! — ta ślepota jest przyczyną, że się dopuści nieraz śmiertelnych grzechów naprzeciw drugim Polakom, — że ich zdradzi, że ich nawet jak zwierz dziki napadnie i zamorduje.

Ale to prawie niepodobna, Grzegorzu! mówił Grobelny, żeby ten nasz Lud miał być tak całkiem zaślepiony; — przecież on ma duszę od Pana Boga — ma swój rozum, chodzi na mszę świętą, na kazanie, modli się i święty sakrament przyjmuje.

A, mój Boże kochany! odezwie się ksiądz proboszcz, cóż to wszystko pomoże? Gdyby to księdzu było wolno powiedzieć na kazaniu takie rzeczy i pouczyć ludek swój; — gdyby on to mógł wypowiedzieć wszystkie szelmostwa, których się i Moskal i Austryak i Prusak codzień prawie na nas dopuszczają; gdyby mógł Ludowi otworzyć oczy, pewnoby to nie jeden ksiądz uczynił i Lud nasz prosty nie pozostałby w takiéj głupocie. Ala cóż? nam kapłanom i słowo uczciwe zakazane. Który się tylko ksiądz wymknął z takiemi słowami, już też i nie dosiedział. Niedługo zobaczył przed domem żandarmów; — wpadli, zabrali i w więzieniu osadzili.

A jakżeż się stało z proboszczem z Przyułek? Dziś jeszcze wszyscy po nim płaczą i uspokoić się nie mogą. Co to był za uczciwy i miłosierny kapłan! U niego nie było różnicy: czy gospodarz, czy komornik, czy parobek, czy chłopiec od poganiania. Jeżeli kto zachorował, to już pewnie nie

leżał i nie czekał zmiłowania Bożego. Wnet się o tém dowiedział proboszcz : poszedł, poradził, posłał po doktora, — nawet i za leki zapłacił. A nie miałeś wygody w domu, to cię przewiózł do plebanii swojéj i pielęgnował.

Do szkółki dzieci nadaremnie nie chodziły, jak się to gdzie indziéj dzieje, bo on ciągle nauczycielowi pomagał i uczył. A jak się dziecko które dobrze uczyło, to przynosił podarunki, — biedne przyodział i dał na rzemiosło.

Padło gospodarzowi bydle, a on się dowiedział, to zaraz go woła, wypyta, pożycza pieniędzy na parę lat. Takich pożyczonych pieniędzy już potém od nikogo odebrać nie chciał. Skoro mu je odnieśli, zaraz drugiemu pożyczył, albo wdowie jakiéj podarował.

Wszyscy go też kochali i prosili Pana Boga, żeby im go jak najdłużéj przy zdrowiu i życiu zachował.

Jednego razu było, że ksiądz ma jak zwyczajnie kazanie, i takie też na niém do swoich powiedział słowa :

«Nie wyjdziemy, moi parafianie, z nędzy i niedoli, póki obcy będzie u nas rządził. Póty Pan Bóg nie pobłogosławi Ludowi polskiemu, poki się nie rozmiłujemy gorąco w kraju naszym i nie wypędzimy gwałtem ludzi obcych i gnębiących nas! »

Nie jednemu] stanęła łza w oczach i uczuł, poznał potrzebę wypędzenia nieprzyjaciela. Ale cóż się stało? Jakoś w trzy tygodnie znowu ksiądz ma mszę świętą i kazanie, a po skończonem nabożeń-

stwie ledwie wyszedł za próg kościoła Bożego, już go schwyciły zaczajone żandarmy, wsadzili na wóz i co konie wyskoczą umykać z nim zaczęli. Lud się wysypał z kościoła, zgruchnął się od razu; — rozruch, krzyk, — gonią i wołają ze łzami za księdzem, ale darmo! jak wiatr tak prędko z nim żandarmy poleciały.

Za cztery miesiące powrócił ów kapłan napowrót, ale blady, wychudły. Nie powiadał nikomu, co z nim wyrabiano, ale dowiedziałem się od drugiego proboszcza, który to na swoje oczy oglądał, że miał całe plecy posinione od płag i bicia. Nie długo też potém żył, bo w kilka niedziel po wypuszczeniu umarł.

Tak to, moi mili! my dzisiaj jesteśmy, jak owi pierwsi Chrześcianie, których wszędy pogaństwo prześladowało, ścigało, mordowało. Ciasne chatki, podziemne lochy, oto były całe miéjsca, gdzie się wierne Chrystusowi gromadki schodziły, gdzie do swego prawdziwego Boga modliły, gdzie się w duchu pokrzepiały i przygotowywały do roznoszenia Wiary świętéj po całéj ziemi. My też tylko w skrytych miejscach, tylko pomiędzy kilku swoimi możemy to, co serce każe i cośmy powinni tak prawie jak Wiarę świętą wyznawać. A gdyby kto z nas księży, albo inszych ludzi, powiadał wszystko na głos i przed wszystkiemi, to zaraz rządy ścigają, prześladują, więżą i nareszcie mordują całkiem jak w onych czasach rządy pogańskie mordowały świętych Apostołów i wyznawców świętej Wiary Chrystusowéj.

Wtedy wyznawcy, którzy uznali, że tylko religia Chrystusa jest świętą i zbawić może,—chodzili od chaty do chaty. Ten ich przyjął, ugościł i przystał do nich, inszy znowu wołał swoje pogaństwo i pogańskie rządy, nie przyjął ich, albo wydał. Musieli ci święci ludzie uciekać przed pogonią, kryć się po lasach, albo u dobrych ludzi, co ich naukę przyjęli. A gdy ich złapano, byli dręczeni i zamordowani, jak wam to nie raz na kazaniu powiadałem.

Dzisiaj nie inaczéj się dzieje. Ci, których Pan Bóg natchnął o Polsce, mają nauczać Lud polski i przekonywać go, że rządy, pod któremi dziś żyjemy, są dla nas takiemi, jak owe rządy pogańskie były dla wyznawców Chrystusowych. Mamy też takich co chodzą od wsi do wsi; są u księdza i u chłopa i do dworu wstąpią; wszędzie w całéj Polsce, jak długa i szeroka, opowiadają słowa zbawienia i wolności dla Ludu polskiego. To są ci co ich zwą Emissaryusze! Oni to są, jak owi prorocy przed narodzeniem się na świat Zbawiciela, co przygotowywali Lud do przyjęcia światła Wiary, —bo oni przygotować pragną Lud polski do przyjęcia wolności, któréj teraz nie mamy, a któréj z bronią w ręku dobijać się powinniśmy.

Nie od dzisiaj to dopiero tacy ludzie po naszéj Polsce świętéj chodzą. Już to nie jeden rok minął, jak się tu i owdzie pokazują, a wszędy otwierają Ludowi oczy na jego niedolę i nauczają, że czekają nas dobre i piękne czasy, byleśmy rąk dołożyć chcieli.

Ale, przepraszam księdza dobrodzieja, odezwie się Dudziak, jacy to są ludzie ci Emissaryusze i jak wyglądają. Bo prawdę powiedzieć, jużem też bardzo różnych ludzi widział, ale takiego człowieka jeszczem na żywe oczy nie oglądał.

Wierzę ci bardzo, mój bracie! odpowie proboszcz, żeś może żadnego Emissaryusza nie widział; bo gdyby oni w każdém miéjscu, na całéj naszéj ziemi polskiéj byli, toby ich było tyle, żeby sami bez niczyich rąk nieprzyjacioł Polski wygnietli. Taka to w nich jest gorąca wiara i zamiłowanie nieszczęśliwego naszego kraju. Powiedziałem też więc, że tylko tu i owdzie się ukazują. Pytałeś mi się jak wyglądają? Jakżeż mają wyglądać? tak jak ty, jak drugi, jak trzeci! raz w chłopskiém, drugi raz w inszém ubraniu, ale zawsze tak jak my, boć to przecież nie kto inszy, tylko nasi bracia Polacy, ale Polacy, których już sam Pan Bóg natchnął za Polską. — Bo trzeba wam wiedzieć, że tacy ludzie mają często i majątek i rodziców i żonę i kilkoro dzieci, i gdyby nie natchnienie Boże za kraj, gdyby nie obrzydzenie téj niewoli, co jéj tysiące przez głupotę nie czują, — mogliby tacy ludzie prowadzić spokojny żywot. Ale jak duch Boży w ich sercu za Polską przemówi, wtedy zostawiają żonę i dzieci, znajomych i krewnych; — idą pomiędzy Lud polski nauczać; cierpią nieraz głód i męczarnie; śpią, gdzie się nadarzy, czy w obcym domu, czy na polu, czy w lesie, i zawsze z świętém słowem idą, a gdzie poczciwych ludzi spotkają, uczą ich o Polsce.

A wiecie, co ich za to czeka? Oto rządy : moskiewski, austryacki i pruski wszędy nakazują nie tylko swoim żandarmom, ale i naszym ludziom, żeby ich łapali jako złoczyńców, rabusiów albo złodziejów jakich. Trzymają szpiegów na tysiące i opłacają ich z naszych krwawych podatków, żeby tych naszych Emissaryuszów wytropili. A jak znajdą, jak złapią, wtedy tych naszych duchem Bożym natchniętych Polaków, tak samo dręczą męczarniami i mordują, jak za czasów pogaństwa mordowano Apostołów świętych!

O! gdyby ten nasz Lud wszystek w całéj Polsce wiedział co to są za ludzie, toby klękał przed nimi, ze łzami by prosił aby mu słowo natchnione o Polsce opowiadali; - przyjmowałby Emissaryusza w chałupę swoją jak człowieka świętego, i ukrywał go jak relikwię przed oczami szpiegów i inszego łotrostwa.

Zamilkł świętobliwy ksiądz — podniósł oczy w górę ku niebu, a oblicze jego jaśniało od świętego uczucia, które go ogarnęło. A wszystkich, którzy go słuchali, tak jakoś przejęło to opowiadanie i tak im było gorąco w sercu, jak gdyby we mszy podczas podniesienia ciała i krwi Pańskiéj.

Nie jeden pomyślał sobie : o! gdyby tak Pan Jezus nadarzył, żeby tu teraz taki Emissaryusz do nas wszedł — w nogi byśmy go ucałowali.

Dzieci moje! przemówił potém Grzegorz, gdybym sam takich rzeczy nie był dożył, toby mi prawie trudno było uwierzyć, jak to najpoczciwszych ludzi naszych, takich właśnie ludzi, co najbardziéj

czują niedolę naszą i chętnieby chcieli Naród ze snu obudzić; — jak to takich ludzi rządy wszędzie ścigają. Nie ma prawie ani jednéj części naszéj rozległéj Polski, w któréjby się krew takich ludzi już nie przelała, w któréjby ci nasi Apostołowie Słowa Polskiego nie ponieśli śmierci męczeńskiéj. Pamięta do dziś dnia Litwa Szymona Konarskiego; —Warszawa nie na dziesięciu, ale na stu takich pamięta, i takich, co ich Moskale pozabijali, popowieszali, i inszych co ich pognoili w więzieniu; — Galicya patrzała na śmierć nie jednego, jak na ten przykład Wiśniowskiego i Kapuścińskiego;—kraje Wołyń, Podole i Ukraina takoż swoich męczenników za Polskę miały.

Poznań nie dawno szedł za trumną Aloizego Bogusławskiego, inaczéj Antonim Babińskim zwanego, co go Niemcy rozstrzelali, a potém za złoczyńcę ogłosili, za to niby że w łeb strzelił żandarmowi. A cóż miał zrobić inszego? Wszak go prosił i zaklinał na Rany Chrystusowe, na imie Polaka i na wszystkie świętości, żeby go puścił, żeby go nie robił nieszczęśliwym; ale ta Niemcom zaprzedana dusza nie dała się wzruszyć takiemi słowy, — zabrał mu papiery i chciał go wydać w ręce oprawców za to, że pomiędzy Ludem chodził i nauczał o Polsce! Nie było inszéj rady, jak palnąć w łeb żandarmowi, który będąc Polakiem zaprzedał się Niemcom i na drugich uczciwych Polaków nastawał. Tak się powinno stać każdemu wyrodnemu Polakowi, co zamiast pomagać braciom Polakom, szpieguje ich, zdradza i nieprzyjaciołom naszym się przysługuje.

Babińskiego Niemcy na śmierć zadekretowali! Ale kto patrzał na niego, z jaką wiarą szczerą w sercu, z jakiém przekonaniem świętém, że za Polskę nieszczęśliwą ma ginąć, z jaką szlachetną odwagą i godnością postąpił naprzód i przyklęknął na przeciw kulom, co mu szlachetne piersi przewiercieć i rozszarpać miały, — ten się przekonał, że to nie winowajca, nie złoczyńca, ale człowiek z wielkiém sercem, że to Apostół naszéj wolności za Naród nasz, krew swoją wylał. Za to on też teraz już używa królestwa niebieskiego, i pewnie Boga najwyższego prosi o zmiłowanie nad krainą polską.



VI.

Nie przepatrzyliście jeszcze wszystkich obrazków; odezwał się potém ksiądz proboszcz. Przewróćcie tylko kilka kart, a obaczycie także Szymona Konarskiego, co go na Litwie w tém głównem mieście Wilnie, Moskale rozstrzelali.

Wszyscy się przybliżyli z ciekawością do Grobelnego, który właśnie począł szukać tego obrazu. Naraz krzyknęła Balbisia : Ach mój Boże! Cóż to z nim dokazują ci zdziczali oprawcy. Pokrajali mu ciało na łopatkach i gwoździe za paznokcie wbijają. A jak się ten oficer moskiewski napuszył. Bodajeś pękł kałmuku! — Tu, mój miły Jezu, z pochodnią stoi oprawca; pewnie go jeszcze piec będą! Ale ja nie wiem, co to jest, Starku, mówiła potém Balbisia obracając się do Grzegorza, — bo mi się jakoś wydaje, żem już takiego samego człowieka kiedyś w życiu widziała. Bardzo mi znajomo wygląda!



Szymon Konarski.

Pokażcie tylko! zawołał stary Grzegorz, niech mu się przypatrzę! Podano mu książkę;—Grzegorz popatrzał się chwilę i otarł ręką łzy, co mu się do oczu cisnęły; potém wyrzekł ze smutkiem: Prawda, moje dziecko, żeś go już raz w życiu widziała. Już to temu kilkoro lat, kiedy pamiętasz, trzech młodych ludzi u nas przez dwa dni było. Ten, którego tu widzisz na obrazku, jest właśnie ten sam, co ci krzyżyk srebrny darował.

Ach mój śliczny Jezu! zawołała Balbisia,— to to ten sam, o którym nam potém powiadaliście, że go tak okrutnie męczyli i katowali, — a myśmy wszyscy płakali? — Ten sam, Balbisiu, ten sam! mówił Grzegorz smutnie, i znać było, że go boleść dojęła. Ale niedługo podniósł weselej głowę i rzekł: Patrzcie, z jaką on wytrwałością znosi te wszystkie męki, za naszą matkę Ojczyznę. W pokrajane łopatki leli mu Moskale żywicę i zapalali ją potém, kleszczami wyciągali mu ręce ze stawów i gwoździe za paznokcie wbijali, a on nikogo nie wydał, owszem stale oprawcom swym powtarzał: Łotry! nowéj jeszcze probujcie męczarni, abyście się przekonali o mojém poświęceniu za Ojczyznę i za Braci. — Aż zdziwieni Moskale, wołać musieli: To żelazny człowiek! — Krwawy, krwawy los spotyka takich szlachetnych ludzi; tyraństwo, które nas gniecie, pastwi się nad nimi i rozlewa barbarzyńsko ich krew, ale ich cnota, ich poświęcenie, ich męczeńska śmierć nie mija bez nagrody w niebie, a czci wielkiéj tutaj na ziemi. Uważcie tylko sobie,—tysiące tysięcy ludzi zwyczajnych umrze i

świat się o nich ani pyta, ani kłopoce, — a po Konarskim, uczciwi Polacy wykradli nawet żelazne kajdany, i pierścionki sobie z nich porobić kazali. Do dzisiajszego dnia szczere dusze polskie noszą te pierścionki. A kiedy Konarski padł pod kulami i krew się z niego toczyła, kobiety polskie w jego krwi chustki maczały i jakby świętość jaką na wieczną pamiątkę dotychczas zachowują.

A słyszeliście już o Zawiszy? — Czy i on u nas był? zapytała Balbisia. — Był i on u nas, odpowie Grzegorz, ale tyś go nie widziała, bo cię wtedy właśnie matka wzięła z sobą na jarmark do Krakowa; i pewniebyś go też dobrze już nie pamiętała, boś wtedy mniéjszą jeszcze była. — Powiedzcie nam, powiedzcie, wołał Dudziak, o tym Zawiszy! On zapewne też takim był Emissaryuszem jak Konarski.

Zawisza, mówił Grzegorz, tak samo chodził pomiędzy ludem i zbierał sobie różnych chłopów na Moskala. Dowiedzieli się o tém Moskale, — wyruszyli z wielkiém wojskiem na niego i zaczęła się krwawa bójka. Zawisza bronił się z garstką chłopów do upadłego. Chłopskie kosy zmiatały Moskali jak kapustę, trupy waliły się jak żyto garściami na ziemię, ale trudno było podołać małéj garstce, kilkudziesięciu chłopom przeciwko całym tysiącom nieprzyjacioł. Większa część naszych poległa na placu, resztę wysiloną krwawą bitwą pojmano. Schwytano też i Zawiszę, który od zmordowania obalił się na ziemię; przywiedli go do Warszawy i zadekretowali na szubienicę.

Nie wiem, czy to istotna prawda, bo tam sam nie byłem, ale mi powiadał człowiek jeden z pod Warszawy, że kiedy Zawiszę przyprowadzili pod szubienicę, prosił księdza, co był przy nim, aby go pobłogosławił. Ale ksiądz przejęty świętém uszanowaniem przed takim człowiekiem, sam ukląkł przed nim na kolana i ze łzami zawołał: Nie ja ciebie ale ty mnie pobłogosław, bo ty za chwilę staniesz w gronie świętych Pańskich. —Głośny płacz ozwał się wtedy pomiędzy wszystkim Ludem, i nie jeden Moskal, choć to kamienne i diabelskie dusze, zmiękczył się na to. Zawiszę powieszono, a owego księdza podobno rząd moskiewski w te tropy porwał i posłał w sołdaty na Kaukaz, precz aż na drugą część świata.

Takich to ludzi rodzi nasza święta Polska, takich dusz szlachetnych jest wiele w naszym kraju, i zawsze o to tylko się starają, aby się z nimi Lud cały połączył; za to oni krew swoją w rękach nieprzyjacioł naszych przelewają. — A nasz Lud co? Oto jak bydło, słyszy o tém, patrzy nawet na to, i gawroni się, i myśli, że to tak być musi, że to tak dobrze, bo to rząd tak robi.

O przeklęte zaślepienie i taka nieczułość na własne pognębienie, na własny ucisk, na własną zelżywość i sromotę.

Ale mieliście nam, Grzegorzu, powiedzieć, i przyobiecaliście nas objaśnić w tych rzeczach,

których to Lud prosty nie wie, i że to on jak bydle głupie ciągle żyje.

Już to znowu nie wszyscy! odpowie Grzegorz. Przecież wam powiedziałem, że są jeszcze i uczciwi i prawi, i tacy z naszego prostego Ludu, którzy sobie bardzo dobrze na rozum biorą, że co Polak, to Polak, i że przecież w naszéj kochanéj Polsce stokroćby lepiéj było, gdyby się obcego wygnało. Reszta Ludu, trzeba prawdę powiedzieć, jest na takie rzeczy ciemna, jak tabaka w rogu, i byle im lada urwisz jaki w uszy lada czego natrąbił, zaraz wierzą i daliby się ubić, że prawda.

O! w tém macie słuszność, Grzegorzu, rzecze Butny, — zmiarkowałem się w tém bardzo dobrze, jak mi Dudziak począł o Poznańskiém powiadać. Powiedz sam, Dudziaku, czyś mi takich rzeczy nie powiadał.

Co prawda, to prawda, odpowie Dudziak, ja się tego nie wypieram. Wiem dobrze, że się tam nie jeden z naszych prostych ludzi pokłonił i podziękował kommissarzowi za obietnicę. J jakże tego nie było robić, kiedy im kommissarz zawsze powiadał, a to tak tylko pokryjomu, ażebyśmy byli spokojni i o nic się nie kłopotali, bo jak nam tylko czego będzie potrzeba, to on się już o wszystko u rządu dla nas wystara, i rząd nam niczego nie uskąpi, byleśmy mu zawsze byli wierni. A dziedzicom naszym nie kazał się o nic prosić, bo nam zawsze prawił, że i sam dziedzic nam nic ani dać, ani pomódź nie może, kiedy kommissarz na to nie po-

zwoli; a jak kommissarz nakaże, to pan, czy chce, czy nie chce, jednak nam wszystko dać musi.

Tak to nam i sołtysom naszym zawsze kommissarze powiadali i oszukiwali nasz prosty Lud takiemi słowami.

To wam zaraz powiem, jak u nas wedle szkoły stało. Oto już od kilku lat miano u nas budować szkołę. Sam dziedzic obiecał nam dać drzewa, cegły, wapna i wszystkiego co było potrzeba, nawet zapłacić cieślę i mularza; my tylko robotnika mieliśmy dostarczyć, i dał nam to już od kilku lat na piśmie. Ale że mu się całe prawie podwórze, stodoły, obory i dużo bydła popaliło, nie mógł tak wnet przyjść do siebie, aby nam tę szkołę mógł postawić. Dopiero ją więc wtenczas, kiedy ja miałem stamtąd wyruszyć, zaczęli budować. Nasi, jak się to rozmaicie przygodzi, chodzili do kommissarza, to za podatkiem, to za atestami dla ludzi.

Więc też raz powiedział do nich kommissarz: Cieszcie się, moi ludzie, że wy teraz pod pruski kenig być, bo wy teraz wszystko dostać, i kiedy nie kenig pruski i ja kommissarz, to wy od panie wasze nic nie dostać. A ten szkola, co wy teraz mieć będzie taki ladni, to wasz pan nie pyl chcieć go postawić i ani drzewo, ani cegla nie chcial dać, więc ja panu wasze byl mocno kazać, i teraz musi postawić taki ladnie szkole. Jak to do naszych kommissarz powiedział, wtedy się dopiero zmiarkowali, co to za okpiwacz i szelma, bo przecież dobrze wiedzieli, że kiedy im dziedzic zrobił zapis na postawienie szkoły, jeszcze ani tego kommissarza nie było. A on

chciał w naszych wmówić, że to on dziedzica zmusił do postawienia swoim kosztem szkoły.

Tak jest ze wszystkiém. Co się tylko dobrego stanie, kommissarz się dowie, zaraz naszym powiada, że to z jego poręki się stało, że to rząd nakazał; — a jak tylko co złego, albo nowe podatki, albo co inszego, wtedy powiada, że temu panowie winni, że to wedle panów muszą ciężary na ludzi nakładać. Takie to rzeczy trąbią w uszy prostym ludziom kommissarze. Wiele też jest głupiego ludu, co sobie myśli, że to prawda, i gdyby kto powiedział że kommissarz kłamie, że on tylko ludzi odurza, nie jedenby poleciał do kommissarza i doniósł mu to.

Ależ to przecież łajdactwo takich ludzi, żeby do Niemca i to jeszcze takiego szelmy chodzić i pytać go się o radę, i szeptać mu i rozkładać rzeczy na swoich, zakrzyknął z gniewem Butny co sobie dotychczas cicho siedział w kończiku i słuchał, jak drudzy mówili.

Jest to, dzieci moje! przemówił Grzegorz, jest to łajdactwo, jak Bóg na Niebie; — ale cóż, kiedy ten Lud taki ciemny, że wcale tego sobie nie miarkuje; — Lud myśli, że dobrą rzecz zrobi kiedy się ze wszystkiém, choćby i z najświętszą rzeczą przed kommissarzem wyspowiada. A tacy kommissarze! szczwane to lisy, przebieglejsze od wypuszczonych złodziejów. On ci się tak nad tobą ulituje, tak cię pociesza i chwali,ześ mu o wszystkiém doniósł i obiecuje ci nawet pieniężną nagrodę. A jak tylko taki prosty człowiek za drzwi od niego wyjdzie, kommissarz się z niego naśmiewa, że taki głupi.

Toć nie potrzeba lepiéj, rzecze Dudziak, jak mi o tém powiadała Maćkowa Jagna, co też przez dwa roki u kommissarza służyła. Ona na własne uszy słyszała i rozumiała, jak kommissarz do żony po niemiecku na nasz Lud prosty mówił : Te bestye też okropnie głupie! Nagadałem dzisiaj kilkom niestworzonych rzeczy ; — oni wszystkiemu wierzyli i przywtarzali mi i kłaniali mi się za to. Z głupimi ludźmi można robić, co się komu żywnie podoba. Dzisiaj nagadałem im okrutnie na panów i na księży ;— głupi ludzie wierzyli mi, że prawda. Ale wiesz ty, moja żono, czego się jednak boję? Oto, aby się nie zmiarkowali na moich słowach, boby mi pewnie tak zrobili, żebym kości moje w miechu musiał nieść do domu !

Otóż widzicie! to mi, jak Bóg żywy, Maćkowa Jagna powiadała i przysięgała się na Rany Chrystusowe, że tak kommissarz do żony swojéj mówił. Już co prawda, to prawda! Koniecznie na to ci kommissarze nastawają, żeby wszystek Lud pobałamucić. Teraz na ten przykład źle już na to patrzą, że po wsiach sołtysami są nasi starzy uczciwi ludzie. Więc zaczynają ich zrzucać ze sołtystwa i robić sołtysami takich, co dopiero wojskowość wysłużyli. Kiedym tam jeszcze był w Poznańskiém, powiadał mi taki jeden młody sołtys, co też jest landwerem, i cośmy razem do szkoły z nim chodzili, jak do niego mówił kommissarz. Oto kazał mu często do dworu chodzić i przepatrywać, co tam robią, a zawsze o tem donosić kommissarzowi. Ale ten sołtys, co mu na imie Jędrek, uczciwe sobie

człeczysko, tak mówił do mnie: Oto kommissarz myśli, żeśmy landwery, więc jużeśmy całkiem się zrobili Niemcami i swoich będziemy szpiegowali. Mnie na ten przykład obiecał kommissarz talara co miesiąc, abym tylko naszym ludziom o królu pruskim i o wierności ku rządowi mówił, a podględywał co się we dworze dzieje. — Ja mu powiedziałem: dobrze! — Ale niech takie rzeczy robi kto chce! mnie zaś niech Bóg broni, żebym się miał wdawać w takie paskudne rzeczy i w mojéj wsi być szpiegiem. Wolałbym zaraz żeby mnie zabili. Bo być szpiegiem, to już nie ma nic sromotniéjszego w świecie.

Tak mi o tém prawie słowo w słowo powiadał ten Jędrek, i wiem też na pewnika, że nigdy nikogo we dworze nie podględywał, a we wsi swoim ludziom tedy i owedy bąknął, żeby się trzymać kupy i dobrze myśleć o Polsce.

Ponieważ tedy, moje dzieci, ozwał się stary Grzegorz, miałem prawdę czy nie, że lada szelma Niemiec Lud polski na swoją stronę przeciąga, a to dla tego, że nasi są jeszcze ciemni?

A nie inaczéj! — odpowiedzieli wszyscy.

VII.

Ale dlaczego też, mówił dalej Grzegorz, człowiek kieruje koniem, wołem i różnemi zwierzętami? dlaczego ich używa, jako mu się samemu podoba, chociaż te zwierzęta są dwa, trzy i cztery razy mocniejsze od niego? — Odpowiedźcie mi na to! — Bo człowiek ma rozum, a zwierze go nie ma! odpowiedział Grobelny.

Dobrze mówisz! rzecze Grzegorz. Gdyby to zwierze wiedziało, że ono jest takie mocne i mocniejsze od człowieka; albo gdyby te wszystkie zwierzęta wiedziały o swojéj mocy i o tém że ich tyle jest na świecie, toby im pewnie ludzie rady nie dali. Mogliby je przez podstęp zabijać, ale nigdyby ich tak jak teraz do pracy według woli swojéj nagiąć nie mogli. Ale zwyczajnie—zwierzęta głupie nie wiedzą o tém i zdaje im się, że to już inaczéj być nie może, że człowiek musi mieć nad niemi górę. Więc je też człowiek zaprzęga, bije, niekaruje, jeść czasem nie

da i robić każe, a zwierze choć zbite, choć głodne, pracuje i ściąga się aż mu język do połowy wyjdzie.

Czy myślicie że z nami inaczéj się dzieje? Lud zwyczajnie jest jak to bydle. Niemcy i Moskale, co naszą ziemię obsiedli i teraz nam na karkach siedzą, wodzą wszystkich za nos, a Lud, nie znając swojéj mocy i swojéj wielkości myśli, że to tak być musi i że lepiéj stać się nie może.

O mój Jezu! przemówił nagle Butny. Gdybyć nam tak było dobrze pod temi obcemi rządami, na cóżby tyle ludzi umyślnie życie swoje traciło i koniecznie własnéj Polski chciało. Przecież życie człowieka też nie wiecheć, co go się na śmieci wyrzuca. A jednak tyle ludzi ofiaruje to swoje życie i idzie na śmierć, aby tylko jako wygnać obcych i mieć swoją własną Polskę.

Wiele ludzi, rzecze Grzegorz, tak sobie mówi: A cóż mi tam z téj Polski? bo mi to teraz nie dobrze? — Na ten przykład w Poznańskiém sobie mówią: Na co mi się tam bić z Prusakiem o Polskę, kiedy mnie Prusak uwolnił od pańszczyzny. — Na miałki rozum, jest to niby prawda, ale kto sobie tylko trochę rzecz rozważy, ten uzna, że to głupie gadanie. Lud prosty uznaje tylko to, co rząd dla niego niby dobrego uczynił, bo mu o tém i kommissarze i insi urzędnicy wciąż gadają i przypominają, a o tém co mu rząd złego ciągle wyrządza, nikt tak wyraźnie jak należy nie wspomni. Ale kiedy sobie kto dobrze weźmie na uwagę, to jednak okropny, okropny ucisk Prusak wszystkim

wyrządza. Prusak dał chłopom wolność, to jest: po kawale ziemi z dworskich gruntów, ale amteż swoich to nie porozdawał Polakom, ale we dworach poosadzał Niemców. Z tego, tych trocha chłopów jak się radują że są wolni i zaciągów nie robią.. Jabym Bogu najwyższemu podziękował, gdyby w całéj Polsce naszéj, jak jest długa i szeroka, nie było ani pańszczyzny, ani żadnéj uciążliwości, ale gdyby każdy był sobie panem na swojém. Tego sobie też każdy szczery Polak życzy i od dawności by do tego w całéj Polsce przyszło, gdybyśmy na raz własny rząd mieli, boć przecież już Kościuszko nasz to samo dla Ludu polskiego ogłosił. A potém Prusak, Moskal i Austryak to zagłuszyli, i w kilkanaście lat rząd pruski, jakby co nowego wymyślał, nakazał chłopom ziemię rozdać.

Ale też tylko w jedném Poznańskiém gospodarz nie robi pańszczyzny, a zresztą wszędy w Polsce ją robią, bo pod Moskalem i pod Austryakiem choć który dziedzic chciał uwolnić swoich, i nadać grunt na własność swoim ludziom, to nigdy rząd moskiewski i austryacki na to zezwolić nie chciał. Tylko tu i ówdzie kilku dziedziców pokryjomu, aby się rząd nie dowiedział, umówiło się ze swoimi na czynsz.

Prawda, że trochę chłopów w Poznańskiém nie robią pańszczyzny tylko czynsz płacą, ozwał się teraz ksiądz proboszcz, ale czyż oni się tak mają dobrze, jak się mieć uczciwy i pracowity człowiek powinien? Ja byłem w Poznańskiém przez cztery miesiące u krewnych moich, i napatrzałem się na

wszystko. Tam jest taka bieda i takie zmitrężenie prostego Ludu jak wszędzie, jak pod Moskalem i pod cesarzem austryackim. Parobek, dziewka, komornik i wszystko napracuje się i nabiedzi się, aż strach patrzeć, bo od trochy zarobku ciężkie podatki musi opłacać. Gospodarze trochę się lepiéj mają. Ale cóż i oni wielkiego mają? Tyle aby, że się wyżywią i na niedzielę porządniéjszą sukmanę przywdzieją niż komornicy — więcéj też nic, a i oni się napracują ciężko i prawie krwawo, a co grosz uzbierają to idzie na podatek.

I nie mogą przyjść do tego stanu, jak chłopi gdzie indziéj, jakiem to widział, tam nie daleko Francyi. Tam chłop ma u siebie lepiéj w izbie i w gospodarstwie, niż nie jeden z dziedziców polskich. Nie dziwota tam wcale, że u nas do tego nie może przyjść. Żaden kraj nie mitręży się tak podatkami, jak nas Polaków obce rządy mitrężą. Od najbogatszego do najuboższego — na każdym dzieje się ucisk i okropne zdzierstwo.

Widziałem to, moi mili, na własne oczy, jak to tam bywało. Nie jeden miał ładną jałówkę, co ją sobie na chów chciał zostawić, i cieszył się z niéj, i doglądał i pielęgnował, i miałby potém coś więcéj z bydlątka i ulgę w gospodarstwie. Ale cóż? Kaduk znowu jaki nowy podatek nadarzył; stary też trzeba było zapłacić, a tu nie było skąd. Wiedź bydlątko na jarmark i sprzedaj za lichy grosz, bo podatek pierwszy niż wszystko. Nie jedenby sobie bóciska albo koszulę był chciał sprawić, — dzieci trzeba było przyodziać, aby w zimie nie pomarzły,

albo soli kupić, albo kawałek mięsa;— gdzie tam! — na podatek wydaj ostatni grosz, sprzedaj przychowek i cierp biedę, póki cię Pan Bóg znowu czém nie opatrzy.

O wielkie to, wielkie uciemiężenie na nasz ubogi Lud. Porachować tylko co to nasz Naród musi Niemcom opłacać! to żal człowieka bierze. A w mieście to dopiero bieda na naszych Polaków! Czy on tam ma kawałek chleba, czy nie, czy ma za co kupić żywności, czy nie, o to się rząd nie spyta. A jakby tylko kto nie zapłacił podatku, to go naślą exekutorami, sfantują, obedrą i gdyby mogli, ostatnią koszulę zwlekliby z biednego człowieka. Nie jeden nie wie z czego i za co ma opłacać, kiedy nie ma ani leżącego grosza, ani zarobku. A jednak nie masz najmniejszéj rzeczy, za którąby się rządowi nie trzeba opłacać. Nie ma ani rzemiosła, ani handlu, ani niczego, za coby nie musiano opłacić, żeby tylko pozwolono być rzemieślnikiem i dano człowiekowi patent na robotę.

To już jest najokropniejsze zdzierstwo! To na ten przykład za to, że mi wolno w pocie czoła bóty robić i pracować dzień i noc, jak bydlę, abym z żoną i dziećmi z głodu nie umarł, — muszę się rządowi opłacić za to pozwoleństwo. Alboż to człowiek nie na to jest stworzony aby pracował, i jak może na kawałek chleba sobie zarabiał? Sam Pan Bóg przenajświętszy mówi do człowieka : pracuj człowiecze i módl się! — A tu rząd za to że pracujesz, że ci da pozwoleństwo do pracy jakiéj, każe sobie płacić? Jeżeli takie rzeczy nie są niesprawiedliwo-

ścią i zdzierstwem i uciskiem i mitrężeniem Narodu, to już nie wiedzieć, co jest sprawiedliwość.

Proszę księdza dobrodzieja, przerwał Dudziak, na co się też to te podatki opłaca i na kogo te nasze pieniądze idą?

Najboleśniejsza też to rzecz, odpowie ksiądz proboszcz, że Naród polski płaci podatki tak ciężkie, i wciąż płaci i coraz nowe płaci, a sam z tego najmniejszego pożytku nie ma. Z naszych podatków żyją Niemcy i Moskale; oni swoje brzuchy naszą krwawą pracą wytuszają, a nasz Naród się uboży i marnieje coraz bardziéj.

Prawda, że każdy kraj musi opłacać podatki. Tak na ten przykład Francuzi też płacą podatki, ale płacą na swoich własnych ludzi; mają za to własnych urzędników i własne wojsko, więc Naród francuzki wyżywia tylko swoich ludzi. Anglicy tak samo, i u wszystkich Narodów tak jest. Tylko my Polacy jesteśmy nieszczęśliwi, — tylko my płacimy i ciągniemy się do ostatniego na podatki, które idą nie na naszych ale na samych obcych ludzi, na skarb moskiewski, pruski, austryacki, na urzędników samych Moskali i Niemców i na wojsko nieprzyjacielskie, co się w naszym kraju wytucza i za to nam bagnetami grozi. Nie dziwota też że Lud polski o mało zgłodu nie umiera, kiedy tyle milionów obcego ludu przychodzi chleb jego zjadać. Bo tylko sobie dobrze uważcie; kto to jest na tych urzędach? W Poznańskiém, sami Niemcy; — pod Moskalem, Moskale albo tacy Polacy, co są jeszcze gorsi od samych Moskali, szpiegi, odzie-

raki, coby nas wszystkich w łyżce wody chcieli utopić; pod Austryakiem, tak samo. I to w całéj naszéj kochanéj Polsce tak się dzieje. Co się tylko jaki uczciwy Polak wyuczy i chce być urzędnikiem, nie dadzą mu urzędu, bo Niemiec zawsze pierwszy. Więc nasze Polaczyska idą na bok i znowu czekają, i znowu się dopraszają urzędu, ale nadaremnie. Zawsze im Niemcy odpowiedzą, że się nie zda na urzędnika, choćby się jak najlepiéj był wyuczył. Już to z trudna się zdarzy, że się gdzie jaki Polak dostanie do urzędu. Niemców i Moskali wszędy od pełności; z Brandeburga, z Szwabii, z Petersburga i Bóg miły wie skąd się tego ciągle złazi, i siedzą i obrykują się na naszych i bogacą z naszego od dnia do dnia coraz bardziéj.

Kiedy ksiądz proboszcz skończył, odezwał się Dudziak: ja tego tak dobrze nie zapamiętam, ale nieraz mi starzy ludzie powiadali, jak to Prusaki do naszego kraju przychodzili. Taki Niemiec, co do naszego kraju wędrował, szedł piechty i na taczce wiózł swoje manatki. A teraz, mój Boże! żal człowieka bierze patrząc jak się u nas popanoszyli. — W mieście największe i najładniejsze kamienice jeżeli nie do Żydów, to do Niemców należą; wszyscy się pobogacili i już sobie ci sami Niemcy, co do nas z taczkami przyjeżdżali, wsie wielkie pokupowali. A z czego? tylko z naszego, z naszéj krwawéj pracy i z naszych podatków. A nasi Polacy? Oto nie jeden podupadł i musiał się wyprzedać do ostatka, i zmarnował się, i przyszło mu żyć o żebranym chlebie.

O wielu, wielu jest Polaków, mówił potém ksiądz proboszcz, którzy przed Prusakiem byli na urzędach, a jak tylko Prusak naszą ziemię zajął, zaraz ich spędził z urzędów. Cóż mieli robić? biedzić się i patrzeć zmiłowania Boskiego.

Teraz same Niemcy wszystko zajęły i obsiadły, wojska do kraju naprowadzili co nie miara, a nasz polski kraj musi żywić obce plugastwo i dogadzać mu i słuchać. Swoim, naszym Polakom, choćby zmarnieli, rząd nie dopomoże.

Ale proszę też księdza dobrodzieja, przemówił znowu Dudziak, czy też to może być prawda, co nam kommissarz zawsze powiadał? On mówił, że za nasze podatki rząd pruski i król o nas dobrze pamięta, i dobrze nami zawiaduje, i chce tylko naszego szczęścia.

Dzieci moje! odpowie ksiądz proboszcz. Nie powiem wam ani że prawda, ani że nie prawda, bo byście sobie jednak mogli różnie jeszcze myśleć; — ale powiem wam tylko, jak się to z naszą Polską stało i co z naszą Polską obce rządy zrobiły, a sami na własny rozum wyrozumiecie, czy to może być prawda, że rządy obce, albo tam król pruski, Ludowi naszemu polskiemu dobrze życzy i tylko szczęścia naszego pragnie.

To co się stało z naszą nieszczęśliwą Polską, można sobie tak po prostu wymiarkować.

VIII.

Oto na ten przykład, ty masz gospodarstwo i gospadarujesz sobie w niém, i drudzy też mają gospodarstwa swoje i też sobie gospodarują w swoich. Ale na ten przykład, tobie się nie bardzo dobrze wiedzie, sprzęt masz lichy, albo ci bydło choruje i wypadnie, i bieda cię poczyna dopiekać.Cóż wtedy powinni uczynić twoi sąsiedzi, jeżeli mają duszę chrześciańską i uczciwą? Cóżbyście wy wtedy uczynili, gdyby jednego z was naszła taka bieda.

Cobyśmy uczynili? ozwało się kilku. Oto dopomoglibyśmy temu, coby mu się źle wiodło; dałoby się po trosze zboża na zasiew, tedy i owedy pojechałby jeden i drugi zorać mu parę zagonów swojém bydlątkiem, — alboby mu się zawlekło połowę, i jużby mu przecież była jakaś ulga.

Widzicież więc, moi mili! rzecze ksiądz pleban. Tak by sobie postąpił każdy chrześcianin, co ma duszę poczciwą.

Ale na ten przykład, gdyby też ten gospodarz w biedzie miał kilku sąsiadów, coby się na to zmówili i zamiast mu w czém dopomódź, gdyby go napadli, potłukli, gdyby mu gospodarstwo odebrali, sobie samym przywłaszczyli i swoich ludzi powsadzali, coby się z tego gospodarstwa żywili, i gdyby ci źli sąsiedzi jeszcze sobie kazali temu biednemu opłacać i do nóg upadać i dziękować za tę łaskę. Powiedźcie, coby z was każdy odpowiedział takim ludziom, gdyby oni przed wami śmieli się nazywać waszemi dobrodziejami?

Cobyśmy odpowiedzieli? zakrzyknął Butny. Jabym już nic nie odpowiedział, alebym przez łeb grzmotnął kłonicą, żeby psiawiara już więcéj nie wstał.

Oj tak szelmie zrobić! tak mu zrobić! wołali wszyscy.

Uważcie więc, moi mili! mówił pobożny kapłan, temu człowiekowi tak byście zrobili. A rządy moskiewski, austryacki i pruski jakżeż z nami sobie postąpiły?

Nasz polski Naród był kiedyś potężny, mocny i wszystkim Narodom podawał rękę i wspierał. Wszędy krew swoją za dobrą sprawę przelewał. Nasz Naród poszedł z Sobieskim pod Wiedeń, pobił Turków, co już Niemcom na karkach siedzieli i obronił Niemców od panowania i niewoli tureckiéj. Po całéj ziemi rozległo się imie Polski, wszędy czczono Polaka, że taki dzielny i uczynny, — a uważcie sobie! kiedy na nas przyszła godzina słabości i niemocy, wtedy nasi sąsiedzi : Moskal i

Prusak i ten Austryak, co go nasz polski Naród wybawił od Turków, napadli na nas zamiast coby nam pomódź mieli, zwalili nam na kark swoich urzędników i wojsko swoje i wszystko, i każą żywić i drą ze skóry, i cicho za to być każą, albo się jeszcze każą sobie kłaniać i nazywać dobroczyńcami naszymi. Cóż wy na to? Mówcie!

O! ratuj nas Jezu! zawołał Dudziak. Któżby się tego był spodział? Ja sobie zawsze miarkowałem, że to pewnie więcéj obłudy i podstępu niżeli prawdy jest w tém, co nam kommissarze powiadali. Ale teraz, — teraz dopiero widzę dowodnie, jak nas te szelmy podchodziły i w głowie nam tylko przewracały. Widzę teraz jak na dłoni całe szkaradzieństwo, którego się rządy obce na nas dopuszczają i o jednąbym już tylko rzecz Pana Boga gorąco prosił.

A to o jaką? zapyta Grzegorz.

O jaką? odpowie Dudziak. Oto żeby wszyscy Niemcy albo Moskale mogli się tak zrość w jednego człowieka. Niechby tam był i najmocniejszy na całym świecie, — to jakbym go w łeb zdzielił choć jeno kamieniem albo kłonicą, toby psia bestya już więcej się nie ruszyła.

Dziecko kochane! rzecze Grzegorz stary. Tego wszystkiego nie potrzeba i staćby się też nie mogło. Gdyby tylko każdy w naszéj Polsce, czy on chłop, czy mieszczanin, czy ksiądz, czy nauczyciel, czy dziedzic, czy służący, gdyby tylko wszyscy szczerze pokochali kraj swój i zrozumieli na dobre że się trzeba koniecznie połączyć i pozbyć ciemię-

życiela, — to jakbyśmy się wszyscy wzięli do roboty, ani noga by nie uszła z wszystkich nieprzyjacioł naszych.

Ale jakże nam ma być lepiéj kiedy Lud prosty tak się zagawronił, tak wierzy każdemu szelmie, co mu w uszy natrąbi, kiedy tu nasz Lud wciąż myśli, że rząd mu tylko dobrze świadczy, — i nie miarkuje się dobrze o tym okropnym ucisku i uciemiężeniu, które koniecznie trzeba zrzucić i zniszczyć.

A znowu mieszczanie i insi, co sami dobrze rozumieją naszą niedolę, powiadają: A cóż my poczniemy? My sami Moskalom i Niemcom nie poradzimy, kiedy Lud ze wsi nie chce iść z nami i woli trzymać z nieprzyjacielem. Gdyby to Lud ze wsi chciał się z nami szczerze połączyć, zgnietlibyśmy od razu wszystko coby nam się tylko nawinęło.

Widzicie dzieci moje! Tak to sobie uczciwe dusze myślą i Pana Boga gorąco proszą, aby choć trochę oświecił Lud nasz prosty, coby przecież raz uznał, że obce rządy tylko go ciemiężą i oszukują. A jak Lud nasz przyjdzie trochę do rozpoznania, wtedy zapewne nie będzie słuchał podszeptów niemieckich ani moskiewskich, tylko zacznie się łączyć ze swojemi rodakami, i wtedy będzie nadzieja że nam lepsze czasy zajaśnieją.

Ale powiedźcie nam Grzegorzu, mówił Dudziak, w czémby też to te lepsze czasy były. Bo choć to człowiek sobie dobrze miarkuje, że musiałoby być lepiéj gdybyśmy sami bez obcych byli w téj naszéj Polsce, ale tak na dobre jeszcze nie wyrozumiałem, w czémby się nam ulżyło.

Moje dziecko! odpowiedział Dudziakowi nie Grzegorz ale sam ksiądz proboszcz, kto nie w ciemię bity, ten od razu wyrozumie, ile to dobrego nie dla jednego Polaka, ale dla każdego a każdego bez wyjątku, dla każdego co tylko żyje na polskiéj ziemi, ile się dobrego stanie, jak się wypędzi naszych nieprzyjaciół wszystkich trzech.

Bo powiedźcie mi, moi mili! czemu to dawniéj za polskich czasów, choć tam było i poddaństwo i ucisk, ale czemu to jednak takiéj biedy nie było jak teraz? — Nie jeden się jednak dorobił i na starość w spokojności sobie żył i chwalił Pana Boga. Były wielkie, wielkie bogactwa w kraju i choć chłop prosty, kiedy przyszło córce weselisko wyprawić, to już żadnego nie było, coby nie wyprawiał wesela przez cały tydzień, a często gęsto i dłużéj. Kogoż dzisiaj na to stanie? Z rzadka się gospodarz przytrafi, coby tego dokazał; — a jak wesołuje przez tydzień, to potém przez długi czas ledwo ma co do gęby włożyć. Za polskich czasów i wesele dłużykie wyprawiał i jeszcze go potém na to stało, że sobie mógł i uczciwie zjeść i przyodziać się. — Powiedźcie mi, czemu to teraz tak się wszystko pokurczyło?

Każdy myślał a myślał, nareszcie się ozwał Grobelny: Ja mówię, to wszystko dla tego, że teraz ciężkie czasy.

Ciężkie czasy, o! prawda. Dla tego też to tak wszystko idzie jak z kamienia i niczego się nie można dorobić! zawołało kilku inszych.

Ciężkie czasy? mówił daléj ksiądz proboszcz.

A dla czegoż to te ciężkie czasy? Czy to wciąż są nieurodzaje? czy to wciąż bydło choruje? czy to wciąż drożyzna? czy to cały nasz kraj pogorzał, albo czy to nasza Wisła wciąż wylewa i zatapia cały kraj?

Ani to, ani owo nie winno ciężkim czasom. Insza to jest całkiem rzecz, dla której w naszéj Polsce coraz cięższe czasy. Uważajcie tylko dobrze, a wytłumaczę wam.



IX.

Dawniéj za polskich czasów kto tylko miał rozum i naukę, czy on taki czy owaki szedł na urząd. Wszystkie urzędy od najwyższego do najniższego były obsadzone samymi Polakami i całe wojsko polskie, było chłop w chłopa polskie. Wszyscy jenerałowie i pułkownicy i oficerowie aż do prostego żołnierza byli Polacy. Uważcie więc, że wszyscy urzędnicy w całéj ogromnéj Polsce i wszystko wojsko składało się z samych polskich ludzi. Któż więc mógł pobierać te wszystkie pieniądze i pensye, co je teraz pobierają Niemcy i Moskale, jeżeli nie nasi.

To na ten przykład, dziedzic co miał jaki urząd i swoje wioski, nie potrzebował się tak już krzątać i kłopotać i zbierać ze swoich wiosek, bo miał urząd i za ten urząd pobierał takie pieniądze, że mógł za nie życie swoje i wydatki opędzić. Dla tego też na swoich wioskach własnym ludziom ni-

czego skąpić nie potrzebował i można się było przy nim i dobrze mieć i dorobić. — Tylko sobie uważcie! — Gdyby który z nas przy swojém gospodarstwie miał jeszcze jaki urząd, gdyby na ten przykład był wójtem, albo który mędrszy, kommissarzem obwodowym, albo czém inszém, toby przecież za ten swój urząd brał zasługi i z tych zasług by sobie mógł żyć uczciwie i nie potrzebowałby się ciągle na ten kawałek roli oglądać. Choć nic więcéj, — przynajmniéj by się ze swego urzędu wyżywił i przyodział, a to co mu z gospodarstwa przyjdzie, mógłby do skrzynki schować. Czeladce swojéj by też nie potrzebował skąpić, więc by i czeladź się lepiéj mieć mogła i choć mało wiele, jednakby się czegoś dorobić mogła.

Dziś tego wszystkiego być nie może: Niemcy i Moskale, albo najostatniéjsze szelmy z Polaków zajęły wszystkie urzędy i biorą wielkie pieniądze, biorą nasz wszystek podatek, nasz zapracowany grosz. Polaków uczciwych odpychają wszędy od urzędów! Więc wszyscy Polacy tylko idą do rzemiosła i do roli. Rzemiosło więc i rola muszą wszystko dać, co nam samym potrzeba i muszą dać te pieniądze okropne na cudzych urzędników. Kto ma kawałek gruntu, albo i wieś, i więcéj, już znikąd nic nie wydobędzie, tylko wszystko musi wyciągnąć z tego gruntu i musi przemyśliwać, jakby to najwięcéj z téj roli zebrać i zboża i grosza.

Dla tego też to nie ma folgi dla pracującego człowieka i dla tego tylko, dla tego są te ciężkie czasy

i ten skwierk biednego Ludu, i to skarżenie się całego Narodu polskiego na biedę.

Ale, dzieci moje kochane! nie byłoby tych czasów, wygnalibyśmy biedę i mitręgę za granicę, gdybyśmy wygnali naszych trzech ciemiężców i pognębicieli.

Wtedyby wszystkie urzędy były dla nas samych. I ministrowie i prezesy i landraty i starostowie i kommissarze obwodowi i sędziowie i jenerały i pułkownicy i oficerowie, — wszystkoby to było z Polaków złożone. Więc ktoby żywnie miał mało wiela prostego rozumu albo nauki a był poczciwy, dostałby urząd i miałby z czego żyć. Żaden dziedzic by już nie pobierał czynszów, boby ich nawet nie potrzebował. A rząd polski nakazałby tak : Kto ma grunt, niech go ma dla siebie na własność, nikomu się z niego nie opłaca ani odrabia, i pracuje sam na siebie. Wszystkie zaś dobra, które w naszéj Polsce obce rządy sobie przywłaszczyły, rozdają się pomiędzy takich, co jeszcze gruntu nie mają, a chcą w roli pracować. Wsi takich jest co nie miara. Można rachować i rachować, i jeszcze się wszystkich nie zrachuje.

I cóż na to powiecie, dzieci moje? Mogłożby być lepiéj w naszéj Polsce, czy nie? gdyby cały Naród to uznał i wziął się potém za ręce?

O Jezusie Nazareński! zawołało kilku. Przecież to, jakby się prosto rękę Opatrzności przed sobą widziało!

Prawda to, prawda, mówił znowu ksiądz proboszcz, że nam się do wszystkiego otworzą wrota i

każdy będzie się mógł radować ze swéj doli, jak się wypędzi obcych. Ale póki się tego nie zrobi, wciąż ten sam ucisk będzie i ta sama bieda. Niemcy nie przestaną żywić swoich urzędników i swego wojska w naszym kraju, nie przestaną ściągać tych tysięcy milionów, co je z każdym rokiem z naszego kraju ściągają. Wciąż nasz Lud będzie płacił i mitrężył się, boć król pruski nie przyśle ze swoich skarbów ani grosza na używienie swoich ludzi w naszym kraju. Wszystko a wszystko wyciąga grosz; gdzie się ruszysz, tam się musisz opłacić.

Uważmy tylko na te sądy! Tam to niby znajdziesz sprawiedliwość i nie potrzebujesz się nikomu dać skrzywdzić, bo idziesz do sądu i skarżysz. Wszystko to dobrze, moje dzieci! Gdyby to ten sąd był uczciwy, toby się można cieszyć z takiéj zaprowadzonéj sprawiedliwości. Ale wy o tém nie wiecie, boście nieświadomi, jak to sąd każdą sprawę przewłóczy i długo ciągnie, a to tylko umyślnie, żeby wam jak najwięcéj kosztu narobić. Sąd niby pokrzywdzonemu odda sprawiedliwość, ale to nieszczęście, że on was sam krzywdzi i to bardzo, bo was umyślnie na koszta wyprowadza. Wygrasz ty sprawę, to dla ciebie samego jeszcze pół biedy; — tylko ten drugi za to bardzo cierpi. Ale jak też ty przegrasz, to niech Bóg broni. Oni tam w sądzie każdą literę sobie porachują, co ją w waszéj sprawie napisali i drogo ją sobie każą płacić. A jak nie dasz zaraz, to ci exekucyę naślą. Potem i exekutne i koszta zapłacić musisz. Jeżeli cię na to niestanie, wtedy i pierzynę sprzedadzą,

a swoje dostać muszą. I to tak ze wszystkiém idzie w sądach.

I jakże nie ma być biedy? jakże biedny człowiek ma przyjść do czego?

Już to tak bywa, odezwał się Grzegorz, że kraj, co go obcy rabuśnik zagarnie, zawsze jest pastwiskiem, na którem się obce bydło obżera, a swoje chudnie i niszczeje.

I czy to wszystko potrzebne? mówił znowu ksiądz proboszcz. Czy na ten przykład Prusak potrzebnie ten Lud mizerny tak uciska i ciemięży podatkami? Alboż to rząd mało już zrabował w Polsce.

Cóż powiecie na tyle klasztorów, co je Prusak pokasował, na te klejnoty, na te krocie tysięcy talarów, co je po klasztorach poznajdywał i pozabierał, — na tyle dziesiątków wsi, co klasztorom poodbierał i sobie przywłaszczył?

Wszechmocny Boże! co tam za różne przeróżne kosztowności były! Monstrancya święta ze szczerego złota, co ją czasem jeden człowiek ledwie mógł unieść; kielichy złote od mszy świętéj, ornaty drogiemi kamieniami wysadzane,— wszystko a wszystko Prusak z klasztorów zacapił, całe majątki klasztorne zagrabił — i cóż z tych okropnych pieniędzy dla biednego Ludu uczynił.

Dzieci kochane! nic a nic, zgoła nic nie uczynił. Te wszystkie kosztowności i klejnoty,—wszystkie

świętości kościelne i wypakowane wozy pieniędzy,— wszystko to rząd zabrał i wsypał na jedną kupę z swojemi skarbami. Polakom ani Bóg zapłać za to nie powiedział.

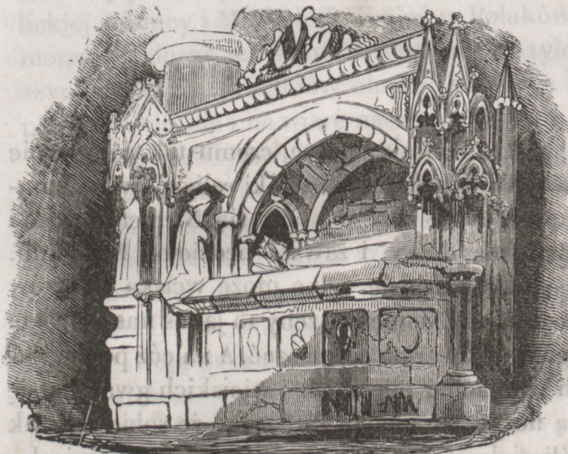
A po dobrach które klasztorom powydzierał, poosadzał oberamtmanów i na ten nasz śliczny grunt, skąd tylko mógł, sprowadzał Olędrów; nawet im pieniędzy rząd pożyczał, aby ich tylko jak najwięcéj na naszéj ziemi osiadło.

Gdyby to jeszcze co poczciwego było, zawołał Dudziak. Ale te nasze Olędry takie szelmy, żeby nasz polski Lud zębami gryźli, gdyby mogli. Toć kiedy tak wiele było o rewolucyi, Olędry w Czarnkowskim powiecie wszyscy się uzbroili w kosy i z kommissarzem chcieli iść wyrzynać nas Polaków.

O szelmy! łajdaki! nie wartni tylko aby ich obwiesić! wołali na głos wszyscy,

Słuchajcie tylko, niech wam dokończę! rzekł ksiądz proboszcz. Powiedziałem wam ile to rząd pruski nazagrabiał i wsi i pieniędzy i klejnotów. Nie powinienby on za to biednym ludziom, co się w pocie czoła napracują, opuścić jeżeli nie wszystkie, to przynajmniéj połowę podatków? Ale gdzie tam! Rząd sobie mówi : Com wziął, tom wziął, to moje własne i grosza z tego nie wydam! Albom ja głupi co wydawać? Niech płacą podatki; prędzéj się z nędzy zmarnują. A dla tego też to rząd pruski polskiemu Ludowi nie pożycza pieniędzy, żeby

şobie który mógł zakupić gruntu, jak Olędry pozakupywały, jeno uciskają podatkami i gnębią do ostatniego, a Niemcom olędrom pożyczają pieniędzy, aby jeno naszą ziemię zakupowali?



X.

O! wie to Prusak dobrze, czemu tak robi, a nie inaczéj. On wie dobrze, że póki religia święta katolicka stoi u nas mocno, póty się Niemcom zjeść i strawić nie damy, i zawsze będziemy Polakami. Więc dla tego, gdzie tylko może wciska Olędrów i wszelakich Niemców, żeby to jakoś naszą świętą religię z ich Lutrem pomieszać. A na cóż po wszystkich szkołach i miejskich i wiejskich gwałtem się każą uczyć po niemiecku? tylko że sobie Prusak myśli: jak się nauczą po niemiecku i po niemiecku gadać będą, to też łatwiéj do wiary luterskiéj przystaną.

O! co do tego, krzyknął Dudziak, to się prędzéj Lud nasz w próchno rozsypie, a wiary świętéj sponiewierać nie da. Niech się stanie co chce! Pan Bóg jest wszechmocny, a i na zdrowéj ręce u nas nie zabraknie.

Dzieci kochane! mówił daléj ksiądz proboszcz,

człowiek nie ma na świecie nic droższego, nic świętszego nad religię świętą, którą po pradziadach swoich odziedziczył. Zabierze ci kto dobytek, to jeszcze przy pomocy Bożéj jakoś sobie poradzisz, — ale jak ci kto wiarę świętą wydrze, to cię zabił na wieki, bo cię wtedy i sam Pan Bóg przenajświętszy od siebie odrzuci.

A widzicie, dzieci moje! że z téj świętości, co nam się jeszcze pozostała, téj naszéj religii katolickiéj Niemcy i Moskale ścierpieć u Polaków nie mogą. Nie dosyć że zrabowali klasztory, że tyle naszych świętych kościołów obrócili na swoje kryple i cerkwie, ale i na wiarę naszą się zasadzili.

Alboście nie słyszeli o tym Czerskim, co jeździł po Poznańskiém jak Ancychryst jaki i naszych ludzi chciał na swoje przekabacać? A wy nie wiecie, jak mu we wszystkiém rząd dopomagał. Rząd byłby mu nie wiem co dał za to, aby nam tylko świętą religię popsuł i naszych kotolickich Polaków na swoją paskudną wiarę przeciągnął. Pamiętam ja dobrze, i nigdy tego nie zapomnę, co mi powiadał jeden z takich którzy się już byli dali Czerskiemu opętać. Ja mu mówiłem, że ich wszystkich nasz Lud ukamienuje. A on mi na to: alboż to nie ma rady na takie rzeczy? Nam rząd obiecał na każde zawołanie dostawić tyle wojska, ile będziemy chcieli. Katolicy nam nic nie zrobią. A jak się nam uda wielu Polaków, i mieszczan i chłopów i dziedziców na nową wiarę przeprowadzić, wtedy nam rząd obiecał za to majątki i tytuły.

Tak mi ten psiawiara wtedy powiadał. Ja mu

plunąłem w oczy i mówię: a nie boisz się też kary Bożéj, za to, że za pieniądze, które ci rząd ma wypłacić, śmiesz kościół nasz święty i wiarę naszą katolicką tak sromocić? A on mi znowu odpowiedział: To tak bardzo nie chodzi o wiarę, tylko bardziéj o to, aby przez tę nową wiarę Lud polski bardziéj zbliżył się do Niemców.

Wtedy już się nie mogłem pochamować. Jak się odmachnę, jak nie zamaluję szelmę na odléwkę! obaliła się psiawiara od razu. Ale cóż to wszystko pomogło? Za kilka niedziel dowiedziałem się, że ta sama diabelska dusza znowu jeździła i naszych opaskudzała.

Toć ja sam, przerwał Dudziak, byłem wtenczas w Poznaniu, kiedy ten Czerski tam przyjechał i wiem co się działo. Powiedzieli mi tam zaraz, że on był najprzód księdzem katolickim, a potém, że mu już diabeł był wlazł w duszę, ożenił się. Oczywiście, że nasz biskup zaraz wyklął z kościoła świętego i zegnał z probostwa. Owoż ten Czerski nie mając probostwa jak dawniéj, zaprzedał się za pieniądze rządowi, że nam wiarę naszą zepsuje i na Niemców przerobi. W Poznaniu Lud się zgruchnął i już go mieli ukamienować za taką bezwstydność i obelżywość religii świętéj, — ale mu zaraz na pomoc wystąpiły wojska i jak zaczęli naszych końmi tratować, jak zaczęli iść z bagnetem na nasz prosty Lud, co był z gołą ręką, — stratowali kilku i poprzebijali. A Czerski jakoś uciekł i wymknął się z miasta, boby mu pewnie życia nie byli darowali.

Już to prawda, ozwał się stary Grzegorz, co ksiądz dobrodziéj dawniéj mówił, że mu rząd łapę nasmolił pieniędzmi i zaś mu z wojskiem pomagał; — bo teraz i Prusak i Moskal i Austryak nie tyle wierzą w swoją własną moc, co w podstępy i zbałamucenie i zagłupienie naszego Ludu.

O! już to dawno Prusak o tem myśli, jakby tę naszą świętą wiarę wykorzenić. Kiedy to nakazał, aby się Polacy z Niemkami a Niemcy z Polkami żenili, wtenczas już tego chciał, aby nasza święta wiara z nimi się zmieszała. Bo myślał sobie: jak mąż pójdzie do inszego kościoła i żona do inszego, albo jedno dziecko do naszego katolickiego, a drugie do luterskiego, to się o to będą kłucili i będzie niezgoda w domach wszystkich, i nie będzie już tego uczciwego, pobożnego życia polskiego. W końcu byłoby jednak do tego przyszło, żeby wielu z pomiędzy naszych zostało Niemcami.

Ale im się takie szelmostwo nie udało, zawołał Dudziak, bo nasz nieboszczyk arcybiskup Dunin, — Panie, daj mu królestwo niebieskie! — jak stanął, tak powiedział, że nie da i nie da. Więc go rząd w nocy z wojskiem jak prostego złodzieja napadł i porwał. Siedział długie, długie czasy na fortecy w Kołobrzegu, aż nad morzem, a myśmy się gorąco do Boga modlili, aby mu dodał mocy swojéj świętéj i wytrwałości. On też, jak raz powiedział, tak go więzili i więzili, a jednak na krok ze swego nie ustąpił. Przecież że go po śmierci przeszłego króla pruskiego wypuścili i na naszém się zostało. Ale co wycierpiał od Prusaków za naszą religię świętą, to

chyba sam Pan Bóg wie i stokrotnie mu to wynagrodzi.

Na takie to sposoby, mówił znowu ksiądz pleban, biorą się Prusaki, aby nas przygnębić i na swoich przerobić. Ale w tém nasz Lud nie ostatni! Wara temu, coby jak złodziéj do skrzynki, sięgał mu do serca i tam mu wykradał, co ma najświętszego w świecie. Lud nasz dobrze rozumie, że religii swojéj musi bronić aż do ostatniéj kropli krwi. Oby tylko zrozumiał i to uciemiężenie i mitręgę, którą nas Prusaki i insi przygnębiają a pewnieby codzień kosę poostrzał na Niemców.



XI.

Kiedy ksiądz proboszcz ostatnich słów domawiał, otwarły się drzwi i wszedł do izby człowiek w modréj sukiennéj kamzeli, rosły, ale już nie młody, z wąsem krótko przystrzyżonym i czarnemi na ramiona spadającemi włosami. Zdjął wysoką, siwą czapkę i: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! powiedział. — Na wieki wieków Amen! — odpowiedzieli mu zebrani w izbie Grzegorza.

Czy tu jest między wami Mikołaj Grobelny? zapytał nowo przybyły człowiek. — A otoż jestem tutaj! odrzekł powstając z ławy. Cóż tam do mnie macie, przyjacielu? — Co do ciebie mam? Alboż mnie to nie poznajesz,—Maćka, swego brata.

O Jezusie Nazareński! krzyknął Grobelny. Toś ty Maćku, moj bracie najukochańszy? i nie czekając chwycił go w ramiona i serdecznie się ściskać i całować poczęli, a obudwom łzy radości stały

w ozach. Po radosném przywitaniu, obejrzał się nowo przybyły po izbie, a ujrzawszy księdza proboszcza i starego Grzegorza pokornie się obydwom skłonił, a oni podali mu rękę i przywitali jak brata.

Posunęli się ci co siedzieli na ławie, i usiadł przy nich Maciéj, brat Grobelnego. — Ale zmiłuj się, Maćku! przemówił nasz Grobelny, skądże ciebie Pan Bóg prowadzi? Przecież mi już przed pięciu laty na pewne powiadali, że ci się gdzieś tam o sto mil od nas zmarło. Płakałem już po tobie i zakupiłem mszę świętą za twoją duszę, — a ty się tu naraz pojawiasz?

Jeszcze się Panu Bogu nie podobało zabrać mnie z tego świata. Żyję oto jak widzisz i skorom się teraz po szesnastu leciech wywiedział, że ty żyjesz i tutaj zamieszkujesz, pobrałem się teraz właśnie temu trzy niedziele i przyszedłem do ciebie, abyśmy się przynajmniéj raz jeszcze przed śmiercią zobaczyli. Byłem w twojéj chałupie i nie znalazłem cię, a jak mi twoja kobieta powiedziała, żeś tutaj jest, — jużem niemógł dotrwać i przybiegłem.

Dobrześ zrobił żeś przyszedł, mówił mu Grobelny, boś i pomiędzy uczciwych ludzi wstąpił i nie jedno ci się tu o uszy obije, czegoś pewnie dotychczas nie wiedział.

Ale kiedyś moją chałupę nawiedził, odezwał się Grzegorz, to mi też powiedz, z jakich stron do nas przychodzisz?

Oto szedłem i jechałem, jak się zdarzyło, prosto wczoraj trzy niedziele. Więc przybywam prawie

o dziewięćdziesiąt mil stąd : tam het aż z za Warszawy, bo mieszkam głęboko w województwie Augustowskiém, we wsi Rębiechowie. Nie daleko już od nas do litewskiéj granicy.

A jakże się to stało, zapytał go nasz Grobelny, żeś tak zaraz po téj Rewolucyi w Warszawie gdzieś się odemnie podział, i nigdzie się o ciebie nie mogłem dopytać.

Bo to widzisz braciszku, odrzekł Maciéj, namówił mnie ten wąsala Wojtek, co to z nami był w pułku jenerała Dembińskiego, żeby z nim pójść do Rębiechowa, — że on tam ma swoje dobre gospodarstwo i że tam sobie oboje będziemy gospodarowali. Wiesz przecież, jakeśmy się z nim kochali! Jeden dla drugiego byłby krwi z palca utoczył. Nie mogłem mu się wymówić i zaraz do tego Rębiechowa pośpieszyliśmy. Niedługo potém ożeniłem się z uczciwą wdową, i mam kilkoro dzieci własnych i jednego dorosłego pasierba. Gospodarzyłem sobie jak mogłem, — a jak się tylko dowiedziałem od furmana, co tu od was tamtędy przejeżdżał, — że ty tu siedzisz, kazałem pasierbowi za siebie gospodarzyć a sam się tu puściłem.

I cóż tam u was słychać? zapytał się Grzegorz. Żyją tam jeszcze bracia nasi z polskiém sercem, czy nie? Dobrze się tam u was dzieje, czy źle? — Różnie tam u nas jest, odpowie Maciéj, ale dobrze prawie nikomu nie jest. Wszędy biedy dosyć i z trudna komu przyjść do czego. — Bo się też pewnie nie najlepiéj gospodarujecie, rzecze Grzegorz, albo nie jeden nie dołoży rąk do pracy jak należy.

Dołożyć i rąk i pracuje człowiek nasz od świtu do zmroku! odpowie Maciej. To znowu jest prawda, że nasz człowiek z wielką chęcią też nie pracuje, bo nie ma swego. U nas, w naszéj wsi robota już wcale inaczéj idzie, bośmy się z naszym panem tak pokryjomu ugodzili, że wszystko, co mamy, jest nasze własne, a do dworu tylko jeden dzień odrabiamy. Ma człowiek swoje własne, więc zaraz ochotniéj w tém pracuje. Ale to rzadko gdzie tak jest, jak u nas. O sześć mil od nas, pono dziedzic tak samo się chciał ze swymi ułożyć, ale jak się o tém rząd dowiedział, zakazał mu pod karą. Dla tego też drudzy, co tylko krowę, gęś i parę świń własnych mają, a reszta wszystko pańskie, — nie dopilnują swego gospodarstwa; nie dbają ani o chałupę, ani o bydlę, ani o grunt, bo choć to z tego mają wyżywienie i powinni pracować szczerze, — jednak im tak nie idzie sporo jak we własném.

To też wszędy bieda! narzekają, skarży się jeden przed drugim i niby to na zabicie frasunku idą do karczmy i nie raz ostatni grosz przepiją.

Ale przecież przez to, rzecze Grzegorz, że ostatki przepiją, jeszcze gorzéj im się dzieje.

Cóż to pomoże? odpowie Maciej, kiedy ich bieda gniecie. Każdy chce o niéj zapomnieć i dla tego się upije.

Co to za nierozum u tych ludzi! mówił Grzegorz. Przepijać ostatni grosz dla biedy, jest to samo, co na jątrzącą ranę ogień przykładać. Gorzałka nic na biedę nie pomoże, bo jak tylko wytrzeźwiejesz, znowu ci bieda stanie przed oczyma i jeszcze go-

rzéj cię trapi niż dawniéj.—Nie gorzałki, ale serca, ale rozumu, ale rąk trzeba użyć, toby się z biedy wyleczyli i doszliby do swobody. Ale wasi pewnie o tém nie myślą, tylko kwiękają i biedzą się i stękają i nie spodziewają się nigdy lepszych czasów.

O lepszych czasach, rzecze Maciéj, każdy u nas myśli, ale jakże się tego spodziewać, kiedy nikt nie wie, skąd te lepsze czasy przyjść dla nas mają.

Skąd mają przyjść? zapyta ksiądz proboszcz. Lepsze czasy, same jak bydło do obory nie przychodzą. Osobliwie dla nas Polaków, lepsze czasy same nie nastaną nigdy, jeżeli ich sobie gwałtem nie sprowadzimy.

Co do mnie, przepraszam księdza dobrodzieja, rzecze Maciéj, to może wiem coby wypadało zrobić, aby lepsze czasy nastały.

Wygnać Moskala, potłuc, pobić, za ostatnią granicę przepędzić! To trzeba zrobić! krzyknął Butny.

Nie potrzebujecie mi o tém, odpowie Maciéj, szeroko rozpowiadać, ani nauczać kogo wygnać trzeba, a kogo nie. Jużem ja przed szesnastu laty wiedział, kogo wyganiać, kiedym się za Moskalami w Rewolucyi upędzał. Teraz też człowiek przecież nie ślepy, więc wie dobrze co się z nami dzieje. Widzę ja, widzi drugi i dziesiąty i dobrze sobie na rozum bierze, jakto Moskal, Bóg wie jakie rzeczy wymyśla, aby nas tylko przygnębić, aby nam wybić z głowy Polskę naszą a na swoją stronę przeciągnąć, coby nam potém tak było jak Moskalom; — o! dobrze ja to rozumiem, ale to nieszczęście

nasze, że nie wszystek Lud tak rozumie, że nie wszystek Lud nasz wie, kto go prawdziwie gnębi, kogo trzeba bić i wyganiać.

Zmiłujcie się! przerwał Dudziak. Ktoby to był myślał? Wy z tak daleka do nas przychodzicie i tak samiutko mówicie, jakeśmy sami tutaj sobie mówili!

Wiedz o tém, mój Dudziaku, rzecze na to ksiądz proboszcz, że prawda jest wszędzie jedna i ta sama. Kto jest rozsądnym i uczciwym człowiekiem, ten czy tutaj mieszka, czy o sto mil, czy o trzysta, zawsze to samo powie i zawsze się na jedno trafi. Czyś ty rozumiał, że Polacy, co mieszkają o sto mil, albo jeszcze precz daléj, jeżeli są uczciwymi Polakami, inaczéj myślą, niż my tutaj myślimy? Wierz mi, że wszędy, w całéj Polsce nasi Polacy którzy mają rozum i nie dają się nikomu oślepiać, wszyscy tak myślą jak my tu myślimy, i wszyscy nas kochają jako braci i tak samo pragną wolności polskiéj, jak my jéj pragniemy.

Gdybym, dzieci moje! nie miał téj ufności, że przynajmniéj połowa naszéj Polski pragnie się wybić z pod naszych trzech ciemiężycieli i żyć sobie potém na wolności, — gdybym w to nie ufał, plunąłbym z pogardą na Naród polski i wolałbym się przenieść pomiędzy Kałmuków, Tatarów albo Cyganów, niż tu żyć i patrzeć na taką sromotę własnego Narodu.

Kto ma oczy, powinien widzieć, — kto ma serce uczciwe, nie złajdaczone ani zaprzedane, powinien czuć wszystkie bole, które nam Polakom od na-

szych trzech ciemiężców doskwierają. A gdyby w naszéj Polsce byli tacy tylko ludzie, którymby się nigdy serce nie krajało na okrucieństwa i obelgi, jakich się Moskal na naszéj ziemi dopuszczał i dopuszcza, gdyby tacy ludzie tylko byli w naszym Narodzie, ludzie twardego serca, zimni na ból narodowy, i ci ludzie chcieli się nazywać Polakami i nosić imie polskie, — toby mnie wstyd było być Polakiem pomiędzy takimi Polakami. Prawemu człowiekowi serce pęka z żalu i złości na tyle okrucieństw, na tyle zelżywości i uciemiężenia, nieszczęśliwego Narodu,— i to od tylu już lat!

Posmutnieli wszyscy bardzo na te słowa księdza proboszcza. Butny ściskał pięście i rozczerwienił się i był okropnie zły. Nareszcie ozwał się Maciéj:

A jak to dawno temu być może, kiedy nas Moskale zaczęli uciskać?

O! dziecko moje! odpowie Grzegorz stary. Pamięć ludzka tego nie zasięgnie, od jakiego czasu Moskal ciągle na nas wre. Już to wiele, wiele set lat, jak zawsze na nasz kraj napadali, chociażeśmy jeszcze cali byli i naszą Polskę mieli. Z Moskwą nasza Polska wciąż a wciąż musiała wojny prowadzić i odpędzać od granic, bo to był Lud zawsze dziki i chciwy na cudze, a Carów miał samych okrutników, co jakby rabusie jacy na naszą Polskę się zaczajali i już to od wielu wieków na to czatowali, aby nas tylko przygnieść i ugarlić.

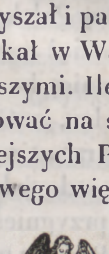
Długo jednak Pan Bóg nie pozwolił nam upaść. Wszelako, kiedy nas ze wszech stron napadli, a nasz Naród całkiem zaspał gruszki w popiele; za-

raz naszą Polskę rozszarpali. I już to teraz siedemdziesiąt lat z górą, jak Moskal naszych niekaruje i dręczy mękami i gnębi i morduje.

Ale nietrzeba nam tracić nadziei! Cudzą krzywdą rzadko się kto dorobi i czy prędzéj czy późniéj, zawsze pokrzywdziciela czeka kara Boska.— Ludzka krew, ludzkie łzy idą aż przed tron Najwyższego i Bóg przenajświętszy w sprawiedliwości swojéj poda rękę ukrzywdzonym i doda im siły na zniszczenie krzywdzicieli.

Pamiętam ja dobrze, rzecze Grobelny, jakeście nam przeszłéj zimy powiadali, że i samego Kościuszkę, coby przed nim każdy klękać i w nogi całować powinien, że i tego Car moskiewski porwał i wrzucił do okropnego więzienia, gdzie ten wielki i bogobojny mąż niemało czasu przejęczał.

Dzieci kochane! mówił Grzegorz. Nie skończyłbym, gdybym wam miał wszystkie okropności opowiadać, jakich się rząd moskiewski na naszych Polakach zawsze dopuszczał i do dziś dnia, do téj jeszcze godziny wciąż dopuszcza. Nie wiem, czy o tém który z was słyszał i pamięta, co to ten Konstanty, który mieszkał w Warszawie na miejscu Cara, wyrabiał z naszymi. Ile to, mój Boże! ludzi niewinnych zaknutować na śmierć kazał za byle co, — ilu najgodniejszych Polaków nawrzucano pod nim do straszliwego więzienia u Karmelitów.



XII.

W czwartym pułku, w którym byli sami Polacy, służył też Jan Berda. Znałem go dobrze, bo był już na wojnie za Napoleona, — i choć on wtedy był chłopakiem prawie, kochałem go jak swego brata, bo szedł na ogień i bagnety śmiało niby do tańca, a uczciwy i bogobojny jakiego z trudna znajdziesz pod słońcem. Ja skaleczałem pod Pułtuskiem i nie mogłem potém już nigdy służyć w wojsku, ale on, że był zdrowy chłopiec i młody jeszcze, zaciągnął się potém do czwartego pułku w Warszawie pod Konstantym. Było mu to dosyć na rękę, bo zaraz o milę od Warszawy miał matkę, co siedziała komornem. To się też z nią widywał i jak sobie tylko parę groszy oszczędził, wspomagał biedną matkę.

Zdarzyło się razu jednego, że idąc na musztrę, gdzie ich zwykle Konstanty lustrował, zgubił był, nie wiedząc wcale o tém, guzik od mundura. Staje na

placu, musztruje się piorunem; — wtém nadjeżdża Wielki Książe Konstanty. A miał on zérk taki, że byle spojrzał, od razu dostrzegł co na kim jest źle, albo co mu brakuje. Więc też zaraz przyskoczył do mizernego Janka i jak mu dał pięścią pod brodę, tak się nieborak w tył potoczył. Ale nic! Staje w szeregu, jak na żołnierza przystoi i chce Konstantemu powiedzieć że się nie spodział jak mu się ten guzik urwał. Stupaj! durak! krzyknął na niego rozzłoszczony książe, i wypchnąwszy go za kołnierz z szeregu, kazał go sierżantowi odprowadzić na łaty, aby tam czekał na swoją karę za to, że hardo chciał Księciu odpowiadać. A przecież Bóg widział, że tego mizerak ani na myśli nie miał, jeno zwyczajnie chciał się usprawiedliwić.

Prowadzą więc nieboraka. A tu na nieszczęście była matka na targu i spotyka syna, jak go sierżant wiedzie. Struchlała nieboga na ten widok, — łzy jéj się z oczu puściły i szła zdala za synem chcąc zobaczyć co się z nim stanie. Ale wprowadzono go gdzieś za bramę. Stanęła więc stroskana pod bramą i rzewnie płakała. Przeleciał koło niéj officer moskiewski na koniu i jeszcze bardziéj ją to tknęło. Stała może jeszcze dobrą godzinę, aż tu nadjeżdża sam Konstanty. Biedna kobieta nie wiedząc już co robić, pada przed nim na kolana i błaga go ze łzami za synem. Rozkazał jéj iść za sobą. Ona idzie, a drży jak liść osowy. Wchodzi na plac, a tu jéj syn przywiązany na drabinie i dwóch Moskali ćwiczy go kijami, a officer komenderuje.

Konstanty na łzy matki kazał zaprzestać bicia,

ale cóż to pomogło? Już mu byli dali pół tysiąca kijów; — nie przeżył i skonał pod pałkami, a moskiewskie żołdaki chcąc dopełnić rozkazu i dobić aż do tysiąca, przywiązali byli umarłego do drabiny i jeszcze bili.

Matka upadła na trupa swego syna i ledwo ją oderwać od niego mogli. Konstanty rzucił jéj storublówkę mówiąc: bierz, stupaj i nie płacz!

Myślicie że wzięła te ruble od zabójcy swego syna? Porwała się w rozpaczy, napluła na pieniądze i zawołała z płaczem: płacić mi chcesz morderco za krew syna mego? Moskiewskie ruble nie obstają mi za najukochańsze dziecko. Mizerna jestem kobieta, umrę może z głodu, ale pluję na twoje ruble, i pamiętaj, okrutniku, że cię Bóg kiedyś za nas srogo ukarze.

Konstanty rozżarł się na to, kazał porwać nieszczęsną kobietę i rózgami aż do krwi oćwiczyć. Puszczono ją; a ona nieboga z bólu i żalu nad synem umarła na drodze.

Dzieci kochane! To jeden tylko przykład okrucieństwa Konstantego; ale gdybyście się popytali w Warszawie, naliczyliby wam nie dziesięć, ale na setki takich samych przykładów. O! patrzała na to Warszawa własnemi oczyma, i każdemu dobremu Polakowi serce się ściskało i krew w żyłach kipiała. Nie mogło więc być bez tego, aby się uczciwi Polacy nie zmawiali przeciwko Moskalowi i to nie tylko w Warszawie, ale w całéj Polsce. Zaczem jednak przyszło do tego, że podnieśli Rewolucyę w Warszawie, ile to najlepszych ludzi gnoiło

się po więzieniach, ilu ich na Syberyę posłano, ilu na śmierć zaknutowano! Nikt nie był bezpieczny! Dziś siedział z żoną, z dziećmi, z krewnemi i przyjaciołmi w domu, a jutro zadzwoniła kibitka, wpadły żandarmy, wywlekli, i już go ani krewni, ani przyjaciele, ani żona, ani dzieci więcéj nie oglądały. Byle tylko jaki szpieg rządowy oskarżył kogo, już się wtedy nie pytano czy to prawda, czy nie, czy on winny, czy niewinny, ale wzięto jak bydlę na szlachtuz, i pastwiono się i dokazywano i dręczono straszliwemi męczarniami najniewinniejszego czasem człowieka.

Słyszeliście już kiedy o majorze Waleryanie Łukasińskim? zapytał się ksiądz proboszcz. — Nie widziałem go nigdy, odpowie Grzegorz, ależ słyszałem o nim od wielu ludzi poczciwych, i widziałem wiele wylanych łez nad mękami jego. Wszakżeć pewnie ten będzie, co to go Moskale uciekając z Warszawy, wlekli ze sobą przykutego do harmaty.

Tak jest, ten sam, mówił daléj ksiądz proboszcz. Czegoż on nie wyżył! Uważajcie sobie, że to był bardzo zasłużony officer w obronie za Ojczyznę i lubiony od wszystkich swoich żołnierzy, bo w każdym z nich brata widział. Nie podobało się to Wielkiemu Księciu Konstantemu, który sam tyran wszystkich, chciał żeby każdy z officerów jego, tyranem także był dla żołnierzy. Szukał więc wszelkich sposobów, jakby zgubić Łukasińskiego: bo myślał sobie, że kiedy to taki człowiek poczciwy, i prawy Polak, i kochany i zasłużony w wojsku,

prędzéj czy późniéj, za Polskę i za braci swoich ująć się może. I nie mylił się pod tym względem Konstanty; bo Łukasiński po całych dniach i nocach, przemyśliwał tylko a przemyśliwał, jakoby się Moskali pozbyć z Polski najrychléj. Do tego trzeba było koniecznie porozumieć się z innymi poczciwymi Polakami. Ale jak to osiągnąć pod okiem czujnéj policyi i takiego po całym kraju szpiegostwa, które był sobie urządził Konstanty? Łukasiński czuł trudność; ale jako dobry syn Ojczyzny, nie zrażał się nią wcale i tak zmowę prowadził szczęśliwie, że już tylko czekał chwili sposobnéj, żeby rozpocząć powstanie, kiedy szpiegi zaczęli go podejrzywać, i zdały o tém sprawę Konstantemu. A ten tyran, który nigdy nie potrzebował przeciw Polakowi innego dowodu nad podejrzenie, wymyślił sobie wnet sposób na zagubę Łukasińskiego.

Jako naczelny wódz wojska polskiego, odbierał codzień Konstanty raporta o tém wszystkiém co się w wojsku działo. Niechno który z żołnierzy nie miał dobrze wyczyszczonego guzika, albo dopiętéj u munduru haftki, już go nieochybnie koza, głód i chłosta czekały. Niechno który z starszyzny za cokolwiek bądź nie podobał się Konstantemu, wnet zwoływał sąd wojenny, do którego sam przeznaczał sędziów; tym z góry zapowiadał, jaki wyrok dać mają na nieszczęśliwą ofiarę. Otóż zdarzyło się razu pewnego, że jeden z officerów wyższych, oskarżony o jakąś tam bagatelę nie wiem, stawiony był przed takim wojennym sądem, a do którego

Konstanty umyślnie wybrał Łukasińskiego. Oskarżony wyraźnie był niewinnym, ale większość sędziów, bojąc się Konstantego, gotową była skazać niewinnego na męki. Łukasiński powstał przeciw téj niesprawiedliwości i głosował za uwolnieniem brata niewinnego; — lecz zaledwie wrócił do domu, wpadły doń z rozkazem Konstantego żandarmy, i porwawszy siłą, zawiozły z Warszawy aż do Krasnegostawu, aby tam pod ścisłą strażą czekał zemsty tyrana.

Właśnie około tego czasu uwięziono w Rossyi wielu znakomitych ludzi, których podejrzywano o tajemne z Polakami zmowy przeciw moskiewskiemu tyraństwu. Konstanty, który tylko czekał pozoru do większego jeszcze prześladowania Łukasińskiego, wnet go kazał dostawić do Warszawy, i osadzić w okropném więzieniu w klasztorze Karmelitów, aby tam mękami zmusić go do powiedzenia, czy należał do zmowy, i do wydania innych którzyby do niéj należeli.

Okropność pomyśleć, co w tym grobie zamknięty żywcem wycierpiał nieszczęśliwy Łukasiński. Jeszcze w grobie żywo złożony, zamarłby rychło przynajmniéj, ale on po to właśnie był w nim trzymany, ażeby w najstraszliwszych mękach żył jak najdłużéj. Wyobraźcie sobie loch zaledwie na cztéry łokcie szeroki i tyleż ledwie długi, wilgotny, smrodliwy, bez żadnego posłania, do którego nigdy słońce, ani żaden głos ludzki nie dochodził, a będziecie mieli obraz tego grobu Łuka-

sińskiego za życia. Nie dosyć na tém. Jakże to jeszcze nie nadręczyli się go na śledztwach, po całych dniach i nocach. On zaś zawsze jedno i to samo odpowiadał: O niczém nie wiem, nic wam więc powiedzieć nie mogę! Darli go więc za włosy, włóczyli po izbie, bili i kopali nogami, i znowu go się na nowo pytali. On zawsze powtarzał: Nic nie wiem, nic też nie powiem! Odprowadzono go znowu ze śledztwa do lochu na głód, pragnienie, wilgoć, ciemnotę i zaduch. Trzymali go tam długo, i znowu brali na śledztwo. On ani słówka inaczéj niepowiedział, jak dawniéj. Więc w inszy sposób poczęli go męczyć. Przynosili mu przez wiele dni same śledzie do jadła, a wody ani krzty. I to nie pomogło. Nie dali mu ani na chwilę zasnąć, i przez parę niedziel, wciąż mu w oczy świecili, i kiedy się chciał zdrzemnąć, szturchali, bili, a wciąż się rozmaicie pytali, aby tylko co wydał. W jadle dawali mu potém proszki na upicie, aby niby po pijanemu co wygadał. Nasyłali mu brzydkie larwy i strachy, kiedy chorował. Łechtali go w podeszwy i pod pachy, i wszystkie męczarnie zadawali. Ale on, jak raz powiedział, tak się wciąż tego trzymał, że nic nie wie. I święcie zrobił, — bo gdyby był co wydał, byłby zawsze jednako męczony, bo się bardzo na niego zawzięli, a stoby innych na śmierć pociągnął. Trzymali go tedy ciągle, przez długie lata, po rozmaitych dręcząc więzieniach, a przez te wszystkie lata coraz insze wynajdywali podstępy. Ale Łukasiński aż do końca nikogo nie wydał. Młodzież, która rewolucyę w Warszawie onéj sławnéj nocy

29° Listopada podniosła, nie zapomniała Łukasińskiego, i otwarłszy więzienia, szukała go po wszystkich celach i lochach. Ale naprożno. Odkryto mnóstwo trupów, mnóstwo szkieletów i kości — lecz nie znaleziono żywego Łukasińskiego. Może gdzie jęczy zakuty w murach, może skończył z innymi, — tak powszechnie mówiono z płaczem, — ale jakąż zgrozą i oburzeniem nie przejęła serc Polaków wiadomość, że ten tyran Konstanty, uciekając z Warszawy, uprowadził z sobą przykutego do harmaty Łukasińskiego, ażeby nad nim mógł łotr dłużéj pastwić się jeszcze.

Widzicie, moi mili, co za męczarnie ponosił i może dotąd ponosi Łukasiński od Moskali, — a za co? — Że miał serce głosować za uwolnieniem niewinnego brata, że pragnął Naród z niedoli podźwignąć, że radził z dobrymi ludźmi, jakby zniszczyć strasznego ciemiężyciela. — Tak to sobie ci łaskawi opiekunowie naszéj Polski z uczciwymi Polakami postępują, tak się na nas zawzięli i tak nas prześladują.

Ale duch prawdziwie polski niczém się zgnieść nie da! Choćby nasi ciemiężyciele jeszcze bardziéj nas gnębili, jednak tego ducha nie zdławią, bo go sam Bóg przenajświętszy w nas zachowuje. Żywy czy nie żywy już Łukasiński, uprosi on u Boga wespół ze wszystkimi innymi męczennikami polskimi, gnijącymi po nieznanych lochach w kraju, i z tamtymi których złość moskiewska zagnała precz za wszystkie kraje nasze, do drugiéj części świata

na Syberyę, gdzie przez cały rok zima i śniegi i mrozy. Czytaliście może kiedy w obwieszczeniach rządowych, że tego lub owego wskazali do kopalni, gdzie pod ziemią, w jamach głęboko wykopanych, i przez cały dzień Boży, muszą ryć skały i kuć młotami, a wydobywają żelazo. Światła dziennego żaden już z nich nie zobaczy, jak nie zobaczy żony i dzieci za życia. Wielu z nich całkiem przykuci do taczek, i pozostaną tak przykuci aż do samego skonania. Nie jeden by mógł pomyśleć, że to byli złodzieje, albo rozbójnicy jacy. Ale dzieci kochane! jak mi religija święta miła, byli to wszystko najgodniejsi ludzie, z sercem pełnem miłości braterskiéj, ludzie z światłym rozumem, co kochali Polskę nieszczęśliwą bardziéj niż wszystko na świecie, co poznali jakich się gwałtów i bezeczności rząd moskiewski dopuszcza i dla tego naród chcieli pobudzić do broni.

Od czasu do czasu słyszymy o tych zsyłkach na Syberyę, ale gdyby kto porachował, ilu tam już naszych posłano, zebrałoby się wiele, wiele tysięcy. Nie masz przecież dnia jednego, żeby kibitki naszych na Syberyę nie wiozły. A kto się raz tam dostał, musi się na zawsze z żoną, dziećmi i przyjaciołmi pożegnać, bo ich już przed śmiercią nie obaczy.

Ileż to dziesiątków znowu tego roku zagnali!

Święci Aniołowie Stróże! począł mówić Ksiądz pleban pobożnie, miejcie na pieczy tych nieszczęśliwych, co się stali ofiarą dzikiego tyraństwa, i

proście za nas Pana Zastępów, aby nam zeszła szczęśliwa gwiazda, gdziebyśmy tych męczenników naszéj sprawy przyjęli, jako zgubione klejnoty na łono matki Ojczyzny. Amen.



XIII.

Wieleśmy to już narodu stracili przez Moskala! mówił potém Grzegorz. Moskal prosto się zawziął na Polskę, aby nas całkiem wytępić albo na samych Moskali przekuć.

Moskal wie lepiéj jeszcze od nas, że gdyby sobie wszyscy Polacy podali ręce, pobiliby wszystkich trzech ciemiężców, — więc się na rozmaite sposoby bierze, aby naszą siłę na sztuki rozedrzeć i przytępić. — On wie, że choćbyśmy nie tylko sześćdziesiąt, ale dwa i trzy razy sześćdziesiąt lat byli pod ich rządem, jednak każde nowe pokolenie polskie będzie na rządy obce takie zawzięte jak dawniejsze.

Dla tego car moskiewski zasadził się nie tylko na dorosłych, ale i na dzieci nasze polskie. Pewnie sobie przypominacie ów czas okropny, kiedy Moskal tysiącami dzieci nasze małe wywoził do Syberyi na zaludnienie. Cała nasza kochana

Polska była jakby na pogrzebie dzieci, cała Polska lała łzy i nawoływała nadaremnie swoich synków, swoje córeczki, co je poporywano i jak pérki na chelach niesiono het aż za kraje.

Kiedy jedno kochane dziecko umrze z woli Boskiej, jaki to płacz, jaki żal panuje w domu; a tu nie jedno ale tysiące ich porywano i oddzierano od łona matek; oddzierano dzieci, które matki rodziły w boleściach i w których widziały przyszłą swoją podporę!

Takiego okrucieństwa, przerwał ksiądz proboszcz, jak świat światem, dwa tylko są przykłady. Jeden, kiedy Herod kazał wszystkie dzieci pomordować, aby pomiędzy niemi zabić i Dzieciątko Jezus, Zbawiciela świata, — a drugi przykład w naszéj Polsce.

A co się też z temi dziećmi stało? zapyta Dudziak. — Co się stało? odpowie Grzegorz. Oto tysiące niebożątek pomarły na drodze od zimna, głodu i niewygody, a drugie tysiące zawieziono w daleką Moskwę i tam wyrosły. Ale już to teraz nie nasze dzieci, nie nasze polskie dzieci, bo je tam Moskale wychowali po moskiewsku z inszą wiarą i inszym językiem. Gdyby je tu przeciwko nam wysłali, strzelaliby teraz do nas, biliby się z nami, bo dziś już nie wiedzą, że ich polskie matki rodziły; zrobiono ich Moskalami.

O! serce w piersiach pęka, jak sobie przypomnę, co to były za straszne historye przy tém porywaniu dzieci. Ile to matek straciło życie, nie

mogąc przenieść straty dziecięcia. Nie jedna pod konie się rzuciła, co wiozły owe niewiniątka.

Pamiętam jak dziś, że kiedy przyszli do jednéj jenerałowéj, aby dzieci swoje dała, a jedno tylko sobie zatrzymała, ta polska niewiasta nie chcąc oddać dzieci z krwią polską na zmoskwicenie, zamknęła się w pokoju i najprzód swoim dzieciom, a potém sobie saméj gardło poderznęła.

Do takiéj to rozpaczy doprowadzają nas nieprzyjaciele nasi.

Z każdym rokiem ubywa nam ludzi i to najzdrowszych, najlepszych do pracy, bo biorą chłopaków najdorodniejszych i zapędzają precz na Kaukaz w sołdaty, a na Polskę naprowadzają Czerkiesów, Kirgizów i Bóg wie jakiego ludu do pełności.

Gdyby to jeszcze ci nasi, co idą w sołdaty, wrócili do swoich, — ale mój Boże! Nie jeden nie zajdzie i umrze na drodze z głodu i trudu, drugich zabiją na wojnie, którą Moskale prowadzą z jakimś dzikim narodem. A kto żyw i zdrowy pozostanie, tego też nie puszczą; chyba że oślepnie albo skaleczeje. Powiedźcie mi moje dzieci! czyście słyszeli, aby się w jakim inszym kraju tak działo? Nigdzie przenigdzie tego nie ma. To tylko nas biednych Polaków Moskal tak niszczy i wytępić pragnie.

Nie byłoby to jeszcze tak boleśnie, gdyby tych tylko posyłali tam gdzieś za kraje, coby z własnéj woli iść chcieli, bo w taki sposób jednak co poczciwsze zostałoby w kraju. Ale gdzie tam! Kom-

missya spisze wszystkich, wszystkich zrewiduje i opatruje czy zdatny czy niezdatny do wojska. Potém gubernator i drudzy urzędnicy moskiewscy uradzą, kogo wziąść trzeba, a dziedzicowi każą połapać tych, co iść mają. Wtedy już nie ma pardonu.

Wszelako mi się zdaje, rzekł Grobelny, że jeżeli się dziedzic za którym z rekrutów wstawi, wtedy go puszczą a innego wezmą.

Pozwól to sobie miły bracie wytłumaczyć! odpowie ksiądz proboszcz. Zdarzyło się, żem zabrał znajomość z człowiekiem, co pisuje przy gubernatorze. Zwykle tacy ludzie są łajdakami i niema się co z nimi wdawać, ale ten, któregom poznał, był sobie dosyć uczciwym człowiekiem; a przynajmniéj tyle Polakom nie dokuczał, co drudzy.— Powiadał mi o wszelakich rzeczach i przyszło też mówić o rekrutowaniu, bo nie zadługo miano znowu łapać rekruta.

Ja go się pytałem, czyby dziedzic nie mógł uwolnić człowieka, któregoby chciał we wsi utrzymać. A on mi na to tak odpowiedział: Trudna to jest bardzo rzecz, bo kommissya wybiera takich właśnie ludzi, którzy są najzdatniejsi. — Na kilka tygodni przed rekrutowaniem dają rozkaz wójtowi i przeznaczają, kogo złapać. Ale wójt ma pod karą wygnania na Syberyę zakazane, powiadać komu naprzód, że go mają wziąść w rekruty. Boćby pewnie każdy jak mógł, uciekał: Zdarza się więc często, że wójci, czyli dziedzice muszą łapać takich ludzi, co im są najmilsi.

Nieraz starają się dziedzice bardzo do gubernatora, aby im tego lub owego człowieka zostawić. Ale choćby on się starał i nadstarał, i Bóg wie jakie pieniądze na to stawiał, to mało co wskóra, bo czasem gubernator na przekorę dziedzicowi właśnie takich ludzi ze wsi wybierze, którychby dziedzic chętnie zostawił. Nie jeden dziedzic się starał, ale sam na to patrzałem, jak go gubernator z niczem odprawił.

Czasami przytrafi się, że tego albo owęgo puczczą, ale to między tysiącami ledwie jeden przypadek.

Kiedym się tu do was przedzierał, rzecze Maciéj brat Grobelnego — nocowałem też w Chociszynie. Że to ja szedłem z daleka, więc w karczmie rozmaicie ze mną gawędzili. Powiadał mi też jeden z tamtejszych, że ich pani, stara już bardzo, ale dobra i pobożna niewiasta, wzięła sobie była ze wsi małego sierotkę. To chłopczysko wychowywało się przy dworze na usługach pani.

Kiedy teraz ostatnią razą nadeszły rekrutowiny, tak i tego chłopaka zabrali. Spłakał się nieborak i koniecznie mu się zdawało, że go pani może uratować, gdyby tylko chciała, i kiedy się już z panią i wszystkimi pożegnał, jeszcze mówił, że go pani może od rekruta wyprosić. A to jednak nie szło. Gubernator tak się zawziął, że choć przed rekrutowaniem cztery razy pani u niego była i prosiła i błagała, nic to wszystko nie nadało. Nieboraczysko spłakało się jak bóbr, kiedy wychodził, a nasza pani przez trzy dni prawie nic nie jadła i roz-

chorowała się na dwa tygodnie. Bo to już staruszka, więc jéj potrzeba pielęgnowania, a nasz Mateuszek, co go wzięto w rekruty, tak już umiał w posłudze pani dogodzić, że byłaby wolała parę tysięcy stracić, niż puścić Mateuszka.

Więc powiedzcie mi moi mili! rzecze ksiądz proboszcz, na co rodzice wychowują dzieci, na co matka w boleściach rodzi syna, na co tyle się stara o niemowlątko i we dnie i w nocy, na co wychowuje przez tyle lat i karmi i przyodziewa i uczy wiary świętéj, na co je kocha sercem macierzyńskiém, — kiedy wtenczas, jak dziecko podrośnie, jak przyjdzie do sił, gdzieby mogło być podporą rodziców, — wydzierają rodzicom syna i zapędzają gdzieś w świat za oczy? — O dzieci kochane! pókiż będziemy temi owcami co noszą wełnę nie dla siebie, tylko je insi strzygą; pókiż będziemy temi pszczołami które robią miód nie dla siebie; pókiż będziemy temi wołami co ciągną pług, pocą się w pracy nad skibą, a nie dla siebie?

Czas! o czas! abyśmy raz już położyli koniec obcemu panowaniu, bo póki tylko obcy u nas będzie przywodzić i dokazywać, póty u nas będzie ciągle nędza i uciemiężenie, póty się ciągle będzie przelewała krew polskich dzieci nadaremnie.

Wiecie wy co z Polską będzie, jeżeli dłużéj zostanie pod Moskalem? Oto sam Car moskiewski powiedział: będzie Polska, ziemia Polska będzie, bo ziemi połknąć ani spalić, ani zabić nie podobna! ale jakem Car, ani jednego Polaka z czasem na Polskiéj ziemi nie będzie. — Wtenczas kiedy to

Car powiedział — a to już dawno temu — śmialiśmy się tylko. Ale teraz bardziéj nam na łzy, niż na śmiech być powinno, bo teraz dopiero widzimy, że Car nie na żarty to powiedział. Wszędy każe uczyć po rossyjsku, religiję moskiewską gwałtem po naszéj Polsce rozkazuje szerzyć, braci na braci buntuje, aby następowali na siebie. A czegóż on przez to chce dokazać? Niczego inszego tylko aby nas z czasem przekuć na Moskali.

Kto ma zdrowy rozum, kto się nie da lada komu oślepić i omamić, ten to wszystko widzi jasno jak na dłoni i gdyby łuszczka ślepoty spadła z oczu naszego prostego ludu, gdyby ten prosty lud poznał się i zmiarkował na tém, że wszystko, co obce rządy robią, są tylko farbowane lisy, — pewnieby się wszystek wziął szczerze za ręce, pobratał się i z mieszczanami, i księżmi, i z wszystkimi dworskimi, i z dziedzicami swymi, wszyscy społem uderzyliby na gnębicieli narodu polskiego, i odbiliby nieszczęśliwą Polskę. Wtedyby każdy Polak po długiéj niewoli i biedzie swobodnie odetchnął. — Ale jakżeż kiedy do tego przyjść mamy, jeżeli Polak na Polaka nastaje, i Polak Polakowi życieby chciał wydrzéć.

A któryż to Polak na Polaka nastaje? zapyta Grobelny. To chyba złodzieje, co drugim w nocy kradną i ludzi obdzierają.

Nie złodzieje to tylko; odpowie Grzegorz. Ksiądz proboszcz tu ma na myśli nas samych, nasz prosty lud, co się teraz tak rozjadowił na panów i na wszystkich tych, co nie są chłopami, jak oto my

Ale to nie potrwa tak długo, a przecież Pan Bóg dobrotliwy oświeci resztę naszego prostego ludu, jak nas tu oświecił. Wtedy poznają, że byli w zaślepieniu, ale wtedy może już będzie za późno.

Przecież się Bóg nad nami ulituje i otworzy oczy umarłych, przemówił ksiądz proboszcz, bo krew pomordowanych Polaków woła do Boga o pomstę. Ale jeszcze na gorsze sposoby wziął się Car, aby Polskę zmoskwicić. Moskal dobrze wie, jak nasze Polki kochają kraj swój, bo już od wieków znane są niektóre po całym świecie z tego, co dla Polski uczyniły. Za ostatniéj rewolucyi w Warszawie niektóre Polki, jak naprzykład Emilia Płater, albo Tomaszewska, pochwyciły w rękę broń i rąbały w bitwie Moskali. Polskie niewiasty tak nieszczęśliwy kraj kochają, żeby zaraz krew swoją dały za niego, i uczą dzieci swoje kochać nadewszystko Ojczyznę. Dla tego téż każde nowe pokolenie tak samo jest zawzięte na Moskala, jak dawniejsze. Matki polskie prawie razem z pacierzem uczą dzieci swoje, że za kraj i za wolność kraju trzeba dać swój majątek, swoje zdrowie, swoje życie. Wie o tém bardzo dobrze Car moskiewski: dla tego uwziął się nie tylko na Polaków ale i na niewiasty polskie.

Sami pewnie zrozumiecie, że tylko taka matka Polka nauczy dzieci, jak mają kraj kochać, co sama jest dobrą, uczciwą kobietą i co sama kraj kocha. Nieprawdaż?

Już to prawda, odpowie Grzegorz, że czego kto sam nie umie, tego drugich nie nauczy. Jeżeli

więc matka ma nauczyć dziecko, jak ma być uczciwe, bogobojne i miłujące krainę polską, — toć sama musi być uczciwa, bogobojna i miłująca kraj polski.

Widzicie więc moi mili! mówił dalej ksiądz proboszcz, Car moskiewski o tém nie zapomniał, i teraz chce koniecznie do tego doprowadzić, aby nasze polskie niewiasty popsuć i złajdaczyć; bo jak się kobiety złajdaczą, to już przyszłe pokolenie polskie zaraz od dziecka się złajdaczy. Wtedy Moskal z nami zrobi, co mu się żywnie będzie podobało, bo dopóki Polacy mają miłość do Polski i póki pragną swojéj własnéj Polski, ani Moskal ani Austryak, ani Prusak, ani wszyscy trzéj społem nie zjedzą nas od razu. Już to przecież 70 lat z górą nas uciemiężają, a zniszczyć nas do ostatka nie mogą i jeszcze się nas boją i trwożą się, abyśmy nie powstali i nie wsiedli im na skórę, boby przepadli jak kozak z dudami. Ale jak Moskal połajdaczy kobiety, a te znowu połajdaczą swoje dzieci, to my na przyszłość przepadniemy.



XIV.

Otóż uważajcie! —Car kazał teraz założyć szkołę w Puławach, które dawniéj były Czartoryskich, a dziś zabrał Moskal, — i w téj szkole mają się uczyć dziewczęta polskie. Te co się wyuczą, będą w Polsce nauczycielkami i mają znowu drugie dzieci uczyć. Ktoby o tém pierwszy raz posłyszał, myślałby, że to bardzo dobrze, bo będzie więcéj rozumu i nauki w naszéj Polsce. Święta by to była i zbawienna rzecz, gdyby tam szło o nauki; ale uważcie sobie tylko, moi mili, co wam powiem.

Najprzód jest tam kobieta, która całą szkołą dziewcząt zawiaduje, i zwie się pani Grotten. Ta sama kobieta, kiedy jeszcze była młoda i bardzo ładna, była u brata carskiego, książęcia Michała. Na co u niego była, tego wam, moi mili, powiedzieć, bez obrazy Boskiéj, nie mogę. Taka to więc kobieta zarządza dziewczętami polskiemi. O nauce, jak wam mówiłem, niema myśli; jeno wszystkie

dziewczęta ubierają się ślicznie jak królowe jakie i nic nie robią, nawet się same nie ubierają, bo każda ma kilka służących, co je ubierają, i co wszystko dla nich zrobić muszą. Mieszkają w ślicznych pokojach jakby książęcych: wszędy ogromne zwierciadła; wszędy blask i bogactwo.

Nie jeden z was pomyśli sobie: co to za śliczne życie! w raju nie mogłoby być lepiéj! Ale, moi mili, wiedźcie, że szatan kiedy kusi, najprzód kusi złotem i wszystko co najładniéjsze podtyka, aby jeno skusił, a duszę za to zatracił. Pewnie sobie przypominacie, jak wam na kazaniu powiedziałem, że nawet samego Jezusa Chrystusa przenajświętszego, na górze wysokiéj szatan kusił, pokazując mu śliczne kraje naobkoło i obiecując je Zbawicielowi naszemu. Otóż samego Pana Boga, który szatana może Wszechmocnością swoją zetrzeć na miazgę, szatan chciał skusić ślicznemi rzeczami.— Moskal tak samo nasze dziewczęta polskie kusi, takiém śliczném życiem i takiemi wygodami w Puławach. Tam prawie codzień wyprawiają tańce i kapela gra, i jedzą same łakotki, jak książęce panny, a nikt tam nie przyjeżdża, jeno sami moskiewscy jenerałowie i pułkownicy i inne urzędniki moskiewskie z Warszawy. A wiecie wy co się z temi dziewczętami tam dzieje? wiecie wy, na co tam te jenerały i drudzy przyjeżdżają? — Oto bawią się i tańcują, a co potém z polskiemi dziewczętami robią, tego wam, jako ksiądz, wypowiedzieć nie mogę; ale miarkujcie sobie, że za to samo, Sodomę Pan Bóg skarał ogniem siarczystym.

O gwałtu! ratuj nas Jezu, Matko Boska Częstochowska! zawołali na głos wszyscy.

Teraz uważcie, mówił dalej ksiądz proboszcz, na co się potém zda dziewcze polskie, które tam kilka lat pobędzie! Czyż taka kobieta, która straci co ma najdroższego : swoją uczciwość, swoją czystość i niewinność, która już od młodu jest nierządnicą i to z Moskalami, — czyż taka kobieta może potém żyć uczciwie, jak wyjdzie ze szkoły?

I to takie kobiety mają być potém nauczycielkami dzieci polskich! Dziś już trzeba się modlić za te niewiniątka, które takim bezecnicom wpadną w ręce; bo one swoje niewinne duszyczki od razu zatracą. Takie nauczycielki grzeszyły z Moskalami, to im też wciąż w głowie będą Moskale i wciąż dzieciom tylko o Moskalach będą rozgadywały, miasto coby o Polsce dzieci nauczały.

Uczciwe niewiasty idą za mąż, w statku żyją z mężami i wychowują bogobojnie dziatki; a jakże taka kobieta może żyć potém uczciwie z mężem, jakże ma uczciwie wychowywać dziatki, kiedy już od młodu przywykła do nierządu i to z Moskalami.

A to wszystko jest wymysł Cara, aby nas zamienić w Sodomę i Gomorę; bo jak cała Polska i przed Bogiem i przed ludźmi znierządnieje, to już wtedy Pan Bóg ręki nam nie poda, brzydząc się naszym Narodem : wtedy to dopiero upadniem do ostatka i staniem się Ludem gorszym od wszystkich Ludów na ziemi; wtedy i nieprzyjaciele nas gnębić i Pan Bóg chłostać nas będzie.

Kiedym tu szedł, odezwie się Maciéj, byłem w Puławach, bo mi to właśnie na drodze leżało. Widziałem tam na dwadzieścia powozów, chmarę furszpanów i lokajów w stosowanych kapeluszach z piórami, w palonych butach, ze świecącemi guzikami do pełności. Tom się też pytał, — jak to człowiek zawsze rad o wszystkiém wiedzieć, — kto to tam poprzyjeżdżał? Powiedzieli mi, że to wielcy urzędnicy moskiewscy z Warszawy, i że tam jakieś mają być tańce. Alem ja się też więcéj nie pytał, z kim to te tańce i na co.

Tak, tak! odpowie ksiądz proboszcz; tam nasze polskie dziewczęta sprzedają swoją uczciwość.

Już takich ludzi, zawołał Butny, co tam swoje dzieci oddają, pozabijaćby trzeba; boć to przecież największa obraza Boska, żeby dusze swoich dzieci zatracić! I kto to tam z Polaków daje swoje dziewczęta?

Kto daje? odpowie ksiądz proboszcz; oto bardzo rozmaici ludzie: i urzędnicy Polacy, co są w służbie moskiewskiéj, i obywatele z miasta, i różni ze wsi. Gdzie tylko ładne dziewcze, zaraz są tacy urzędnicy Moskale w Warszawie, co namawiają rodziców, żeby je oddać do Puław; że się tam wyuczy wszystkiego, będzie miała dobrze i to bez żadnego kosztu. Dla tego też posyłają tam najładniejsze dziewczęta.

Alboż to rodzice nie wiedzą, że posyłają córkę na stracenie duszy? zawołał znowu Butny. Gdyby wszyscy wiedzieli, odpowie ksiądz proboszcz, pewnieby nie jeden wolał dziecko swoje na marach

zobaczyć, niż je tam dać na takie nierządy. Ale o tém jeszcze cicho, i bardzo mało narodu wie o tém. Ja się o tém dowiedziałem z pewnością, bo dwoje dziewcząt stamtąd uciekło; zaraz poszły do spowiedzi i na spowiedzi zeznały, co się tam dzieje a co na własne oczy oglądały.

O Boże wszechmocny! zawołał Grzegorz stary, więc aż na takie podstępy biorą się nieprzyjaciele nasi, ażebyśmy zmarnieli i żeby nawet sam Pan Bóg oblicze swoje od nas odwrócił.

Wszystkich słuchających dojęło to opowiadanie księdza proboszcza do żywego, a Grzegorz tak daléj mówił.

Dzieci moje, jeżeli się wszyscy kupy trzymać nie będziemy, jeżeli się nie połączymy jak brat z bratem, zmarniejemy. Ci też, co to myślą nad wybawieniem Polski z niewoli Austryackiéj, Pruskiéj i Moskiewskiéj, czy to szlachta, czy mieszczanie, czy chłopi, czy ludzie służący, wszyscy uznali się już za braci, i wszyscy się kochają jak bracia, oni też uradzili ażeby w naszéj przyszłéj Polsce tak samo było. Więc kto ma rozum, ten uznał, żeśmy wszyscy równi, że się wszyscy kochać powinniśmy a nieprzyjacioł nie cierpieć. A jak nam tylko da Pan Bóg sposobność, trzeba się wszystkim połączyć i hurmem na Moskala uderzyć.

Gdyby się tylko, przemówił Maciéj, tak nie zrobiło, jak za rewolucyi w Warszawie. Wiele ludu się biło i tęgo się biło, ale nas zdradzili i teraz gorzéj niż dawniéj było.

Nie zdrada to temu winna, odpowie Grzegorz,

tak wielkiego narodu jak naród Polski, zdradą zabić nie można. Sto ludzi, tysiąc ludzi można zdradzić i zaprzedać, ale dwudziestu milionów ludzi zdradzić nie podobna, choćby się tysiąc i dwa tysiące zdrajców na to zaprzysięgło. Wcale inna jest upadku naszego przyczyna: ta, że nie wszyscy razem porwali się do broni, bo gdyby tam na téj Litwie naszéj, która już z samą Moskwą graniczy i gdyby na Polskiéj Rusi, to jest na Wołyniu, na Podolu i na Ukrainie, wszyscy się byli zmówili i zaraz po wybuchu warszawskim powstali, bylibyśmy zgnietli Moskala na miazgę. Ale cóż, kiedy Moskale ściągali wszystkie swoje wojska, a w Litwie ani na Polskiéj Rusi nikt im drogi nie zastąpił, i całe wojska moskiewskie z wszystką żywnością i prochem i kulami waliły się na Warszawę. Wtedy, jak się już wszystko zwali do kraju i w kupę zbierze, sprawa nie tak łatwa. Niedziwota więc, że się Polacy poddali.

A gdybyśmy też wtedy byli wygrali, zapyta Maciéj, to mówicie, przyjacielu, żeby wcale inaczéj było w Polsce niż teraz?



XV.

O prześliczny Jezu, zawołał Grzegorz wznosząc oczy ku niebu. Jam stary i ruszać się zaledwie mogę, alebym jednak na kolanach poszedł do Częstochowy i krzyżem leżał, dziękując Bogu Najwyższemu i Pannie Przenajświętszéj za wolność Narodu naszego. Bo tylko sobie dobrze uważajcie! — Ani jednego Moskala, ani Austryaka, ani Prusaka na polskiéj ziemi,— wszystko szczeropolskie,— urzędnicy sami uczciwi i rozumni Polacy, — wojsko chłop w chłopa Polak, jak go Bóg stworzył; ciężary wszystkie zniesione, poddaństwa ani na jednéj stopie ziemi polskiéj; co kto ma, to ma na swoją własność; gospodaruje dla siebie; ani czynszu nie płaci; a byle miał rozum, może być, czém tylko zapomyśli; za naukę niktby nie płacił, boby rząd polski szkoły utrzymywał, i każdyby się w nich mógł uczyć, czy on dziś chłopem, czy szlachcicem, mieszczaninem, czy dzieckiem urzędnika;

bo każdyby miał jedno i to samo prawo. A byle się dobrze wyuczył, to niechby był synem wiejskiego pastuchy, wszelako mógłby zostać nietylko wójtem, assessorem, landratem, starostą, sędzią, ale nawet samym ministrem.

Otóż, dzieci moje, tak się to wszystko w naszéj Polsce stać miało po wygnaniu Moskali i innych nieprzyjacioł. Gdyby wtedy Polacy byli pobili Moskala, toby cała Polska, jak jest wielka i szeroka, Królestwo i Galicya i Litwa i cała Ruś-Polska, i Poznańskie i Kraków słuchałyby polskiego rządu; i wtedyby dla każdego Polaka nastały pod polskim rządem takie dobre czasy, jakich ani my, ani nasi ojcowie, ani dziadowie i pradziadowie nie pamiętają. Ale póki będziemy pod obcemi rządami, będzie zawsze pognębienie i biednego Ludu i wszystkich innych Polaków.

Wszystkim pewnie jednak nie, przemówił Maciéj; bo przecież panom nie bieda, tylko nam. Panom nie bieda? zawołał Grzegorz. Ja sobie jestem prostym chłopem, jako-li insi; mógłbym też więc tak myśléć jako i drudzy. Ale, moje dzieci, nie pierwszy ja rok na świecie żyję, nie z jednego pieca chleb jadłem; ale żyło się już z bardzo różnymi ludźmi, i nieraz mi się zdarzyło rozprawiać z uczonymi, jak oto nasz proboszcz dobrodziejaszek, dla tego też wiem, jak komu jest. Nie jeden sobie myśli, że pan, to już wszystko ma i żyje sobie jakby w raju, a tylko prostemu ludowi bieda. Ale uważcie tylko! komuż to rząd moskiewski pozabierał tyle majątków, kogoż najwięcéj pędzi w Sy-

beryę, komu to nasyła szpiegów? na kogo to najwięcéj nakłada podatków, a do urzędu żadnego dopuścić nie chce? O wierzcie mi, dzieci moje, że choć tam pan lepiéj żyje i ładniéj mieszka, ale on tak dobrze ma za swe, jak każdy biedny człowiek; boć kłopotu i frasunku panowie mają stokroć więcéj od każdego z nas. Nie jeden się i zapożyczy i zadłuży i na śmierć prawie zakłopoce, a wydołać nie może.

Ale jednak, Grzegorzu! przemówił znowu Maciéj, co szlachta, to szlachta; ona się ma lepiéj, a drugich, jak oto nasz prosty Lud, chce uciemiężać.

Cóż tobie o szlachcie? zawoła Grzegorz. Wypędźmy tylko Moskala i drugich, to wtedy zobaczysz, czy będzie jeszcze szlachta. Przecież teraz, kiedy wszyscy panowie zmawiali się na to, aby wygnać Moskala, sami zapowiedzieli, że się wyrzekają jeden przy drugim szlachectwa i zaprzysięgli się, że póki świat światem, nigdy na polskiéj ziemi nie będzie szlachty pod rządem polskim. Teraz się wiele luda straszy szlachtą, jakby jakim bobakiem, co go się dzieci boją; ale to kpiny tylko. Nasi panowie, że mają naukę, lepiéj czują ten ucisk i uciemiężenie od obcych rządów, niż my, i oni to sami podali do praw przyszłego polskiego rządu, który będziemy mieli po wygnaniu Prusaków, Austryaków i Moskali, że wiele odstąpią dla prostego ludu. — O! że teraz uciemiężają niektórzy panowie lud prosty, to trzeba wam wiedzieć, że jak wszędzie, tak i między panami przytrafi się jeden i drugi zły człowiek, co ludziom nie tak dobrze życzy, jak być powinno.

Alboż to nie znacie tego pisma, co je rząd polski ogłosił w Krakowie zaprzeszłego spozimku, kiedy tu nasi zrobili powstanie? Tam przecież wszystko drukowane, jak być ma.

Co ja, odpowie Maciéj, tom na żywe oczy żadnego pisma nie widział, ani o nim nie słyszałem, bo przecież od Krakowa aż tam w nasze strony, to nie dziesięć ani dwadzieścia mil.

Balbisiu! zawołał Grzegorz, dobądź jeno ze skrzynki ten papier, cośmy go wszyscy czytali, jak to nasi poszli do Krakowa, i daj go Maciejowi do przeczytania. Przecież pewnie umiecie czytać, Macieju?

Umiem, chwała Bogu, odpowiedział.

Balbisia wyciągnęła papier i Maciéj sam zaczął czytać:

MANIFEST
RZĄDU NARODOWEGO RZECZYPOSPOLITÉJ POLSKIÉJ
DO
NARODU POLSKIEGO.

Polacy!

Godzina powstania wybiła; Polska dźwiga się i zrasta. Powstali już bracia nasi; w Polsce Kongresowéj, w Litwie i na Rusi biją się z wrogiem; biją się o najświętsze prawa wydarte im podstępem i przemocą. Wszak wiecie, co się działo i co się ciągle dzieje. Kwiat naszéj młodzieży gnije w więzieniach! Starcy, co wspierali nas radą, oddani bezcześci! Księża, obrani z wszelkiéj powagi! Słowem każdy kto czynem, a nawet myślą tylko pragnął żyć i umierać dla Polski, lub zniszczony, lub gnije

w więzieniu, lub co chwila na to wystawiony. Odbiły się w sercach naszych i rozdarły je aż do krwi, jęki milionów zaknutowanych, wywiędłych w podziemnych lochach, pędzonych w szeregach ciemiężców, męczonych wszystkiém, czemu tylko siła człowieka wystarczy. Wydarli nam sławę! Zabraniają nam naszego języka! Nie pozwalają wyznawać wiary Ojców naszych! Kładą nieprzebyte tamy ulepszeniom składu towarzyskiego! Uzbrajają braci przeciw braci! Sieją potwarze na najgodniejszych synów Ojczyzny!

Bracia! jeszcze krok tylko a nie będzie już Polski, ani jednego Polaka! Wnuki nasze przeklinać będą naszéj pamięci, żeśmy z najpiękniejszéj krainy ziemi, zostawili im tylko gruzy i pustynie; żeśmy Lud najbitniejszy dozwolili okuć w kajdany; że muszą wyznawać obcą wiarę, mówić obcym językiem i być niewolnikami gwałcicieli praw swoich!

Wołają na nas z grobu prochy Ojców naszych, męczenników za sprawę narodową, abyśmy się ich pomścili! Wołają na nas niemowlęta, abyśmy im utrzymali Ojczyznę od Boga nam powierzoną! Wołają na nas wolne Narody całéj ziemi, ażebyśmy nie dali upaśdź najświętszéj zasadzie narodowości! Woła na nas Bóg sam, który kiedyś rachunku od nas żądać będzie!

Jest nas dwadzieścia milionów! Powstańmy razem jak mąż jeden! a potęgi naszéj żadna nie przemoże siła! będzie nam wolność, jakiéj dotąd nie było na ziemi! Wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy podług zasług i zdolno-

ści z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować; a przywiléj żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miéjsca! w którym każdy Polak znajdzie zabezpieczenie dla siebie, dla żony i dzieci swoich! w którym upośledzony od przyrodzenia na ciele lub na duszy, znajdzie bez upokorzenia nieochybną pomoc całego społeczeństwa! w którym ziemia dziś przez włościan warunkowo tylko posiadana, stanie się bezwarunkową ich własnością! Ustaną czynsze, pańszczyzny, i wszelkie tym podobne należytości bez żadnego wynagrodzenia! a poświęcenie się sprawie narodowéj z bronią w ręku, będzie wynagrodzone ziemią z dóbr narodowych.

Polacy! nie znamy odtąd między sobą żadnéj różnicy! Jesteśmy odtąd braćmi, synami jednéj matki Ojczyzny, jednego ojca, Boga na niebie! Jego wezwijmy na pomoc, a On pobłogosławi orężowi naszemu i da nam zwycięztwo! Ale aby wysłuchał głosów naszych, nie kalajmy się pijaństwem, ani rabunkiem! nie plamijmy poświęconéj broni samowolnością lub morderstwem bezbronnych różnowierców i cudzoziemców; bo nie z ludami, ale z ciemiężcami naszymi bój prowadzimy. A teraz na znak jedności, przypinajmy kokardy narodowe i wykonajmy przysięgę : — « Poprzysięgam » radą, mową i czynem służyć Ojczyznie mojéj » Polsce! Poprzysięgam poświęcić Jéj wszystkie » moje widoki osobiste, majątek i życie! Poprzysię- » gam posłuszeństwo rządowi narodowemu w Kra- » kowie na dniu 22 lutego 1846 r., o godzinie » ósméj wieczorem, w domu pod Krzysztoforami za-

» wiązanemu, i wszystkim władzom od tegoż » postanowionym! Tak mi Panie Boże dopo- » móż! »

Manifest niniejszy ma być w dzienniku Rządowym umieszczonym, w osobnych odciskach na całą Polskę rozesłanym i natychmiast we wszystkich kościołach z ambon, we wszystkich gminach przez przybicie na miejscach publicznych obwieszczonym.

W Krakowie, dnia 22 lutego 1846 r.

I cóż na to, Macieju? zapyta Grzegorz. Czy nie macie tu w tém pismie jasno jak na dłoni, co nas to czeka w naszéj własnéj Polsce! Nie ma być żadnéj różnicy między Polakami; wszyscy a wszyscy mamy być braćmi, wszyscy równi, jeden tak dobry jak drugi. To już, czy on tam pastucha prosty, czy bogaty kupiec, czy ksiądz, czy dziedzic, czy rzemieślnik, czy urzędnik, wszyscy są braćmi i żaden nie śmie pogardzać drugim, co jest albo biedniejszy od niego, albo nie taki rozumny. Każdy znajdzie ulgę w rządzie polskim i będzie słuchał równego prawa, i kto tylko grunt mieć będzie, nie będzie już płacił czynszu, ani robił pańszczyzny żadnéj a żadnéj; tylko sam dla siebie będzie pracował. A insi, co jeszcze nie mają gruntu, a bić się będą z nieprzyjacielem, dostaną grunta z dóbr narodowych, co to je teraz trzyma w szponach Moskal, Austryak i Prusak. Wszystko to podzieli nasz rząd polski na Lud prosty, i także sobie na

tym gruncie będą gospodarzami, jako-li i drudzy. A takich dóbr jest w całéj Polsce bez końca.

Trzebaby na to chyba najostatniejszego głupca, żeby sobie nie wymiarkował, jakby nam to dobrze było, gdybyśmy obcego wygnali. Ale cóż? niejednemu kładź łopatą w głowę, to jeszcze ledwo uzna, żeby to dla niego lepiéj było.

I wy, Macieju! choć się już tam biliście z Moskalami w Rewolucyi, jednak pewnie sobie róźnie myśleliście i baliście się żeby nas panowie nie zjedli.

Przecież znowu tak źle i tak głupio nie myślałem, odpowie Maciéj; ale wszelakom sobie myślał, że choć pobijemy naszych pognębicieli, to nam może niewiele będzie lepiéj, bo panowie znowu nam potém dobodą. Tak nam też niejeden z urzędu powiadał; aleć kiedy teraz na własne oczy przeczytałem, że rząd polski, co miał być potém u nas na miejscu Moskali, Austryaków i Prusaków, kiedyć ten rząd, tak zaraz ogłosić kazał, to przecież człowiek nie w ciemię bity, żeby nie miał wymiarkować, jakby to święcie i uczciwie było.



XVI.

O! ja dobrze o tém wiem, moj kochany Macieju, mówił potém Grzegorz, jakto tam u was Lud prosty myśli; wiem, żeby on prawie wolał iść przeciwko panom swoim, niż na Moskala, i urzędniki moskiewskie, namawiają też do tego Lud wasz jeszcze bardziéj; oni pragną tego, żeby nas ubyło, boby im potém łatwiéj było wszystkich Polaków wytępić. Abyście poznali, coby się potém z nami stało, opowiem wam przepowiadkę.

Trzech wilków razem chciało wydusić wszystkie owce w owczarni, ale choć to owce głupie zwierzęta, wszelako znalazły się miedzy niemi takie, a osobliwie barany, które, gdy wilki przyszły, rogami się broniły i wilków do owczarni nie wpuściły. Więc bardzo się owe wilki frasowały, że to owiec wszystkich wydusić nie mogą od razu, i zeszły się w boru, i zaczęły bardzo nad tém radzić, jakby to najprędzéj z owcami pokurać. Aż jeden

wilk taką podał radę: Wiecie co, kolledzy wilki, my owcom nie damy rady, póki te szelmowskie barany nam się będą broniły. Więc najlepiéj tak zróbmy! Oto powiemy tym drugim owcom po przyjacielsku, że to nie słusznie, aby same tylko barany miały rogi; że te barany drugim owcom swemi rogami bardzo będą dokuczały, a nareszcie je wszystkie porozbijają. Więc jeżeli owce chcą być bezpieczne, niech wcześnie swoich baranów poduszą. Owce uwierzyły wilkom, zmówiły się w nocy na baranów i na te drugie odważniejsze owce, a na drugą noc pozaduszały wszystkie. Ocieszyły się wtedy głupie owce, że już są teraz bezpieczne, bo uprzątnęły tych, na których je wilki podmówiły.

Ale cóż się stało? Gdy już nie było baranów, co rogami odganiały wilków, wilki zaraz wpadły do owczarni i podusiły głupie owce co do jednéj.

Te wilki to są nasi pognębiciele: Moskal, Prussak i Austryak, a te owce, to Polacy. Oni z nami też tak chcą zrobić, jak wilki z owcami. Wy może o tém nie wiecie, ale między nami jest nie jeden, co pobiera moskiewskie ruble za to, żeby jeno prosty lud na innych Polaków podmówić. Jeden z takich przepłaconych moskiewskiemi rublami był tu u nas nie bardzo daleko; zwie się Grygałowski z Klementowic pod Kurowem. Ludzie go nazywają Mądrym z Klementowic.

Ten mądry z Klementowic? zawoła Maciej; toć mi o nim powiadali, kiedym nocował niedaleko od Puław, że tam był w Puławach i wiele gadał do

prostego ludu; aby jeno trzymali z rządem moskiewskim; że rząd im wszystko da, a drudzy im nic nie dali i nic nie dadzą; żeby lepiéj było, gdyby wszystkich Panów sprzątnięto.

To ten sam, odpowie Grzegorz. Lud prosty go słucha i wierzy w niego niby w ewanielię świętą, bo na nieszczęście nie wié o tém, że to nie duch szczerości i uczciwéj rady, ale moskiewskie ruble przez niego gadają. Rząd wsadził go do kozy, ale to tylko taki wybieg, aby ludzie nie zmiarkowali, że on z rządem w jedną trąbę dmie. Taki jak Grygałowski, jest pomiędzy nami nie jeden, co ludowi daje rady, dla tego, że go rząd przekupił. Ale ludzi takich każdy uczciwy człowiek strzedz się powinien, jak złego ducha.

O mój Jezu, rzecze potém Maciéj; gdyby to człek był dawniéj kiedy tak uczciwe i mądre słowa usłyszał, jak oto teraz, jużbym nieraz był pouczył takich, co różnie sobie i źle o Polakach mówili: Bo na prawdę powiedzieć, tam u nas nie jeden był taki, coby wolał iść za Moskalem, jak za swoimi. Ale wtedy sam dobrze nie wiedziałem, jak takim ludziom przełożyć; choć uznałem, żeby się Pan Bóg Przenajświętszy srodze na to gniewał, gdyby Polak szedł na Polaka, a nie na Moskala.

A jak się tu od was teraz wszystkiego na dobre wywiedziałem, to choćby mnie i piec mieli i w kawałki krajali; nieodstąpię od tego, jeno wszędy będę za tém, żeby się wszystek naród polski dopomógł, i żeby od najwyższego do najniższego wszyscy sobie podali po bratersku ręce i w imię

Boskie szli na pognębicieli moskiewskich. Teraz mi się dopiero na dobre oczy otworzyły; wiem i czuję całym sercem, co Polak zrobić powinien.

O! wszystkiego, rzecze Grzegorz, wy jeszcze nie wiecie. Wamby się wszelako zdawać mogło, że rząd wam dobrze życzy, tylko panowie wam wszędy przeszkadzają. Jak teraz oto z tą wolnością, co ją rząd miał nadać. Ja dobrze wyrozumiałem, co się święci i naprzód powiedziałem do moich, że to tak będzie: Rząd moskiewski każe wam przez swoich własnych urzędników ogłosić, że dostaniecie wolność, a zaś znowu przez Panów każe wam ogłosić że téj wolności nie dostaniecie. A jakżeż się stało? powiedźcie, sami Macieju.

Prawda, odpowie Maciéj; tak się stało, że rząd nam obiecał wolność gruntów, a zaś przez panów kazał nam powiedzieć, że oprócz zniesienia darmoch nic nie dostaniemy. Nas-ci się to nie tyczy, bomy wszyscy w naszéj wsi mamy własny grunt, bośmy się już od wielu lat tak z dziedzicem ułożyli.

A wiecie wy też, zapyta Grzegorz; dla czego to rząd moskiewski tak zrobił? Oto rząd sam obiecuje wam wszystko, abyście byli przychylni do niego, że to on wam taką łaskę chce wyświadczyć; a potém nakaże ostro wszystkim dziedzicom, aby wam powiedzieli, jako wam rząd nic nie da. Więc każdy z was myśli, że rząd wam chciał coś dobrego uczynić, ale panowie temu przeszkodzili. Czy nie prawda, że tak u was nie jeden myślał?

To prawda że wiele ludzi tak sobie myśleli, odpowie Maciéj. A to w tém nic inszego, mówił daléj

Grzegorz, tylko rząd moskiewski chce jednego Polaka nasadzić na drugiego, żeby nas potém wszystkich mógł tém łatwiéj wytępić.

Więc téż oczywiście takie dał rozkazy, aby nasz prosty lud powziął zawiść na panów. — Bodaj się moje słowo nigdy nie sprawdziło, ale jak Bóg na niebie stanie się tak, że jak my sami nastawać na siebie będziemy, i jak przez to wyginie Polaków wiele, wtedy Moskal na resztę wpadnie, jak oto te wilki na ową owczarnię w przepowiastce. — Bo w to już nikt zdolnym rozumem nie uwierzy, aby rząd moskiewski miał z nami co szczerze a uczciwie począć i aby naszemu ludowi chciał na prawdę jaką ulgę zrobić; boć gdyby on polskiemu ludowi miał ulżyć, toćby przecież prędzéj ulżył swojemu moskiewskiemu, co mu jest bliższy i milszy niż nasz, a wszelako nie zrobił tego i zrobić nie myśli. Tam w Moskwie jest taka niewola, taki ucisk, taki skwierk na prosty lud, że niech Pan Bóg broni i zachowa. W moskiewskim kraju jest stokroć gorzéj niż u nas, wszelako car nie nakazał tam ludowi ulżyć ani na włos. — A to sami wiecie, że kiedy kto o swoje własne dzieci nie dba, jakże ma szczerze dbać o pasierbów? i wszystkie obietnice są tylko okpiewaństwem od rządu takiego.

XVII.

O jednéj rzeczy ja sam wiem! mówił Maciéj, i wcale mi się to nie zdało, co rząd moskiewski z nami kazał robić.

Nasz dziedzic jest uczciwy i jak jeno pamiętam, nikomu jeszcze krzywdy nie dał wyrządzić. Ale niedawno przydarzyło się, że Kasprowi, co siedzi komornem, weszły proszczaki w pańską oziminę. Takie rzeczy nie raz i nie dwa się przedtém zdarzały, ale jak o tém naszemu panu powiedzieli, nie było za to kary, ani niczego, bo zawsze mówił: Ja wiem, że to przecież nie umyślnie mi na rolę wpędzili; tylko że się bydle wywrze i samo leci w szkodę. Więc jeno napomniał, aby na drugi raz lepiéj zamykać bydlę. — Jak teraz tam nieborakowi owe proszczaki weszły w szkodę, zaraz go wójt, co zastępuje pana, kazał zawołać i na środku podwórza przy wszystkich ludziach katować. — Nasi zaczęli na niego szemrać, bo wiedzieli, że

tego nigdy przedtém nie było. Jeden pobiegł zaraz do pana o tém powiedzieć, ale nasz pan poszedł był właśnie do stodoły i na jęki naszego Kaspra sam się naraz ukazał.

Pan idzie, a wójt precz katować każe. Więc nasz pan przyskoczył, porwał wójta za kołnierz i krzyknął: Jak ty śmiesz łajdaku moich ludzi katować? Alboż to nie wiesz, że ja sam tego nigdy nie robię i surowo ci, zaraz jak nastałeś zakazałem moich ludzi poniewierać? Od dziś dnia nie będziesz kpie wójtem!

A nasz wójt prawie z kpinami mu odpowiedział: Pan do mnie teraz nic nie ma! Pan mnie zrobił wójtem, a rząd mnie potwierdził i teraz my wójci nie od panów, ale wprost od rządu dostajemy rozkazy, i pan mnie nie może zrzucić z wójtostwa bez rządu.

A więc łżesz! krzyknął nasz pan na niego, bo ci pewno rząd nie nakazał, moich ludzi poniewierać. Gdyby rząd co nakazał, musiałbym o tém też tak dobrze wiedzieć jak ty. Odpowiadaj zaraz, skąd śmiałeś tego człowieka katować?

Patrzymy, a tu wójt wyciąga z kieszeni papier i podając go panu mówi: oto jest pismo od gubernatora. — Pan je czytał głośno, a myśmy wszyscy potruchleli, bo tam gubernator rozkazuje, aby się wójt wcale pana nie pytał i kiedy który człowiek ze wsi najmniejszą rzecz zaskurzy, aby go zaraz karać na ciele, to jest katować batogami.

Nasz pan się przeląkł na takie pismo i zapytał wójta, dla czego mu nic o tym rozkazie nie powie-

dział, albo mu go dawniéj nie pokazał. Wójt odrzekł, że gubernator panom nic o tém nie dał powiadać.

Nie widzicież więc? zawołał teraz stary Grzegorz; nie widzicie, dzieci moje, do jakiego szelmostwa się rząd moskiewski bierze? Wójtom potajemnie rozkazuje aby prosty lud za każdą rzecz katować i gnębić, boć naturalnie lud będzie myślał, że to panowie ich każą katować i uciemiężać, kiedy wójt nimi poniewiera.

Nie jestże to dowód jasny jak słońce na niebie, że rząd moskiewski niczego bardziéj nie pragnie, jak tylko, aby lud pobuntować na panów i to jeszcze w tak barbarzyński sposób?

Dzieci kochane! To już za wiele okrucieństwa, za wiele szelmostwa, za wiele podstępów, jakich te rządy na naszą biedną Polskę używają. Ze wszystkich stron nas drą, gnębią, jednych na drugich nasadzają! — Oby Bóg dobrotliwy natchnął naród polski, żeby się zbratał i zaprzysiągł przez rany Chrystusowe na wygnanie tych gnębicieli! Bo jak to jarzmo obce długo potrwa, to nas zniszczą do szczętu i wygnębią do ostatka!

Wszyscy słuchali z żalem, jak stary Grzegorz takie im słowa mówił i wszystkim było gorzko w sercu, że się takie okropności dzieją z naszym narodem, i że tak długo wszystek lud się nie porywa.

O! co prawda, to prawda! przemówił Maciéj. Już nie ma rady, jeno koniecznie trzeba się zmówić i co kto może w garść pochwycić, to brać a

uderzać na te niecnoty. Bo jak teraz słyszę, to już wszędy a wszędy jest takie uciemiężenie i takie podstępy od tego Moskala i od waszego tutaj Austryaka i tam od Prusaka.

Przypomina mi się teraz, co mi też powiadał cieśla. Nie był on tam z naszych stron, ale od Wilna, precz tam z Litwy. Chcieli go porwać w rekruta, więc uciekał do Pruss i nocował u mnie. Przyjąłem go uczciwie do chałupy i uczęstowałem, bo jakże nie pomódz bratu Polakowi, co go rząd ściga? On mi też cały wieczór rozpowiadał bardzo rozmaite rzeczy i o swojéj Litwie i o téj Żmudzi, co tam od nas nie daleczko leży. I tam na Litwie bracia nasi Litwini i na Żmudzi bracia Żmudzini, wszystko to cierpi od rządu moskiewskiego.

Dziesiąte tam nie wie, dla czego to i skąd to. Zwyczajnie cierpi i kwięka, i biedzi się do ostatniego i prosi Pana Boga, żeby jako było lepiéj; to tylko nieszczęście, że się też jeszcze na dobre nie pomiarkowali. Bo tam jest tyle luda jędrnego i mocnego, żeby prawie sami pokurali z Moskalami, gdyby na prawdę zaczęli bić.

Powiadał mi więc ten cieśla, że tam wszędy nasz naród taki jest uczciwy i pobożny, pracuje jak może i wciąż Pana Boga chwali. Ale Moskal nic na to nie zważa, jeno gnębi a dokazuje prawie jeszcze bardziéj niż u nas.

Co do tego rzecze, ksiądz proboszcz, to mi wierzyć możecie, że nie masz ani jednego kącika na całéj wielkiéj ziemi polskiéj, gdzieby ucisku i pognębienia Polaków nie było. Gdzie tylko są Po-

lacy i nad nimi panuje albo Prusak, albo Moskal, albo Austryak, wszędy jest skwierk nie na jednych to na drugich.

Moskal by chciał u nas tak zrobić, jak tam jest u niego w samej Moskwie, co ludzi wolno sprzedawać jak konie albo bydło. Bo Moskale jedni drugim sprzedawają swoich ludzi za pieniądze, tak jak oto ty sprzedasz twego wołu sąsiadowi.

Taka tam jest niewola, bo tam lud prosty całkiem zbiedzony i zbydlęcony. Rządowi moskiewskiemu z tém jest bardzo wygodnie, więcby chciał aby i u nas tak było.

Na Litwie i na Żmudzi, mówił potém Maciéj, każda prawie wieś musi utrzymywać magazyn i tam składać zboże dla moskiewskiego wojska, aby na każde zawołanie miało żywność. I to się już urzędnik moskiewski nie pyta, czy urodzaj czy nie, czy zboże drogie czy tanie, jeno przynoś i syp! — Choćby kto nie miał dla żony i dla dzieci chleba, nic to nie pomoże; do magazynu musi znosić i składać, i to jeszcze dla takich kacapów, jak te szelmy Moskaliska. — Bo to istne zwierzęta! Takie dzikie, złodziejskie i bezbożne!

Kiedy przyjdzie na postój, co to my inkwaterunkiem nazywamy, to jakby się samo piekło wywarło. Gdzie tylko kto co ma, choćby najlepiéj schował i zamknął, taki rabuś jednak ukradnie. Gęsi, drobiazgu, powrozów od bydła przed tém złodziejstwem już ustrzedz nie można; co się jeno na uboczu pokaże, to Moskal łapie i zabija.

A na kwaterze! to jakby człowiek miał djabła

z rogami; bo co jeno masz to mu dawaj, a wszystko mało, wszystko mało. Gorzałkę kupuj i kupuj, a żołdactwo ją leje w gardziele niby w ceber jaki. Nie tylko to wyje i wypije, co mu się postawi, ale te szelmy nieraz pazurami z garnka ludziom jadło wyciągają, albo obwalanemi rękoma z miski z przed gęby łapią.

Takiego bycla, zakrzyknął Butny, ubiłbym na miejscu, albo jak kota szelmę udusił, gdyby mi tak miał w mojéj chałupie dokazywać!

Nie takie to tylko rzeczy, mówił daléj Maciéj, wyrabiają te żołdaki moskiewskie na postoju, ale dziesięć razy gorsze jeszcze. Taki niegodziwiec i ludziom dokuczy i jakby się gniewu Bożego nie bał, takie rzeczy robi.

Tfy! mnie to wstyd powiedzieć! Ale mi ten cieśla mówił, że jak te Moskaliska tam są na postoju, to nieraz gospodarza wypędzą z chałupy, a na kobiety jakby dzikie zwierzęta napadają. Dziewczęta aż do lasu przed nimi uciekają, bo to wielka obraza Boska takie zelżenie uczciwości, i to jeszcze od moskiewskiego żołdactwa.

Już też wszystkim aż pod gardło taki ucisk. A tu jeszcze urzędniki moskiewskie co nie dokazują!

I kluczwójt i assessor i taki Strapczy, co to niby ma bronić sprawiedliwości, a jak mu co do łba wleci, najniewinniejszego człowieka weźmie w kozę albo oćwiczyć każe. Wszystko to psy moskiewskie razem z kapitanem sprawnikiem, co jeno na to żyją, aby poczciwych polskich ludzi pognębiać i niszczyć. I to coraz tam gorzéj.

Dawniéj na ten przykład proboszcz miał swoją wioskę, i miał dochody z niéj i nauczał lud, jak uczciwie żyć i chwalić Pana Boga.

Wiele ludu potrzebnego znalazło tam poparcie: czy to podróżny, czy jaki inszy człowiek, kiedy w karczmie nie było miejsca albo za nadto niewygoda, poszedł do proboszcza. Ten ich przyjął, ugościł, przenocował i na drogę jeszcze dał zapomóżkę. Teraz wszystko ustało, bo rząd moskiewski pozagrabiał księżom majątki, zostawił kawałeczek gruntu i płaci im pieniędzmi. Że ich rząd zasługami nie opasie, sami to pewnie wyrozumiecie. Rząd zabrał całe wioski, a teraz księżom tak liche daje zasługi, że ledwo sami wystarczyć mogą. Prócz tego nie wypłacają im regularnie i nie wszystko spełna. Bo u Moskala złodziejstwo jest nie tylko pomiędzy prostakami, ale od najwyższego do najniższego wszyscy kradną. Więc taka zapłata, nim przyjdzie do rąk księdza, umniejszy się w ręku urzędników.

A opłacają oni tam podatki? zapyta Dudziak. A mój Boże! odpowie Maciéj. Muszą opłacać rządowi tak dobrze jako-li my i wy. Gdzieżby tam rząd opuścił podatki! Rządby coraz większe nakładał, gdyby widział, że te, które ludzie płacą, jeszcze za małe dla ich łakomstwa.

W rekruta też naturalnie łapią! przemówił Grobelny. Toć to jest ta straszna plaga, co każdego ojca i matkę dręczy, rzecze Maciéj. Tam jest tak, jak w całéj Polsce pod Moskalem. Co jeno najtęższego chłopaka do pracy, wszystko podczas re-

krutowania wyłapią i pozapędzają Bóg wie kaj. Nie jeden by prawie wołał, aby mu umarł chłopak, niż że go porwą. Jak umrze, toć mu tam lepiéj na drugim świecie, a jak go wezmą Moskale, to się nad nim aż do samej śmierci nawymyślają, nabiją, nasztorchają, naponiewierają, jak to zwyczajnie w moskiewskiém wojsku.

O! te rekrutowiny! One biednym ludziom spać nie dadzą i wiele płaczu zawsze rodziców kosztują. Jak pomór straszny jest na bydło, tak to rekrutowanie straszne jest na naszych ludzi.



XVIII.

Było źle, jest źle i będzie źle! przemówił Grzegorz stary. Będzie gorzéj może, jeżeli dłużéj cierpieć będziemy taką niedolę. Rządy coraz bardziéj na nas następować będą, i dziedzice, którzy źli, dokuczać ludziom pod temi rządami nie przestaną, bo rządom jest z tém dobrze i wygodnie. Nie będzie i nie będzie nigdy lepiéj, jeżeli nie zburzymy obcych rządów, a własnych rządów nie zaprowadzimy. Nasz rząd polski będzie rządził według woli całego Narodu i każdemu dogodzi; bo teraźniéjsze cierpienia każdego rozumniejszego Polaka pouczyły; zrobi równość między wszystkimi Polakami; nikomu nie dozwoli górować i dokazywać nad drugim, tak jak teraz.

Toć stało w tém piśmie, przemówił Maciéj, coście mi dali do przeczytania, które rząd polski w Krakowie zaprzeszłego roku kazał ogłosić. Boże Wszechmogący! możeby już teraz u nas tak było,

gdyby nie Galicya. Boć gdyby oni byli poszli za Polakami a nie przeciwko Polakom, byłoby się powstanie udało i dziśby już był u nas polski uczciwy rząd.

Ale powiedz-że mi, Macieju! odezwał się ksiądz proboszcz, czy tam na Litwie i na Żmudzi, o których opowiadałeś, Lud wcale a wcale nie bierze sobie na uwagę tego uciemiężenia, które u nich jest od Moskali.

Większa część Ludu, odpowie Maciéj, jeno stęka, pracuje, biedzi się, i będąc ciemną nie pomyśli i nie rozważy sobie dobrze swojéj niedoli; ale wszelako co rozumniejsze — powiadał mi ten cieśla — bierze sobie też na uwagę ten ucisk moskiewski. Taki doktór wiejski, co ich tam jest wielu, — choć to też prości ludzie, ale że jednak więcéj rozumu mają, więc sobie miarkują, że trzeba wygnać gnębiciela; albo księża, co ich tam jest po kilkoro czasem na parafią, albo niejeden, co służy u dworu.

Ci ludzie już prędzéj mogą sobie zważyć jak trzeba zrobić z Moskalami; ale Lud, że ciemny, nie garnie się do żadnych zmów na Moskala. Gdyby to tam kto zaniósł to pismo z Krakowa, com je czytał, toby sobie inaczéj rzecz miarkowali. Bo znowu trzeba wiedzieć, że Lud polski na Litwie i na Żmudzi wcale nie jest nieużyty; jest to Lud uczciwy, dobry, pobożny, pracowity, gospodarny, i byle jeno dobrze uznał, co ma robić i jak ma robić, toby szedł choć w ogień za wolność polską. Taki to tam jest Lud, jak mi ten cieśla powiadał.

Niedarmo też to, mówił ksiądz proboszcz, jest taka ładna pieśń o Żmudzi.—Słyszeliście ją kiedy?

— Nie, nie słyszeliśmy! odpowie Grobelny.

Ksiądz proboszcz wyciągnął z kieszeni książeczkę i rzekł : o Żmudzi tak tu pisze :

Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny zrazu ;
Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu,
Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
Na wpół krwawa, na wpół gniewna,
Piersi jękną z takiéj głębi,
Zamiar padnie jakby w studnię,
Lecz czas krwi téj nie wyziębi,
Ducha jego nie wychłódnie,
I wypłynie na jaw w czynie!

Balbisia uradowana pocałowała księdza proboszcza w rękę, że takie ładne wiersze przeczytał.

Potém zaczął mówić Grzegorz :

Co do Litwy, wiem to dobrze, że tam są serca szczere, polskie, i za dobrą sprawę, byle ją uznali, życieby swoje dali. Litwini, podczas téj Rewolucyi, co wybuchła w Warszawie, garnęli się ochoczo i krzepko do broni. Toć o tém najlepiéj wie Białowiejska puszcza. Tam to Lud litewski najdłużéj się trzymał i kropił Moskali.

Lud to dzielny, zdrowy, bitny, skryty, ale jednak szczery, z sercem otwartém i prawém. Choć sobie po wsiach litewskim swoim językiem mówi, ale szczerze po polsku myśli.

Co to za szkoda że ta Litwa prędzéj nie powstała w Rewolucyi i nie połączyła się zaraz z drugimi. Jak Bóg na niebie! jużby Moskala w naszéj ziemi nie było. Jużby nie było ucisku ani od rządów obcych, ani od nikogo ze swoich.

Na Litwę, koniecznie na Litwę by trzeba komu iść, a wytłumaczyć tym uczciwym sercom ich niedolę i pognębienie, które dzisiaj cierpią; nauczyć, jak się trzeba zmawiać pokryjomu, i zaś razem uderzyć na nieprzyjaciela; to jakby się ten Lud litewski pobrał a jeszcze z nami razem, zdmuchnęlibyśmy obce rządy jak słomkę z ławy. Znam ja dobrze ten Lud, co kiedyśmy szli z Napoleonem na Moskwę, maszerowaliśmy także przez tę naszą Litwę i staliśmy tam przez jakiś czas. Tam jak mówię, nic nie trzeba tylko wytłumaczyć temu Ludowi, jaka ma być nasza przyszła Polska, to Litwin, jak pójdzie z nami na Moskala, to Moskal uciecze za ostatnią granicę.

Przypominam ja sobie, przemówił Dudziak, co tam nasi w Poznańskiém powiadali. Wszak to tam jest Litwa, gdzie leży to wielkie miasto Wilno?

Tak jest! odpowiedział ksiądz proboszcz. Wilno jest tak na Litwie, jak tutaj Kraków w Krakowskiém, Lwów w Galicyi, Warszawa w Królestwie, Poznań w Poznańskiém, Kijów na Rusi-Polskiéj, Żytomierz na Wołyniu, Kamieniec na Podolu, Gdańsk w Polskich-Prusach. Wszystko to główne miasta w częściach Polski, a wszystkie ujarzmione przez obce rządy.

Więc powiadali nam w Poznańskiém, mówił

dalej Dudziak, ci co byli w pułku Poznańskim podczas Rewolucyi — szesnaście lat temu — że jak przybyli na Litwę, to Lud litewski tak był uradowany, że księża z krzyżem, z monstrancyą świętą, z chorągwiami — całemi processyami wychodzili o kilka mil przyjmować naszych Poznańczyków.

Ci co tam z naszych byli, nie mogą się napowiadać, z jaką radością ich Litwini przyjmowali. Co kto miał, wynosił im i częstował, i ściskał, i całował naszych żołnierzy. Kto tylko miał zdrowie i siły, przystawał zaraz do pułku Poznańskiego! A kobiety i dziewczęta litewskie wiły wieńce, i rzucały je polskiemu wojsku. Wszyscy krzyczeli : *Niech żyje Polska ! Niech żyje polskie wojsko!* Księża odprawiali solenne nabożeństwa prosząc Boga Najwyższego o zwycięstwo nad Moskalem — i błogosławili polskie wojsko.

O! prawda, mówił potém Grzegorz, że się aż serce śmieje, kiedy się słyszy o takim duchu szczero-polskim. Przy takim duchu byliby nasi z pewnością Moskala wygnali, ale to nieszczęście, że się wszyscy od razu nie wzięli.

Gdyby Litwa zaraz po wybuchu warszawskim była się podniosła, byłaby u siebie Moskali wygniotła i drugim nadciągnąć nie dała. Ale Litwa wciąż czekała, póki skąd inąd polskie wojsko nie nadejdzie; przepuściła przez swój kraj Moskala, i zaś było ciężko na naszych.

To sobie dobrze bierzcie na rozum, dzieci moje! że kiedy w jednéj stronie Polski wezmą się Polacy do broni na wroga, to drugie części, jak się tylko

dowiedzą, zaraz w te tropy muszą się pobierać i u siebie bić gnębiciela: czy to Moskala, czy Prusaka, czy Austryaka.

Bo uważcie jeno! jak jedna tylko część Polski powstanie, a drugie spać będą i nie ruszą się natychmiast, to nieprzyjaciele pościągają swoje wojska wszystkie w to miejsce, gdzie bracia nasi zrobią wybuch. Wtedy ciężkoby było na naszych pokurać z nieprzyjacielem. A jak wszyscy, na wszystkich miejscach od razu powstaną, i w Krakowskiém, i w Poznańskiém, i w Zachodnich Prusach, tam gdzie miasto Gdańsk, i w Królestwie, i w Litwie, i na Ukrainie, i na Podolu, i na Wołyniu, i w Galicyi, to nasi gnębiciele nie będą wiedzieli, skąd kozy gnać; — bo gdzie się obrócą, tam im Polacy drogę zastąpią, i będą bili a siekli, i wysieką ich, że ani na lekarstwo nieprzyjaciela nie zostanie. A wtedy każdy z nas będzie wolny i od rządów obcych, i od panów dzisiejszych. Każdy sam sobie będzie panem swego dobytku.

Wtedy, ozwie się ksiądz proboszcz z obliczem rozjaśnioném radością, wtedy będziemy odprawiali processye i wszelkie nabożeństwa, dziękując Bogu Najwyższemu, że skończył dni naszego utrapienia. Wtedy będziemy stroili świątynie Pańskie do koła kwiatami na cześć Boską, z téj radości, żeśmy wolni i szczęśliwi. A Pan Bóg Wszechmogący użyczać nam będzie odtąd swéj łaski i opieki, jako niegdyś za starych, niepamiętnych czasów użyczał pradziadom naszym.

Święte słowa mówi ksiądz dobrodziejaszek! za-

wołał Butny. Aż serce skacze z radości, kiedy sobie człowiek rozpomni takie śliczne czasy, i taką szczęśliwość w téj przyszłéj Polsce.

Gdy to Butny mówił, oblicze jego się rozjaśniło jak niebo na pogodnym dniu, bo gorąco czuł w swojém sercu, jakie szczęście czeka jeszcze ten kraj polski, co dzisiaj tak jest ze wszech stron pognębiony.

Wszyscy, co się znajdowali u Grzegorza, tak samo się radowali jak Butny, bo kiedy ksiądz proboszcz mówił o tém szczęściu, co je ma mieć Polska po wygnaniu nieprzyjacioł, — to im się zdawało, jakby już mieli przed oczyma tę nową Polskę.



XIX.

Czyście wy tam, Grzegorzu, powiadali o Wołyniu, Podolu, Ukrainie? przemówił Dudziak. Czyby te kraje też na prawdę miały być tak polskie jak drugie? Prawdę wyznać, — ja o tém od nikogo na dobre nie słyszałem. O drugich częściach, jak oto o Poznańskiém, Galicyi, Królestwie, Litwie i Żmudzi już z dawna wiem, ale o tych trzech, nikt mi jeszcze nie wytłumaczył.

Szkoda, rzekł Grobelny, że cię tu przeszłéj zimy jeszcze nie było. Byłbyś wszystko dokładnie usłyszał od naszego kochanego Grzegorza.

Nic to nie szkodzi, mój Dudziaku! mówił Grzegorz. Drugim to dawniéj o całéj Polsce powiadałem, więc i tobie chętnie o tych częściach dopowiem.

Oto te kraje: Wołyń, Podole i Ukrainę, my dziś nazywamy jedném nawiskiem Ruś. Ta Ruś leży zaraz za Galicyą i graniczy tak dobrze z Królestwem

jako i Litwą, bo to jest kraj wielki.— Mieszka tam Lud tak dobrze polski jak u nas. Na Ukrainie Lud prosty najwięcéj mówi po rusku, ale nie tak jak Moskale, tylko całkiem z polska. My ich też dobrze rozumieć możemy.

Te kraje należały przed rozszarpaniem naszego Narodu do Polski porówno z drugimi: z Litwą, Poznańskiém i resztą. A co to był za dzielny Lud na przykład na téj Ukrainie, a osobliwie tam jeszcze daléj na Zaporożu. Ci za polskich czasów byli wszyscy wolni, i żyli najwięcéj na koniach. To też w polskiém dawném wojsku nie było żołnierza nad Ukraińca, bo to czujne, obrotne, zwinne i zmyślne na wszystko. Wtedy jak Polacy podnieśli tę Konfederacyę Barską, aby wygnać Moskali, co w Polsce natenczas świętą religię katolicką napastowali, cesarzowa moskiewska Katarzyna kazała namawiać i buntować Lud na Ukrainie, aby szlachtę polską, polskich panów i księży katolickich mordowali; bo już wtedy Moskwa koniecznie nas zniszczyć chciała.

Lud ukraiński dał się też namówić, i co tylko było z panów, księży i żydów, — wszystko niemiłosiernie mordował. Wtedy to była ta okropna rzeź na Ukrainie, co ją rzezią hajdamacką nazywają. Ale cóż się wtedy stało? Oto jak Ukraińcy pomordowali panów i księży katolickich, — sama cesarzowa, co ich wprzódy buntowała, posłała na nich ogromne wojsko, aby ich połapać i pozabijać.

Ukraińcy po téj okropnéj rzezi stanęli sobie obozem, a tu wojsko moskiewskie wpadło na nich,

połapali, powiązali i niemiłosiernie katowali. Zaś hersztów Gontę i Żeleźniaka najokropniejszą śmiercią zamęczyli. Z Gonty jenerał moskiewski kazał pasy drzéć i potém głowę ściąć, a Żelezniaka żywcem na pal wbić. A wiesz co się z drugimi Ukraińcami stało? Oto cesarzowa tych, co jeszcze byli wolnymi, obróciła w poddanych i niewolników. Od tego czasu cięższe tam poddaństwo niż gdzieindziéj,

Tak to zawsze, dzieci moje! bywa, kiedy kto idzie za podszeptami djabelskiemi. Nigdy przenigdy na dobre mu to nie wyjdzie.

Muszę jeszcze powiedzieć, że na Ukrainie jest wszystek Lud, tak męszczyzna jak kobieta, przewybornie śpiewny. Jak pocznie śpiewać i przygrywać na bandurze, toby przez cały Boży dzień nie przestał. Ale nigdy tam nie usłyszysz piosneczki wesołéj, jeno zawsze przeciągłe, rzewne, smutne, jakby ich tęga była za wolnością z dawnych przedawnych lat, bo dzisiaj, jak wam już mówiłem, u nich taka niewola, że niech Bóg broni i zachowa.

Kiedy mówicie, mój Grzegorzu, o Ukrainie, przerwał ksiądz proboszcz, to wam też muszę powiedzieć wiadomość, co ją przywiózł mój dobry przyjaciel, proboszcz z Dębcza.

Był on nie tak dawno w Kijowie, tém głównem mieście Ukrainy i powiadał takie wydarzenie.

Na Ukrainie jest tak dobrze jak w całéj naszéj Polsce, wiele dóbr, co je Moskale pozabierali Pola-

kom. Teraz te dobra są rządowe. Podczas tych rozruchów w Polsce zląkł się rząd moskiewski, aby i na Ukrainie Lud prosty nie wziął się do kosy na Moskwę. Chciał więc, już nie pamiętam w których tam dobrach rządowych, dać chłopom wolność. Ale Lud ukraiński dobrze pamięta, jak go dawniéj rząd moskiewski odrwił, więc tą razą nie chciał wolności, bo sobie miarkował, że to pewnie znowu jakie oszukaństwo. — Kiedy Lud na pierwszy rozkaz nie chciał przyjąć wolności, posłał gubernator kijowski, co się nazywa Bibikow, do gmin rządowych sekretarza swego, jenerała Pisarewa.

Ten pojechał, kazał zwołać gminy i gwałtem im kazał przystać na wolność, co ją rząd moskiewski daje. Ale gminy nie i nie. Więc Pisarew bardzo się rozzłościł i krzyknął: że on jest Pisarew, przysłany od gubernatora i że muszą słuchać tego, co im nakazuje. — Oni go tam nieznali; — zwyczajnie myśleli: Pisarew, Pisarew! to pewnie pisarek jaki z Kijowa, więc jak się porwą na niego, tak, — nie wiem, czy to istna prawda — ale podobno mu porządnie dali po grzbiecie.

Słuchajcie co się daléj stało! — Ten Pisarew uciekł napowrót do Kijowa. W kilka czas potém przyszedł od gubernatora rozkaz, żeby te wszystkie gminy stawiły się w samym Kijowie, ale każda z osobna i o inszym czasie. — Gminy się stawiały: ale jak tylko która przyszła, zaraz ją gubernator kazał obtoczyć wojskiem, rachować i co dziesiątego wybrać. Do tych wybranych strze-

.ało potém na rozkaz gubernatora wojsko moskiewskie jakby do zwierząt jakich. I tak się z wszystkiemi gminami stało.

Drudzy wrócili do domów smutni i we łzach o braci, których tyrański gubernator w ich oczach zastrzelić kazał. Żony pozabijanych nadaremnie wychodziły naprzeciwko swoich mężów; biedne dzieci, sieroty, na próżno się pytały, kiedy tatuś do domu powrócą.

O! już nie przyjdą, już nie wrócą! moskiewskie karabiny wyrwały im wnętrzności; a wy żony i wy drobne dziatki! zostałyście bez poręki, bez opieki, w żalu, we łzach i rozpaczy!

Co za okrucieństwo! — zawołał Grzegorz z oburzeniem. Co za szatańska złość i zemsta tego moskiewskiego rządu, żeby tyle niewinnego ludu pomordować. ! Wszędy ucisk, wszędy niewola, wszędy tyraństwo i jęk nieszczęśliwego ludu.

Boże wielki! ta nasza Ukraina, ten Wołyń, to Podole, mogłyby być rajem na polskiéj ziemi, gdyby nie ucisk moskiewski. Na całym świecie może nie masz rodzajniejszéj ziemi i świeższego powietrza, niż w tych częściach naszéj Polski. Gdzie indziéj krwawo się trzeba napracować w roli, dobrze wygnoić i uprawiać jak kto może, a tam jak świat światem nikt nie gnoi; zorze, uwlecze tylko z grubszego, i rok w rok siać może pszenicę; a pszenica jakby las. Gdzie indziéj bieda o słomę, a tam prawie nie wiedzą, co ze słomą począć. Palą ją w stogach, a miasto mierzwić rolę, spalą tylko ściernisko i na drugi rok taki urodzaj jak przedtém.

O! gdyby nie podatki, co je tam muszą krwawo opłacać, a nie mają skąd, bo zboża wiele, ale nie pokupne; i gdyby nie uciemiężenie, które tylko po wygnaniu Moskali ustanie, byłyby te części Polski najszczęśliwsze w świecie.

Czują to dobrze tamtejsi ludzie. Kiedy wybuchnęła rewolucya w Warszawie, jenerał Dwernicki poszedł na Wołyń. Był też w jego pułku jeden z naszych z pod Krakowa. Ty go musiałeś znać Grobelny, bo to wiesz ten Szymoniak, gospodarski syn, co tu często po klepki przyjeżdżał i właśnie jakoś przed trzema laty umarł!

Jakżebym go nie miał znać? — odpowie Grobelny. Przecież z nim wiele razy odwoziłem klepki do Wisły.

Otoż ten Szymoniak, mówił Grzegorz, powiadał mi, że jak wkroczyli pod Dwernickim na Wołyń, aby tam też bić Moskala i tę część Polski oswobodzić, to Lud wołyński, nie wiedział, co robić z wielkiéj radości. Co żyło, krzyczało: Niech żyje Polska! I tak jeno kto mógł, wiązał się zaraz z wojskiem i daléj-że na Moskala!

A to Podole, to śliczne Podole! To już dzisiaj jakby raj na ziemi; tak tam wszystkiego podostatkiem. Sama pszenica wszędzie, chleba żytniego prawie nie znają. Niczego tam nie potrzeba, tylko obalenia moskiewskiego rządu.

To Podole już się też kilka razy dało we znaki Moskalom Kiedy w Warszawie wybuchnęła rewolucya, wtedy i nasi Podolanie ochoczo się garnęli do broni.

Duch tam był tęgi, szczero-polski; ochota do przelania ostatka krwi za Polskę. Ale że to było późno, bo tam dopiero w pięć miesięcy po warszawskim wybuchu powstali, więc się już Moskale w wielkie massy pozgromadzali i to naszą rewolucyę zabiło. Wielka stąd została dla nas nauka i już wam ją raz wypowiedziałem: kiedy w jedném miejscu rozpoczną, tak resztą jeden przez drugiego musi się rwać do czego może, i kropić nieprzyjaciela, gdzie się tylko nawinie, a łączyć a łączyć się z drugimi Polakami. Tylko w taki sposób wypędzimy gnębicieli naszych.



XX.

Mówię wam o Podolu! Wypada mi więc powiedzieć, co się tam dawniejszym czasem wielkiego stało. Jużem wam wspomniał o Konfederacyi Barskiéj. Było to tak:

W Polsce był na końcu królem Stanisław Poniatowski. Ale że to była lichota i wielkie ladaco, więc moskiewska cesarzowa wyprawiała Bóg wie nie co w naszéj Polsce, a nawet do tego się posunęła, że na naszą świętą religiję następować zaczęła. Nasyłała do naszego kraju swoich Moskali, aby namawiali Polaków do moskiewskiéj wiary i buntowała Lutrów, aby swoją religiję w naszym kraju przeparli.

Już Moskale tém nawet zaczęli, że poseł moskiewski, co mieszkał w Warszawie, biskupowi krakowskiemu Sołtykowi za to, że się ujmował za religiją świętą katolicką, kazał pozabierać majątek, powozy i konie, i sam po Warszawie biskupiemi

końmi i karetami paradował. Później tego samego biskupa, i drugiego Józefa Załuskiego biskupa kijowskiego z Ukrainy, kazał złapać i na kibitce wywieźć het tam gdzieś do Rossyi. Bez mała byłoby się tak samo reszcie biskupów polskich stało.

Więc Adam Krasiński, biskup kamieniecki z Podola, co był natenczas w Warszawie, ujechał czemprędzéj na Podole, i nie widząc już innéj rady, jak tylko tę, że Moskali trzeba żelazem odegnać, rozpisał do wszystkich uczciwych Polaków, aby się wiązali w jedno i wyruszali na Moskala.

Tak tedy najgorliwsi Polacy zgromadzili się w mieście Barze na Podolu; tam zawiązali konfederacyę Barską, i mężnie rozpoczęli bój krwawy z Moskalami. Było pomiędzy Polakami wielu zacnych i tęgich ludzi, jak: siedmiu Puławskich, Krasiński, Joachim Potocki, którzy całe majątk swoje i życie, poświęcali na obronę wolności i wiary świętéj.

Ale większy od wszystkich, bo słynący z wielkiéj świętobliwości, był między nimi ksiądz Marek, z klasztoru Karmelitów w mieście Berdyczowie na Podolu. On to wzruszony niedolą swojego narodu, patrzał na gwałty Moskali i porywanie Biskupów, przemówił z wiarą do ludu, który się zebrał koło niego, i przyrzekał wylać ostatnią kroplę krwi, za wiarę i wolność. Potém wziął krzyż w rękę, wyszedł z klasztoru i processyą obiegał wsie i miasta wołając: że wybiła ostatnia godzina! że jeżeli teraz wszyscy bez wyjątku nie powstaną na Moskala, to długie lata będą musieli pokutować

Tak tedy ksiądz Marek z licznemi gromadami uczciwego ludu, złączył się z konfederatami w Barze, i z rozwiniętemi chorągwiami, przy biciu dzwonów, z Przenajświętszym Sakramentem w ręku, wyszedł na ich czele, aby uderzyć na Moskali.

Wtenczas, gdyby wszyscy tak byli wierzyli w dobrą sprawę narodu i pomoc Boską, Moskal zostałby wygnany za ostatnią granicę, ale że nie było takich, coby lud wierny tak byli powołali do broni, jak ksiądz Marek, więc Moskal wziął górę nad nami; i zaraz ci trzéj rabusie: Moskal, Austryak i Prusak z kraju naszego po kawale urwali. Król polski był tchórz i leniwy do obrony kraju, następował na konfederatów, bo się chciał przychlebić cesarzowéj, i przez niego najwięcéj Polska upadła.

Ale muszę wam jeszcze o tym księdzu Marku powiedzieć. Konfederaci obwarowali się w mieście Barze, ale jak Moskal począł szturmować, żołnierze polscy poszli w rozsypkę, bo miasto nie było mocne. Ale ksiądz Marek nie ustąpił. Mało miał ludzi koło siebie, wszelako wszystkich zachęcał do obrony i odpierał jak mógł Moskali; aż nareszcie nieprzyjaciel wpadł na mury i księdza Marka wziął w niewolę. Jenerał moskiewski kazał go żołnierzom swoim zamordować, ale ci słysząc, że to człowiek świętobliwy, zamiast go zabić, upadli przed nim na kolana i prosili, aby ich błogosławił.

Jenerał rozzłościł się, że go żołnierze nie usłuchali i kazał księdza Marka zamknąć w więzieniu, ale żołnierze moskiewscy ciągle byli niespokojni i

powtarzali: że wszyscy wyginą za dręczenie świętobliwego męża. Nie było więc inszego sposobu, jak wypuścić go pokryjomu na wolność.

Co to jednak, moje dzieci, może nieskazitelna cnota i poświęcenie się za kraj, kiedy sami nieprzyjaciele nie śmieją targnąć się na nie.

Wszystko to, co wam o Konfederacyi i księdzu Marku powiadam, działo się najpierwéj na Podolu, a stamtąd dopiero szerzyła się Konfederacya na resztę Polski.

Już to prawda, rzecze ksiądz proboszcz, że każda część rozszarpanéj Polski poczynała walkę z ciemiężcami, ale na nieszczęście do tego czasu ani raz jeszcze tak nie było, żeby wszystkie części od razu powstały, a przynajmniéj jedna po drugiéj w te tropy. Tego nam trzeba koniecznie; wtedy już nam gnębiciele rady nie dadzą; zewsząd będą uciekać albo legną trupem.

—

Gdy to ksiądz proboszcz wymówił, zbliżył się właśnie do niego Grobelny i oddał mu w ręce książkę z obrazkami. Gdy ją ksiądz proboszcz odbierał, wypadł z niéj jakiś papier drukowany, a ksiądz podnosząc go nagle zawołał: Boże kochany! Przyniosłem tu był umyślnie gazetę, aby wam przeczytać, co tam teraz piszą o Galicyi, — i zapomniałem całkiem o tém. Bo to jakoś była o wszystkiém rozmowa, a o Galicyi ledwie dwa słowa. Wyście Grzegorzu pewnie naumyślnie nie

powiadali o Galicyi, w któréj się przed rokiem tyle złego nabroiło; aby serc naszych tém przypomnieniem nierozdzierać. Ale stało się, i trzeba dotknąć téj okrutnéj rany, aby oto tu młódź siedząca strzegła się wszelkich podszeptów szatańskich, czy tam Pruskich, Austryackich i Moskiewskich, co na jedno wychodzi.

I wszyscy obrócili oczy na Grzegorza a staruszek spuścił głowę na piersi, i milczał przez chwilę. Potém podniósł ją, a oblicze jego było bardzo smutne i czoło jego było poradlone zmarszczkami większemi niż zawsze, i wszyscy widzieli, że jego serce wielka boleść dotknęła. — Potém spojrzał na wszystkich, a gdy zobaczył, że wszyscy posmutnieli wyrzekł takie słowa:

Moi mili! Z wielkiéj żałości nie mogłem wam mówić o morderstwach i zabójstwach, co je przed rokiem popełniono w Galicyi. Bo kiedy człowiek tylko pomyśli o nich, to tak się dzieje w sercu, jakby je kto nożem krajał, jakby w niém szydłami wiercił. — Możecie więc rozumieć, dla czego wam dotąd o tém nic nie opowiadałem. — Człowiekowi lekko i słodko na sercu, kiedy coś dobrego o braciach swoich powiedzieć może. Ale serce pęka z żałości, kiedy ma powiadać coś sromotnego o tych, którzy są braćmi naszymi, którzy tym samym mówią językiem, i tą samą świętą wiarę mają. Pan Bóg przykazuje kochać ich, a oni tak sobie postąpili, że człowiek powinien prawie plwać na nich i wstydzić się, że to Polacy popełnili takie złoczyństwa.

Aleć dziś wam już będę rozpowiadał o Galicyi, jednak Bóg widzi, że i wam gorzko będzie w duszy. — Wszelako przedewszystkiém obiecał nam ksiądz proboszcz przeczytać coś nowego ze świata, więc prosimy.

Wszyscy spojrzeli na księdza plebana, a on tak mówił zwracając się do Grzegorza: Nie smućcie się tak Grzegorzu! Właśnie dla tego, ażeby was pocieszyć, chciałem wam przeczytać, co w téj oto Gazecie stoi. Grzegorz podniosł ciekawie głowę na te słowa i wlepił oczy w księdza proboszcza; — on zaś rozwinął pismo i zaczął czytać jak następuje:

» Rząd cesarsko-austryacki oszukał chłopów » w Galicyi: dawał im pieniądze, stawiał beczki » z wódką, aby się upili i w tém pijaństwie pa- » nów zabijali. — Czynił to rząd austryacki dla » tego, iż się obawiał, aby panowie połączeni » z chłopami nie zrzucili jarzma z karku; więc » chłopów wszelkiemi sposobami buntował na pa- » nów. Stała się rzeź okropna. Lecz teraz upa- » miętali się; Pan Bóg oświecił ich rozum i poznali, » że rząd ich podstępnie oszukał, i przez to naka- » zane mordowanie do utraty szczęśliwości wie- » cznéj doprowadził. Żałują teraz chłopi swego » krwawego uczynku i są bardzo rozjątrzeni na » rząd cesarski, bo widzą, że po wymordowaniu » panów rząd nie dotrzymał obietnic, które im ro- » bił, że im sam wsiadł na karki, napędza woj- « skiem do pańszczyzny i wiesza na szubienicach » tych chłopów, którzy się gwałtem dopominają » wolności. »

Gdy ksiądz proboszcz skończył czytać, twarz starego Grzegorza się rozjaśniła i widać w niej było wielką radość. Potém złożył ręce jak do modlitwy i mówił z pokorą: Dzięki Ci, Wiekuisty Boże! żeś nie dał długo zostawać w ciemności ludziom, których szatan w postaci Niemców podżegał do obrazy Twego świętego imienia. Mocno opętał on ich rozumy i oślepił ich oczy, tak że okropne złoczyństwa popełnili. — Ale większa Twoja potęga o Panie! Nie pozwoliłeś duszom prostym iść na wieczne zatracenie. Niech będzie imie Twoje błogosławione!

Skończył Grzegorz tę krótką ale gorącą modlitwę, potém podziękował księdzu plebanowi za dobrą wiadomość, i począł mówić temi słowy: Teraz wam już będę opowiadał ze sercem lżejszém. Kiedy usłyszałem to, co ksiądz Jegomość teraz oto przeczytał, zdaje mi się jak gdyby mi ciężki kamień spadł ze serca. Wiele, wiele złego tam nabroili nasi. Aleć da Bóg, to wszystko może się naprawi w krótkim czasie, bo to wiecie wszyscy, że najlepsza nauka dla człowieka, jeżeli coś złego zbroi, a potém uzna, że to było źle i żałuje za grzechy. Potém już się okropnie strzeże, ażeby się niedopuścić tego samego złego. A zawsze mówiłem wam, że lud polski jest w gruncie dobry; ma litościwą duszę i bogobojny, a'e taki jeszcze ciemny, że byle jaki szelma Moskal, albo urwisz Niemiec oszuka go, i wywiedzie w pole.

I ta to ciemnota, to słuchanie urzędników Moskali albo Niemców, robi bardzo często z człowieka

uczciwego, najskaradniejszego nieczciwiarę. — Jeżeli wam opowiadam i opowiadać będę, to ku waszéj przestrodze, abyście nigdy w życiu nie wierzyli, co wam powie Moskal albo Niemiec, i szelma jaki urzędnik królewski albo cesarski, i abyście się mocno mieli na baczności. — Szczególnie Niemiec, to prawdziwy djabeł. Bo on, jak zacznie człowiekowi gadać i dowodzić, to się zdaje, że bardzo mądrze i tak dobrze, żeby rodzony brat nie mógł lepiéj poradzić. Ale późniéj pokazuje się zawsze, że okropne licho lezie na człowieka, jeżeli tak zrobił, jak mu Niemiec poradził.

Na te słowa Grzegorza ksiądz proboszcz potrząsnął głową i tak powiedział: Święta to prawda we wszystkiém, coście mówili. Uważajcie tylko na Niemca, kiedy wam coś mówi; dopóki gada, to się wydaje jak wasz najszczerszy przyjaciel od serca. Ale gdy się już nagada i wy mu przywtórzycie, wtedy się obróci do drugiego Niemca, albo i sam, tak żeby nikt nie postrzegł, zaśmieje się po cichu jak djabeł na kępie, gdy pobożnego człowieka poprowadził na trzęsawiska.

Gdy ksiądz pleban przestał mówić, począł stary Grzegorz tak o téj Galicyi:



XXI.

Słyszeliście już o królu polskim, co go to nazwano dla jego waleczności Bolesławem Chrobrym! Będzie to blisko dziewięć set lat temu, jak on panował w Polsce. Za jego czasów należała do Polski kraina, która się nazywała Ruś Czerwona. Jest to ten sam kraj, co go dziś zowiemy Galicyą. Od Bolesława Chrobrego po wszystkie wieki, była ta ziemia częścią Polski. A ładna to i urodzajna ziemia, kłosy pszeniczne jakby jagód pełne zwieszają się na zagony.

Lud tam zawsze był dobry, pracowity, uczynny a chwacki nadewszystko, bo sobie nigdy nie dał pluć w kaszę nikomu.

Gdy trzéj pognębiciele nasi rozłakomili się na naszą Polskę i rozszarpali ją na trzy części, jak wam już wiele razy mówiłem, — wtedy Austryak wziął Galicyę. I na téj ziemi, gdzie po wszystkie czasy tylko polską mowę słyszano, pojawiło się

Niemców tysiącami i począł się obijać o polskie uszy szwargot niemiecki.

Chłopi sierdzili się bardzo, gdy coraz więcéj Niemców pomiędzy nimi się włóczyło, i tu i owdzie szpikowali im tęgo grzbiety; a choć nic więcéj, to się z nich wyśmiewano, bo to po polsku nie umiało, trwożliwe, kurczyło się, gdy na niego spojrzeć ostro. Istnie niestworzenie Boże, jeno coś podobne do człowieka, ale bojaźliwe i słabe jak zając. A jeżeli wtenczas jeden Polak do drugiego powiedział: Tyś Niemiec! to była okropna uraza.

I cóż było robić z takiém stworzeniem, jeno się śmiać z niego, że to było takie głupie. Ale nie byli oni tacy głupi, jak się wtenczas zdawało. Oto nieraz pewnie każdy z was napotkał w lesie węża, albo podobną gadzinę. Jak taka gadzina postrzeże człowieka, to się przyczai, a chociaż kto uderzy kijem, to udaje, jakby było nieżywe. Dopiero gdy upatrzy porę, gdzie człowiek nie ma się na baczności, rzuca się na niego z nienacka i kąsa. I ta gadzina zdaje się być najprzód słaba i bojaźliwa, a wszelako gdy nagle ugryzie, to człek często od téj trucizny musi umierać, chociaż jest daleko mocniejszy. Widzicie, że całą takiéj gadziny siłą jest w tém, że ma podstęp i jest fałszywa.

Tak też zupełnie robili Niemcy wszędzie, szczególniéj w Galicyi. Gdy nam ukradli po zbójecku kawał kraju, myśleli oni sobie tak: Gdybyśmy zaraz z początku chcieli gnębić i ciemiężyć tych Polaków, to oni są daleko mocniejsi, niż my. A że ich jest bardzo wielu, to jakby się wszyscy wzięli

i na nas uderzyli, toby nas w jednym dniu wytępili jak muchy. Niebezpieczna to sprawa z tymi Polakami. A więc trzeba na nich nastawić takie sidła, żeby się na nich nie poznali, i napędzać ich tak powoli, powoli, aż sami w nie wpadną. A chociaż się potém poznają, żeśmy im sidła nastawili, to może będzie dla nich już za późno. Bo to ten lud polski jest bardzo mocny, i taki mężny, i zuch, żeby przed jednym polskim chłopem dziesięciu naszych uciekać musiało. Ale jest on taki ciemny, że go z łatwością będziemy mogli oszukać i w pole wywieść, jeżeli tylko ostrożnie z nim postępować będziemy.

Tak tedy mówili sobie Niemcy, bo mieli okropny strach, a to jak każdy złodziej, co się ogląda na wszystkie strony, i myśli że go ktoś lada godzinę za kołnierz pochwyci. Cóż więc Niemcy robią? — Oto wzięli się na sztuczne sposoby. Z początku udawali że są łagodni i dobrzy, jakby Baranki Boże; obchodzili się z ludem polskim grzecznie, jak to Niemiec umie, udawali ludzi poczciwych i mówili, że są przyjaciołmi Polaków.

Gdy tedy tak stały rzeczy, panowie i chłopi nie czuli bardzo tego z razu, że nad nimi Niemcy panują; podatki tylko małe płacili i potérali Niemców, jak im się podobało, a Niemcy to wszystko cierpliwie znosili. Lud w Galicyi nie wiedział, dla czego to Niemcy tacy byli potulni i łagodni; nie wiedział, że oni to czynili z wielkiego strachu i podstępu. — I myślano sobie w Galicyi tak: jeżeli to plugastwo, którego nam nalazło jak pająków

w kaszę, jest takie ciche i potulne, toć to łatwo będzie wypędzić, gdy się sposobność nadarzy.

Tak tedy myśleli sobie Polacy o Niemcach, i nie uważali bardzo na nich. A Niemcy śmiali się z nich pokryjomu i mówili sobie: Dobrze, że Polacy tacy głupi; niedługo my im pokażemy, że jesteśmy ich panami. Teraz oni nad nami wymyślają, ale później służyć nam muszą, jak bydło nierozumne.

Tfy! zawołał na to Butny i splunął na bok, jakże to głupio! Toć jeżeli pająk chce leźć w kaszę, to go przecie trzeba zaraz wyrzuzić, ażeby nie splugawił strawy ludzkiéj. Tak też trzeba było z Niemcami postąpić i nie pozwolić im się zagnieżdżać pomiędzy Polakami.

Masz prawdę, rzecze mu na to Grzegorz. Gdyby tak byli zrobili, niebyłoby się tyle złego stało. Ale jak wam już wiele razy mówiłem, że lud polski mógłby zrobić wszystko i zgnieść Niemców na miazgę, gdyby nie był ciemny i słuchał polskiéj a nie niemieckiéj rady. Ale lud nasz niby uważa, co mu albo ksiądz, albo inszy jaki rozumny Polak mówi, a kiedy mu Niemiec zacznie inaczéj tłumaczyć i na złe tłumaczyć, to woli słuchać Niemca niż swego.

Potém tak daléj opowiadał Grzegorz. Gdy Niemcy tak grzecznie obchodzili się z Polakami w Galicyi i potajemnie im sidła stawiali, w tym samym czasie Moskale daleko okropniéj męczyli tę część kraju, którą zagarnęli. Polacy pod Moskalem nie mogli dłużej wytrzymać ucisku i podnieśli broń przeciwko nim. Zaczęli bić i wypędzać Moskali.

Było to wtenczas, gdy nasz kochany Kościuszko był dowódzcą i naczelnikiem, — kiedy nasze Krakusy pomiędzy któremi i ja byłem, tak gracko łby moskiewskie jak pokrzywy ścinali.

Gdy w Polsce Moskale uciekali przed Kościuszką, wtedy też chłopi w Galicyi zaczęli się ruszać. A że to był lud chwacki, więc dalej się zbierać i szykować kosy. Byliby pewnie u siebie na Niemców wpadli, ale myśleli sobie, że jak zmogą Polacy Moskali, to takich tchórzów jak Niemcy z łatwością się potém upora.

Nowak chłop z Galicyi prowadził kilka tysięcy chłopów do Kościuszki. Było to właśnie po bitwie Racławickiéj, gdzie nasze kosy tyle dokazywały, że Moskalom się zdawało, jakby Ś. Michał zstąpił z nieba i na karkach im siedział. Po téj bitwie Kościuszko właśnie dziękował Panu Bogu za zwycięztwo; a tu taka chmara chłopów nadchodzi. Kościuszko się zdziwił najprzód, a gdy się dowiedział że przyszli do niego, ażeby razem z nim bić nieprzyjaciół, aż płakał z radości i przyciskał ich do piersi, jak własnych braci.

Oni też przyrzekli mu, że będą bili Moskala jak Bóg przykazał, i dotrzymywali wiernie słowa. Kościuszko też za to nakazał wolność dla wszystkich, i byłaby już od tego czasu w Polsce ziemia na własność i równość między wszystkimi Polakami, gdyby się rewolucya była udała. Ale jak tylko nas zgnietli, to zaraz Austryak, Prusak, i Moskal, zagłuszyli te prawa o wolności. Aż dopiero het kiedyś Prusakowi się te prawa przypo-

mniały i jakby coś nowego i z łaski swojéj dawał ziemię chłopom, co już Polacy sami za swego rządu poczęli robić.

W téj wojnie za Kościuszki tak jak zawsze prawie, tylko połowa narodu się porwała i nie wszędzie, więc choć i Krakusy i Galicyanie najszczerzéj i najochotniéj wszędy siekli nieprzyjaciela, jednak upadli, a Kościuszkę, co z całego serca kochał Lud Polski, wzięto pod Maciejowicami do niewoli rannego.

Galicyanie, których Kościuszko porówno z Krakusami zwał zawsze swemi najmilszemi dziećmi, powrócili smutnie i z żałobą do domów; siedzieli cicho i czekali lepszéj pory. Lecz Niemcy widząc, że lud pospuszczał głowy, i że w sercu jego zarył się żal głęboki, pomyśleli, że to teraz nadszedł czas dogodny, gdzieby bardziéj wystąpić mogli. Mówił sobie rząd niemiecki, teraz oni znękani nieszczęściem i osłabieni przez długą wojaczkę, więc możemy ich śmieléj napędzać w nasze sidła. Zaczęli zaraz nakładać okropne podatki, brali w rekruty, przymuszali służyć 15 lat w wojsku, słowem zaczęli coraz bardziéj uciemiężać biedny Lud, że aż płakać trzeba było widząc niedolę jego.

Chłopi z panami podnieśli się w kilku miejscach przeciwko Niemcom, i pozabijali mnogo tego plugastwa. Ale cóż z tego? Oto nie podnieśli się wszyscy razem, tylko tu i ówdzie, a Niemcy sprowadzili swoje wojsko w kupę; więc chociaż to chłop w chłopa bił się jak lew, wszelako że ich tylko mało wiele powstało, nie mogli Niemcom dać rady.

Od tego czasu coraz gorzéj było w Galicyi. Rząd cesarski srogo nad wszystkimi dokazywał, a Lud uciemiężony, który przedtém był wesoły, rześki i krzepki, stał się teraz ponury i smutny.

Kiedy w wiele lat po Kościuszce, bo pewnie w trzydzieści sześć, w Warszawie wybuchnęła rewolucya, trzeba było i w Galicyi powstać, i albo uderzyć na Niemców, albo całą massą złączyć się z Warszawą. Ale miasto tego Galicya czekała, pókiby wojsko z Warszawy nie przyszło do nich i nie zaczęło w ich kraju wojny. Takie czekanie na nic się nie zda; bo kiedy tu się podniosą a tam siedzą cicho, to nieprzyjaciele nasi tylko z połową Polski toczą wojnę i dla tego dotychczas wygrywali.

Wszyscy razem i wszędy powstać muszą! Wtedy się pokaże, czego Polacy dokazać mogą!

Teraz przed niedawnym czasem rząd w Galicyi znowu się lękać zaczął, bo myślał, że kiedy w Królestwie Polacy za rewolucyi tak okropnie siekli Moskali, więc i na rząd austryacki mogłoby teraz to samo licho przyjść w Galicyi.

Mówili więc do siebie Niemcy: Trzeba koniecznie jakoś począć, aby tę Galicyę przygnieść na dobre. Ale jakże to zrobić? Gdybyśmy gwałtem lud ubożyli i wydzierali ostatnią chudobę, toby się lud szybko zniecierpliwił, a ma ostre kosy i umie niemi mocniéj machać niż my naszemi pałaszami. Jakże to więc począć? — Nareszcie tak sobie powiedział rząd cesarski:

Z chłopami polskiemi to sobie już damy radę, bo to nierozumne i ciemne, z łatwością więc oczy

im zamydlimy; ale z panami trudniejsza sprawa, bo oni uczyli się w szkołach, mają więcéj rozumu, nareszcie jak zaczną lud prosty podburzać i buntować, to źle na tém wyjdziemy.

Tak tedy w tym kłopocie i strachu wielkim radzili pomiędzy sobą Niemcy, i nie mogli nic uradzić; bo to złośliwe jakby jaszczur, ale przytém takie strachliwe, że jak przyjdzie gwałt, toby i głowy zapomnieli. Nie mogąc tedy nic uradzić, przypomnieli sobie, że w ich stołeczném mieście, co się Wiedeń nazywa, mieszka bardzo mądry Niemiec, którego oni mają za najmądrzejszego z wszystkich Niemców i do którego się w wielkich kłopotach po radę udają. Jest on już bardzo stary i na twarzy-brzydki jak djabeł, co go Ś. Michał strąca do piekła; dla tego nazywają go starym Lucyperem. Ten mądry Niemiec nazywa się Metternich, a wszyscy Niemcy boją go się okropnie i słuchają wszystkiego, co powie.

Do tego Metternicha poszli Niemcy po radę. A gdy mu powiedzieli, na co się z czasem w Galicyi i w całéj Polsce zanosi, natenczas Metternich zaczął się śmiać tak złośliwie, jak djabeł, co się dowie, że będzie mógł wiele złego nabroić. Śmiał się tak okropnie, że sami Niemcy zadrżeli i pobledli ze strachu. Potém do nich rzekł:

A to przeklęte plemię ci Polacy!

My dopóty nie będziemy pewni, że Galicya do nas wcale należy, dopóki Polaków nie wytępimy. Lud jest głupi, to sobie z nim damy radę i w kilkadziesiąt lat przekujemy na Niemców, a co

mędrsze między nim, weźniemy na zawsze w rekruty. Ale z panami insza rzecz! Ci się na Niemców przerobić nie dadzą, a dopóki żyć będą, to się będą ze swymi ludźmi na nas buntowali. Oto zróbcie z nimi tak: Pozapraszajcie ich do miasteczek, niby na jaką naradę gospodarską albo inszą, i pozaprawiajcie strawy przy obiedzie trucizną.

Oni to będą jedli i potrują się w krótkim czasie jak szczury. Wtedy już o nic nie będzie strachu, bo zaś chłopi sami bez panów nic nam zrobić nie potrafią.

Tak mówił ów stary Niemiec Metternich jakby mu sam Lucyper kładł w ucho, i zaczął się śmiać złośliwie. Niemcy, co go słuchali, choć to jeden w drugiego łotr warcien szubienicy, wzdrygnęli się jednak na taką radę, i mówili żeby taka rzecz już znowu była za nadto okropną. Prosili o inszą radę. On namyślał się, aż nakoniec zaiskrzyły mu się oczy jak ślepie kota, i zawołał: Wiem inszą radę. Słuchajcie! Nieprawdaż, że szlachty jest nie wiele i że ona na swoją rękę bez chłopów nic nam nie zrobi? — Nie zrobi! — odpowiedzieli. On znowu daléj: Teraz znowu, chłopi choć ich jest wiele, czy oni potrafią na swoją rękę bez pomocy panów, bez takich, coby im radę podali, sami podnieść się przeciwko nam? — Nie potrafią! — odpowiedzieli. On mówił daléj: Ale kiedy się i panowie i chłopi i mieszczanie połączą, wtedy nam dać mogą po grzbiecie. Nieprawdaż? — O! to prawda, to nieszczęście! odpowiedzieli i westchnęli.

Więc uważajcie! mówił znowu Metternich.

Wszelkiemi siłami starać się musicie, aby kłaść nieprzyjaźń między chłopami a panami; musicie zawsze powiadać chłopom, że gdyby tych panów nie było, toby oni wszystko mieli; musicie ich podmawiać a nawet obiecywać pieniądze i grunta, aby tylko pobuntowali się na panów.

Te słowa prawił do Niemców z Galicyi, stary zbrodniarz z djabelską duszą,ów Metternich. Niemcom podobała się ta rada. Zaraz tedy zaczęli gadać ludowi prostemu, że rząd chętnieby im dał wolność, ale panowie się temu sprzeciwiają; że nie rząd z nich zdziera, ale panowie, i tak wciąż gadali Niemcy do Ludu.

Prawda to, dzieci moje! że niejeden z panów źle się bardzo z swoimi ludźmi obchodził, że nie żył z nimi po chrześciańsku, że Lud musiał od niejednego wiele ucierpieć i krwawo się napracować bez pożytku, — więc na niejednego pana mógł mieć Lud słuszną i sprawiedliwą urazę,—ale wszelako gdyby było przyszło do prawdziwéj rewolucyi, toby i tacy panowie byli oddali Ludowi to, co Rząd polski w Krakowie nakazał. A za przeszłe uciski i złe obchodzenie się z ludźmi, wszyscyby byli po skończonéj wojnie surowo od Rządu polskiego ukarani.—Ale teraz przed rewolucyą, buntować jednych Polaków na drugich, chłopów na panów, aby ich tylko rozdwoić między sobą i jednych podać na rzeź drugim, to tylko uczynić mogły takie szatańskie dusze, jak te Niemcy. Czyż to na ten przykład nie jest szelmostwo, jak Niemcy powiadali chłopom galicyjskim o podatkach? —

Wiadomo jest, że rząd cesarski nałożył okropne, okropne podatki na Lud w Galicyi; ale, żeby Lud ogłupić, nakazał dziedzicom wybierać od Ludu podatki i do rządu przesyłać pieniądze. A potém niemieccy urzędnicy rozpowiadali chłopom, że to nie rząd ciągnie podatki, ale dziedzice, bo przecież dziedzicom oddawają w ręce, a nie rządowi! Czyż to nie jest oszukaństwo i łotrostwo? Lud naturalnie ciemny wierzył coraz bardziéj słowom Niemców i myślał na prawdę, że kiedy panowie odbierają podatki, to je też dla siebie zatrzymują, a Lud musi biedę cierpieć. Przez to coraz bardziéj Lud szemrał na panów i zaczął się odgrażać. Trudno było poczciwym Polakom, co mieli rozum i światło pouczyć Lud, że to wszystko, co urzędnicy gadają, jest fałsz i podstęp. Bo nasz uczciwy Polak musi się zawsze taić ze słowem, a urzędnicy ciemiężycieli rozgadują swoje rzeczy wszędy i głośno, a nikt im tego nie może zakazać.

Lud w Galicyi coraz bardziéj, coraz bardziéj tracił głowę i słuchał Niemców, a Niemcy śmiali się po cichu i radowali w swojéj djabelskiéj duszy, że to nasz kraj tak się rozdwaja, że Polacy jedni zawzięci na drugich Polaków, że w ten sposób wszystkich Niemcy zniszczą i wytępią.



XXII.

Przez długi czas oszukiwali Niemcy i podszeptywali tak haniebnie ludowi prostemu w Galicyi. — Nareszcie panowie nie mogli już dłużéj wytrzymać tego ucisku i niedoli Narodu polskiego.

Na początku zaprzeszłego roku, zmówili się więc panowie, rzemieślnicy, wielu księży, nauczycieli, mandataryuszów, ekonomów i niektórzy z mądrzejszych chłopów i tak sobie radzili :

« Wszystkich nas rządy zdzierają i ciemiężą, ale największa bieda ludowi wiejskiemu, bo on jest pracowity i pobożny, a do niczego przyjść nie może. Musimy się koniecznie wziąść do czego i zapobiedz temu złemu.

« Połączmy się wszyscy jako bracia jednéj Matki, podajmy sobie braterskie ręce, uwolnijmy zaraz jak się ruszymy, wszystek Lud od poddaństwa, od zaciągów, od czynszów, i dajmy każdemu grunt na własność. »

Tak mówili pomiędzy sobą ci, co się sprzysięgli na wygnanie nieprzyjacioł z Polski, i uradzili nakoniec, ażeby już dłużéj nie czekać, tylko powstać porówno z wszystkimi Polakami, i szlachtą i nieszlachtą, i chłopem i nie chłopem, i mieszczaninem i księdzem, i co tylko żyje na polskiéj ziemi, a ma polskie serce.

Kiedy już nadeszła ta godzina, że się mieli wszyscy uzbroić i iść na nieprzyjaciela, zwołało wielu panów swoich ludzi ze wsi i opowiadali im, że tak i tak ma być. Wiele prostych ludzi cieszyli się z téj wojny, w któréj mieli niemiłosiernie kropić i wyganiać ciemiężycieli Narodu, i przyrzekli, że pójdą z ochotą bić Niemców.

Ale było w Galicyi wielu takich, co byli uwierzyli już dawniéj kreishauptmanom i starostom, że szlachta tylko na to chce rewolucyi, aby chłopów potém bardziéj biedzić i napędzać do roboty, albo pozabijać. Takiemu to szaleństwu, uwierzyło wielu chłopów galicyjskich. Wtedy więc, kiedy panowie przemówili do nich, aby szli na Niemców, z drugiéj strony Niemcy wołali obłudnie na nich, aby rżnęli panów. A że diabeł był przy niemieckiéj stronie, a chłopi niecałkiem z miłości ku Bogu i Polsce, chcieli jéj bronić, ale się namyślali, więc Bóg na ich grzeszne dusze dopuścił pokusy, i szatan przemógł. Pobrali broń, którą im panowie porozdzielali, i z tą bronią zaraz napadli jak rabusie jacy na swoich Polaków. Niemcy też od razu przysłali swojego żołnierstwa poprzebieranego za chłopów, aby chłopów wciąż zachęcali do mordów, i poka-

zywali jak się to własnych zabija. Przytém zaraz starostowie ogłosili, że chłopu każdemu zapłacą za zabicie pana, byle jeno okazał że doprawdy go zamordował.

Najgorszy ze wszystkich był starosta z Bochni, co się zwie Berndt. On to dał chłopom na dowódzcę wielkiego złoczyńcę i rabuśnika Szelę, który za swoje występki od wielu lat już był karany.

Lud ociemniony znać od samego Lucypera, latał za Szelą i ręce swoje wszędy maczał w krwi polskiéj; mordował mężów, żony, dzieci nawet niektóre. Było to, jakby skończenie świata; — takie okropności się działy.

A starostowie jeszcze bardziéj Lud podburzali; — dawali im beczkami wódki, aby przez to wybić im ze serca zgryzoty sumienia. Za każdego zabitego pana obiecali Niemcy zapłacić mordercom. Starosta z Bochni płacił też za głowy pomordowanéj szlachty, boć przecież wiem, że jeden komornik Marcin odbierał od niego pieniądze i miał je tym drugim chłopom, co też mordowali, porozdawać.

Przez kilka dni, tak wymordowano panów i wszystkich co we dworze byli, że w trzech powiatach pozostali sami chłopi i Niemcy.

Gdy się ten postępek haniebny już stał, poszli chłopi do Niemców i wołali, aby im dać wolność i grunta po panach, które im Niemcy przed zabijaniem obiecali.

Ale Niemcom ani w głowie nie postało, nadawać własność chłopom. I jak teraz już strach mi-

nął, Niemcy zbywali chłopów byle czém, i nie chcieli wcale ani słyszeć o nadaniu własności.

Teraz jak się Niemcom dogodziło, że chłopi pozabijali panów, co chcieli zrobić powstanie, to Niemcy zaprowadzili sądy doraźne. Niechby się jeno chłop opierał i wołał gwałtem o wolność i żądał tego, co mu przed zabijaniem rząd obiecał, to go złapią i powieszą, albo rozstrzelają.

Dla tego też to z pewnością prawda, co ksiądz dobrodziéj nam z gazety przeczytał, że Lud się zmiarkował na tém oszukaństwie i byle jeno wszyscy się w Polsce porozumieli, toby pewnie Niemcom doskonale odpłacili za taki podstęp i szelmostwo, jakiego się rząd austryacki na galicyjskich chłopach dopuścił.

—

Tak Grzegorz kończył swoje opowiadanie o Galicyi, a wszyscy go z żalem, i z wielką uwagą słuchali, i dobrze brali na rozum, jakich to sztuk Niemcy się chwytają, aby nas przygnębić, aby jednych przez drugich zgładzić. Wszystkim słuchającym krew wrzała w żyłach i we wszystkich sercach zapaliła się gorąca chęć zemszczenia się na naszych ciemiężycielach.

Burzą się serca wasze, moje dzieci kochane, na te zbrodnie nieprzyjacioł Ojczyzny naszéj, rzekł po chwili ksiądz proboszcz, a jednakże coście słyszeli to zaledwo tysiączna cząstka tych ich strasznych prześladowań nad nami. Spojrzyjcie jeno na ten obrazek.



Teofil Wiśniowski.

Wszyscy wnet otoczyli kołem księdza proboszcza, a gdy on kilka kart dalej przełożywszy w książce: — Oto ten właśnie, rzekł. Balbisia załamując ręce, krzyknęła: Święty Boże! A to dy przykuty za nogi i za ręce do ściany, jako Pan nasz Jezus Chrystus do krzyża! Tak jest, rzecze na to ksiądz proboszcz, otarłszy łzy z oczu, które mu się strumieniem były z nich puściły. Cierpiał jak Pan nasz Jezus Chrystus, i jak Pan nasz Jezus Chrystus na drzewie krzyża świętego umęczony przez Żydów, tak on na drzewie szubienicy, umęczony przez Austryaków, skończył życie w miłości Boga i braci. To Teofil Wiśniowski! Znałem go osobiście, i gorąco za to Panu Bogu dziękuję, bo ile razy wspomnę sobie Wiśniowskiego, tyle razy serce moje pociesza się nadzieją, że kochana Ojczyzna nasza Polska przepaść nie może, kiedy takich wydaje synów. Bo żebyście wiedzieli, jakich to trudów, ten nad wszelkie wypowiedzenie poczciwy człowiek, nie podjął dla Ojczyzny. Nie było poświęcenia, nie było ofiary, do którejby w każdej chwili nie był on gotów. To szedł do braci na wygnaniu, żeby się z nimi nad losem wyzwolenia Ojczyzny naradził; to znów wracał do kraju, walcząc z największemi niebezpieczeństwy, aby jak Konarski i Bogusławski, roznosił Boże słowo po całej ziemi polskiej, a szczególniej po Galicyi, z której był rodem, a w której i jednego nie ma dzisiaj zakątka, gdzieby o nim nie mówiono z uwielbieniem i błogosławieństwem. Nie będę wam wyliczał niezliczonych a zawsze Bogu miłych i pożytecznych

Ojczyznie prac jego, bobym dzisiaj nie skończył, powiem tylko o jednéj.

Kiedy to ostatnie powstanie padło w Krakowie, Wiśniowski ze swoimi powstał był przeciw Austryakom, w téj części Polski, po za Lwowem, którą Podolem Galicyjskiém zowią. Z początku poszło mu dobrze i pod Narajowem pobił Austryaków, ale kiedy i tam, jako i tu, ciemny lud nie pojął że o jego rzecz idzie, Wiśniowski opuszczony, wpadł w ręce Austryaków. Już od dawna czychali oni na niego, bo przez szpiegów wiedzieli że był bardzo czynnym w przygotowaniu powstania, i powszechnie poważanym dla swéj wielkiéj poczciwości i poświęcenia. Był on już poprzednio w austryackich rękach, ale że nic mu dowieść ani się od niego dowiedzieć nie mogli, więc go namęczywszy i nabiwszy się bez litości, puścić musieli, — a Wiśniowski ledwie puszczony, znowu czynnie jak wprzódy około wyzwolenia Ojczyzny z jarzma wrogów począł pracować. Pojmanego ostatnią razą, trudno wypowiedzieć jak głodem, zimnem, chłostą i na wszelkie najokrutniejsze sposoby dręczyli, — aż nareszcie przykuli go do ściany za nogi i za ręce, jako tu na obrazku widzicie, i tak przykutego karmili znowu śledziami słonemi, nigdy kropli wody nie dając, by koniecznie zmusić go do wydania tajemnic, które mu powierzyła Ojczyzna. Ale Wiśniowski nic wyznać nie chciał. Wtedy sprowadzili do tak przykutego do ściany, żonę jego i krewnych, aby widokiem i płaczem ich zmiękczony, gadał Austryakom, co

chcieli. Lecz i to nie pomogło, bo Wiśniowski jak raz przysiągł przed Bogiem, przed Ojczyzną i braćmi że ani Boga ani Ojczyzny, ani braci nie zdradzi, tak też święcie przysięgi swéj aż do śmierci dotrzymał. Biedna żona, na widok takich mąk najcnotliwszego męża zwaryowała z wielkiéj boleści, i już do zdrowia nie wróciła więcéj, — i dotąd powiadają, po całych dniach i nocach męczy się w żałości i jęczy i płacze, a zawsze jéj się zdaje że widzi męża swego przykutego do każdéj ściany za nogi i za ręce, jak go w więzieniu widziała. Uważcież tedy dzieci moje kochane, jakich to ten podły rząd austryacki, dopuszcza się zbrodni nad nami. Nie dosyć mu było mąk i katowań męża, jeszcze żonę jego do więzienia sprowadził, żeby tak jéj serce zakrwawił i myśl jéj zatruł na zawsze. Tajemne wyroki są Boga, ale tę w sprawiedliwości a w miłosierdziu jego nadzieję mieć winniśmy, że nie puści płazem tych okropnych zbrodni nieprzyjaciołom Ojczyzny naszéj, i prędzéj pewnie, aniżeli się spodziewamy, pomści się na nich krzywd naszych. I Bóg dobrotliwy nie opuścił snać Wiśniowskiego i dał mu męstwo świętych męczenników za świętą wiarę naszą, kiedy takie męki ciała nie osłabiły ducha jego. Skazany na śmierć we Lwowie, i że od mąk strasznych tak miał nogi popuchłe, że niemi władać nie mógł, wieziony na plac stracenia, — Wiśniowski z krzyżem w ręku. jako poczciwy chrześcijanin patrzał do okoła pogodnie i spokojnie, jakby tém ostatniém jeszcze wejrzeniem, chciał nauczyć lud tłumnie na ulice

wysypany, jak cierpieć za Ojczyznę polską, i jak mężnie za nią umierać trzeba. Lud zroszone łzami kwiaty rzucał mu pod nogi, a on go żegnał od serca. Gdy już stanął na rusztowaniu, a tłum cały strasznie płakać i jęczyć począł, wtedy Wiśniowski silnym głosem zawołał: *Nie zrażajcie się śmiercią moją, ale w waszéj powinności względem Ojczyzny wytrwajcie!* A potém silniejszym jeszcze głosem, potrzykroć zawoławszy: *Boże błogosław Polskę!* — śmiercią na szubienicy, najcnotliwszego życia dokonał.

Na te słowa, westchnęli wszyscy żałośnie, kobiety głośno płakać poczęły, a Butny tak się rozjadowił tém opowiadaniem księdza proboszcza na Niemców, że cały poczerwieniał; żyły mu się na czole wyprężyły i siną krwią nabiegły. Nie mógł już dłużéj wytrzymać; rzucił się do nóg księdzu proboszczowi i prosił go prawie ze łzami, aby jak najprędzéj uszykować coś, żeby nowa rewolucya mogła nastąpić.

Ksiądz proboszcz bardzo się rozczulił i zawołał: Polsko! Ojczyzno droga! Kraju miły a nieszczęśliwy! Gdyby wszyscy twoi synowie równie gorącą chęć mieli, byłabyś Ojczyzno wolną! Bracia na Sybirze! Bracia na wygnaniu po całéj ziemi! wrócilibyście do nas, do rodzin waszych! Powitałaby was Ojczyzna z radością i święte wesele ogarnęłoby całą ziemię Polską!

Bracie kochany! mówił potém do Butnego. Bądź dobréj myśli. Polski Naród jest tak wielki i tyle ma tęgich ludzi, że choć teraz wielu zginęło, wielu po ciemnych więzieniach osadzono, jednak

dosyć jest jeszcze inszych ludzi, którzy nie zaśpią gruszek w popiele ale wszelkiemi siłami starać się będą o nowe powstanie. Zachowaj w twojém sercu ten święty zapał, który masz dla Polski i dla wolności, — dodawaj każdemu prostemu człowiekowi ducha, i oświecaj każdego, co go spotkasz, — aby był gotów na wszystko jak ty, a może się wnet uda na nowo rozpocząć bój z ciemiężcami.

Na te słowa, Butny rozpłakał się i poprzysięgał na wszystkie świętości, że jak sam jest każdéj godziny gotów do broni, tak każdego, co go tylko spotka, oświecać będzie o Polsce i dodawać serca.

Stary Grzegorz cieszył się bardzo, że takie śliczne chęci okazują się w sercach ludzi, co się do niego schodzą. Radował się w duszy, że kiedy teraz nadejdzie godzina nowego powstania, inaczéj już wszyscy będą myśleli o Polsce, niż zaprzeszłego roku, i szczerze się wezmą do broni. Nareszcie odezwał się temi słowy:

Uważam to, moje dzieci kochane! że moje słowa nie odbiły się od serc waszych, jak groch od ściany, ale żeście uznali na dobre i gorąco poczuli dzisiéjsze położenie Polaków, żeście poznali, jakich sposobów sromotnych nasi nieprzyjaciele używają, aby nas pognębić, jak się wciąż o to tylko starają, aby jednych Polaków pobuntować na drugich, i przez to do szczętu wszystkich zniszczyć. Pamiętajcie więc sobie dokładnie, że tak Niemcy jak Moskale zawsze tylko o naszéj szkodzie i naszém nieszczęściu myślą, chociaż udawają szczerych przyjaciół prostego ludu, choć obiecują grun-

ta, wolność i Bóg wie co. Zawsze oni tylko stawiają sidła i cieszą się z tego, jeżeli poczciwego człowieka omamić mogą i w głowie mu przewrócić. Strzeżcie się, strzeżcie się przez Rany Chrystusowe wszelkich podszeptów rządowych, któreby was odciągały od Polski; nie ufajcie takiemu słowu, takiemu człowiekowi, coby was na złą stronę prowadził, a trzymajcie się tego, com ja wam powiedział, i co wam ksiądz dobrodziéj tutaj mówił.

A jak nadejdzie ta godzina, w któréj się będzie miało rozpocząć powstanie, niech wszyscy jeden w drugiego w te tropy stawa i drugich do broni powoływa. Jak wszyscy od razu powstaną, to nie masz tak wielkiego wojska w żadnym kraju na świecie, któreby nam radę dało.

Wszyscy, co się przysłuchiwali słowom Grzegorza, postanowili sobie mocno w duszy, nigdy nie wierzyć w to, co im albo Moskal, albo Niemiec, albo jaki urzędnik rządowy powie, i skoro nadejdzie chwila szczęśliwa, iść i siec nieprzyjaciela bez litości.

Po niedługim czasie ozwał się Maciéj: Gdyby to tak można urządzić, żeby wszyscy od razu powstali, byłaby to święta rzecz, boby się już hurmem i wszędy uderzało na Moskala i tych drugich pognębicieli, ale mi się wszelako wydaje, że to prawie niepodobna naprzód się w tém zmówić całemu Narodowi. Pewnie trzeba będzie czekać, póki kto inszy nie rozpocznie.

O! nie wierz temu, Macieju! — rzecze ksiądz

proboszcz. Gdy wszyscy będą myśleli, że trzeba czekać zaczęcia od drugich, to się nigdy nie zacznie.

Każdy kto ma prawe serce i życzy sobie wolnéj Polski, powinien myśleć, że jemu samemu trzeba rozpocząć. Jak wszyscy tak będą myśleli, to się bój wnet rozpocznie i to na wszystkich miejscach, i każdy przygotuje się dobrze, bo się nie będzie na drugiego oglądał.

A zresztą na wszystko też jest sposób. Byle jeno ludzie chcieli, a nie spuszczali się wciąż na drugich, to wszystko sami zrobić potrafią.— Do urządzenia powstania każdy człowiek się zda, choć nie ma żadnéj nauki; potrzeba tylko uczciwego serca polskiego i prostego, zdrowego rozsądku, a dokaże się największych rzeczy.

Kiliński, jakeście już słyszeli, był sobie szewcem w Warszawie, żadnéj nie miał nauki, ale że serce miał prawe, więc jak się wziął do zmów, jak zaczął pokryjomu swoich dobrych znajomych zbierać i brać do przysięgi za Polskę,— tak sam na swoją rękę rozpoczął rewolucyę w Warszawie, z ludem warszawskim wygnał Moskala i złączył się z Kościuszką, co był w Krakowie zrobił powstanie. Kościuszko też za to zrobił szewca Kilińskiego pułkownikiem.

W ten sposób jak Kiliński zrobił, każdy uczciwy człowiek, czy on z miasta, czy ze wsi, też uczynić może.

O! co może, to może! — zawołał Dudziak. Ja tam tak dalece nie wiem, jak się to wszystko robi, bo mi żona długo była chora, więc nie mogłem tak

robić jak drudzy. Ale mój brat Janek, co tam jeszcze mieszka w Poznańskiém, ten o wszystkiém wie, jak się trzeba z drugimi zmawiać i sposobić do rewolucyi. On miał czas, więc się z wszelakimi ludźmi schodził i jeździł też aż pod Warszawę, ażeby i tamtejszych ludzi wyrozumieć. Mój brat na dobre się zmawiał, i był razem ze starszymi, co wszystkiém kierowali. Wiem to z tego, bo mi naprzód powiedział, że w cztery niedziele będzie rewolucya, i wtedy też doprawdy miała nastąpić.

A nie będzie tutaj kiedy twój brat Janek? zapytał ksiądz proboszcz.

Nie dawno, odpowiedział Dudziak, dał mi orędzie, że się tu do mnie wybiera, i powinien się też niedługo pojawić.

Jak przybędzie, rzecze ksiądz proboszcz, to mu wszyscy radzi będziemy, bo się od niego na dobre dowiemy, co się tam teraz w Poznańskiém dzieje. A wy się od niego możecie dokładnie wywiedzieć, jak się to trzeba zmawiać, żeby już raz rozpocząć i rozpocząć wszędzie a razem. Boć kiedy ten Janek już dawniéj przed temi wybuchami się zmawiał ze starszymi, to i was będzie mógł pouczyć. Ale zaczém Janek przybędzie, ja sam mogę wam powiedzieć, jak to trzeba robić, aby się należycie przysposobić do rewolucyi, ażeby na dany znak od razu wszędzie powstać i wydusić nieprzyjaciela.

XXIII.

Sami o tém wiecie, że nigdyby we wszystkich miejscach na raz nie mogła wybuchnąć rewolucya, jeżeli się dobrzy Polacy naprzód na to nie umówili.

To prawda! przerwie Maciéj. Bo jak nie będzie oznaczony i umówiony czas i godzina, toby jedni mogli powstać, a drudzyby o tém nic nie wiedzieli. A nimby się dowiedzieli, jużby może wojsko nieprzyjacielskie było w ruchu i na ostrożności. A tak zawsze najlepiéj, żeby znienacka na oznaczoną godzinę się zgruchnąć i wpaść niespodzianie.

Widzicie więc, moi mili, mówił daléj ksiądz proboszcz, że zmowa jest koniecznie potrzebna. Chodzi tylko o to, jak się Polacy powinni zmawiać, żeby taką zmowę jak najdaléj po całéj Polsce rozszerzyć. Każdy dobry Polak powinien sobie tak postąpić.

Oto na ten przykład każdy z was ma swoich do-

brych znajomych, krewnych, kumotrów i różnych między prostym ludem, między mieszczanami, organistami, służącymi i rozmaitym narodem. Więc jeżeli kto ma Boga w sercu, miłuje kraj i pragnie lepszéj Polski, niż jest dzisiaj, — to musi sobie zbierać ludzi i sposobić się z nimi do powstania. Każdy ma przecież swoich najlepszych przyjacioł, których zna od dawna że są uczciwi ludzie, że pragnęliby lepszéj Polski, i że się z niczém nie wypaplają przed ludźmi. Do takich to przyjacioł trzeba iść i na osobności ażeby ani żona ani dzieci nie podsłyszały, pomówić z nimi serdecznie, ażeby się podjęli sposobienia do rewolucyi. Jak jeden przystanie, idzie się do drugiego, do trzeciego. A skoro się kilkunastu albo i mniéj zbierze, to ich wszystkich trzeba w jakie skryte miejsce, w domu, na polu, albo w boru zgromadzić.

Wtedy wszyscy i każdy z osobna poprzysięgną sobie na krzyż Zbawiciela, że się każdy z nich starać będzie o zbieranie uczciwych ludzi, że się w tém nie zdradzą przed ludźmi rządowymi, ani też przed nikim, co o tém nie ma wiedzieć nie wypaplają.

Przysięgę tak powinni odprawić: Jeden z nich, ten który drugich ponamawiał i zgromadził, musi przynieść z sobą krzyż i gromnicę. Krzyż postawi na stole, albo jeżeli to jest w lesie lub w polu, na kamieniu; gromnicę zapali i w obec wszystkich taką najprzód odmówi modlitwę do Ducha Świętego:

Duchu, Święty Boże! Spojrzyj łaskawém okiem

na wierne Twoje dzieci! pokrzep i wesprzyj nas w przedsiewzięciu naszém! Racz nam dodać siły, ażebyśmy wiernie wykonali to wszystko, co sobie poprzysiężemy i raczéj śmiercią padali, niż w najmniejszéj części przysięgę, którą przed Bogiem Najwyższym wykonamy, złamać mieli. Ciebie Boże błagamy, Tobie się Duchu Święty w opiekę oddajemy. Amen.

Wszyscy przytomni jeszcze raz powtórzą: Amen!

Po wezwaniu Ducha Świętego na pomoc, wszyscy staną rzędem na około, i znowu ten, który ich sprowadził najprzód przyklęknie przed krucyfiksem, lewą rękę położy na piersi, prawą na krzyżu Zbawiciela i wykona taką przysięgę:

Ja — na ten przykład Mikołaj Grobelny — poprzysięgam w obliczu Boga Wszechmogącego i w przytomności waszéj, na krzyż i mękę Zbawiciela, że z całego serca i z całéj duszy pragnę przyszłéj szczęśliwéj Polski! Poprzysięgam, że zawsze i jak tylko będę mógł, będę pouczał drugich o Polsce i zbierał ludzi do przysięgi! Poprzysięgam, że jak będzie wyznaczony wybuch powstania, zaraz się stawię z przysposobioną kosą albo inszą bronią! Poprzysięgam nakoniec, iż przed nikim, ani przed rządem, ani przed żoną i inszymi nie zdradzę, ani przed nikim niepotrzebnym nie wygadam się z tém, na co tutaj przysięgam. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący i święta Jego Ewanielia. Amen.

Kiedy pierwszy tę przysięgę wykona, wszyscy po kolei ją potém wykonają.

Tak tedy wszyscy, którzy sobie razem poprzysięgli, idą do domu i każdy z nich udaje się do swoich własnych znajomych. Jak z nich zbierze kilkunastu, zgromadzi ich wszystkich razem znowu w jakie skryte miejsce, i on jako najstarszy, jako taki co ich zebrał, sam najprzód jeszcze raz przed tymi przysięga i wszyscy po nim przysięgają, pomodliwszy się pierwéj do Ducha świętego.

Na to tylko zawsze trzeba baczyć, ażeby do samych znajomych i dobrych ludzi się udawać. Bo jakby się kto do złego człowieka udał i namawiał go, toby go ten zły człowiek zaraz po pierwszych dwóch słowach mógł wydać przed kommissarzem, albo wójtem, albo kreishauptmanem.

A naturalnie! ozwał się Grobelny. W takich rzeczach z lada kim wdać się w rzecz nie można. Jeno zawsze najprzód trzeba wiedzieć, czy on uczciwy człowiek, czy nie.

Uważajcież więc! mówił daléj ksiądz proboszcz. Jeżeli sobie poprzysięże pierwszych, na ten przykład, dziesięciu, i ci dziesięciu jedną gromadkę przysięgłą czynią, to każdy z nich zbierze sobie osobną znowu gromadkę. I tak z téj jednéj gromadki zrobi się potém dziesięć gromad przysięgłych. Te dziesięć gromad przysięgłych znowu daléj się wedle tego starają, żeby każdy człowiek z osobna zebrał osobną gromadę przysięgłą. Więc z tych dziesięciu zrobi się potém sto gromad. I tak coraz więcéj, coraz więcéj przysięgłych.

To się samo przez się rozumie, że nie trzeba na tém przestać, aby tylko w swojéj wsi, albo we wła-

snéj parafii gromady przysięgłe tworzyć, ale trzeba ludzi brać do tego coraz daléj. Kto na ten przykład mieszka nad granicą, a ma dobrych znajomych z drugiéj strony granicy, ten koniecznie powinien jako przysięgły, udać się tam do swoich znajomych i zgromadzić ich do przysięgi.

Jak się w ten sposób porobią w całéj Polsce przysięgłe gromadki i wszyscy będą w gotowości, wtedy bardzo łatwo będzie zrobić rewolucyę taką, że jéj żaden nieprzyjaciel rady nie da. Ludzie z większym rozumem, co się znają na wojnie i wiedzą jak co trzeba rozporządzić, uszykują wszystko i wydadzą rozkaz, aby w ten a w ten dzień się ruszyć; tu albo tu się zgromadzić, to albo to miejsce napaśdź. Więc przysięgli odbiorą ten rozkaz i zaraz z Bogiem rzecz wszędy rozpoczną.

Przepraszam księdza dobrodzieja, odezwał się Butny, wiele też to może być tego naszego ludu razem w całéj Polsce, żeby sobie wymiarkować, ile to bitnego żołnierza by stanęło od razu?

Dobrze, żeś mi o tém przypomniał, odpowie ksiądz proboszcz. Nasz lud polski wcale tego nie wie, jaka jego siła, wiele go jest w Polsce. Nie jeden sobie myśli, że niepodobna, ażebyśmy mogli pobić nieprzyjacioł naszych, bo ich jest dość, a nas mało. Ale to wcale inaczéj. Prawda że nieprzyjacioł naszych jest hurm nie mały, ale nas za to jest także mnóstwo Polaków, że prawie się w głowie nie chce zmieścić taki wielki rachunek.

Bo nas jest razem dwadzieścia milionów! A wiecie wy, co to jest choć jeden tylko milion?

Ja sobie miarkuję, odpowie Butny, że to musi być okropna chmara, bo choć już czego najwięcéj to się tylko na tysiące, albo na krocie rachuje.

Jeden milion ludzi, rzecze ksiądz proboszcz, musicie sobie oto tak miarkować:

Gdyby na ten przykład kto wybrał takie gołe pole na dwie mile szerokie i dwie mile długie, gdyby to pole ogrodził i póty w nie wpuszczał ludzi jednego po drugim, pókiby się to pole nie napełniło tak jak beczka śledziami, toby wtedy dopiero jeden milion ludzi się zebrał.

A w naszéj Polsce jest takich milionów dwadzieścia. Więc łatwo możecie wyrozumieć, czego taki wielki lud może dokazać, byleby chciał, a razem się wszędzie do rzeczy garnął.

Święty Józefie! zawołał Butny. Taka siła zawojowałaby przecież pół świata, gdyby na to przyszło.

Otóż widzicie! przemówił stary Grzegorz. Tylko tego potrzeba, ażeby nasz Lud Polski poznał, jak mu jest i ażeby zrozumiał jaki jest mocny, a zaraz by nowa jutrzenka dla niego zeszła. Ale póki tego nasz lud nie pozna, to zawsze będzie jak ta trzoda owiec, co ją jeden albo drugi owczarski kiejter zawraca, skubie i kaleczy.

Nie biedzić się, nie narzekać na ciężkie czasy, nie obawiać się nieprzyjacielskiego wojska, nie oglądać się na to, póki tam kto z końca świata Polski nie podźwignie, ale samym się brać ochoczo do rzeczy, a zmawiać się, a sposobić, a oprawiać kosy na wiśne dębczaki, to wnet się pozbędziemy z kar-

ku i nieprzyjaciela i tej biedy co nas dzisiaj gniecie.

A cóżby nam nieprzyjaciele na naszéj ziemi zrobić mogli, gdybyśmy we wszystkich miastach albo wsiach ponapadali na ich załogę z kosami i toporami w ręku? gdybyśmy pozabierali arsenały, gdzie leży broń, proch, kule i mundury, — gdybyśmy odebrali magazyny, gdzie leży żywność. Mamy w garści kosy, mamy zabrane karabiny, armaty, proch, kule, żywność! I cóż oni poczną? Ani kroku im ruszyć, gdziebyśmy im na karki nie wpadli i nie wysiekli co do nogi!

Jam stary, mówił daléj Grzegorz z wypogodzoném obliczem, ale jak sobie o tém wspomnę, to mi jakoś siły przybywa i wtedy mi się zdaje, żebym jeszcze prawie tak mógł siec nieprzyjaciela, jak to bywało za dawnych czasów pod Kościuszką, albo pod Napoleonem.

Już to lud, co w swoim własnym kraju chwyta za broń jest najstraszniejszym żołnierzem. Wiem ja, jak to było w Hiszpanii. Francuzki żołnierz, to nie taki kacap i tchórz, jak Moskal, Prusak albo Austryak, bo Francuz jest na wszystko prawie taki odważny jak Polak. A jednak Francuzi musieli uciekać z Hiszpanii, choć tam i nasi Polacy z nimi poszli. Bo jak się te Hiszpany zawzięły, toby całe francuzkie wojsko było wyginęło.

Ani na polu, ani w domu nie miał Francuz spokojności; nigdzie nie był bezpieczny. Na polu wojsko z Hiszpanów ich siekło, a w domu, na kwaterze, tak samo ich śmierć czekała. Bo gdzie

tylko Francuz wszedł, to się tam albo kobieta albo dzieciak hiszpański zaczaił, i z czém jeno było: z toporem, siekierą, z knypem jakim wypadł na Francuza i zabił. Położył się Francuz spać, to kobieta hiszpańska w nocy się zakradła i nieraz sześciu Francuzom od razu popodrzynała gardła.

Tak to wojowali Hiszpanie! I sam Napoleon, choć taki rycerz, nie mógł z nimi pokórać i wyniósł się z całém wojskiem z Hiszpanii.

A czyż my tak samo nie możemy zrobić jak Hiszpanie? Co zdatnego, niech bierze broń w garść i daléj obcesem na nieprzyjaciela, — a kobiety, chłopaki małe, starcy, niech mordują po domach, jak żołnierz nieprzyjacielski stanie na kwaterze! W mieście niech leją war, albo niech rzucają kamienie z okien, kiedy przez miasto przechodzi! Niech niszczą go wszędzie! Niech żywność przed nim schowają, w doły pozakopują! A w polu nasze Polskie wojsko z bronią im w oczy zaświeci!

Wtedy zobaczymy, czy nasi pognębiciele wszyscy trzéj, choć parę miesięcy na naszéj świętéj Polskiéj ziemi się ostoją. Ani tak długo nie zostaną! Co się przed Polską bronią uchroni, to uciecze za ostatnią granicę!!

Takie słowa mówił Grzegorz, a wszystkim się aż gorąco na sercu robiło. Jeden w drugiego tylko o tém myślał, jakby zaraz rozpocząć zbieranie ludzi, ażeby wnet można zrobić rewolucyę na całą Polskę jak wielka i szeroka.

Ksiądz proboszcz tymczasem spojrzał na zegarek, a obaczywszy że to już blisko północy, powstał i rzekł: Późno już dzisiaj bardzo; trzeba nam się pobrać do domu, ale widzi Bóg, prawie żal mi wyjść od was kochany Grzegorzu! bo trudno się znajdzie dom na polskiéj ziemi, gdzieby tak serdecznie można prawdę wszystką wypowiedzieć, jak się to u was wypowieda. Ale da Pan Bóg, zobaczymy się wkrótce!

To mówiąc podał rękę staremu Grzegorzowi jakoli drugim, co tam byli i pochwaliwszy Pana Boga, poszedł do domu.

Drudzy serdecznie się pożegnali z Grzegorzem i także się oddalili.

Dla Grobelnego, dla Macieja i Dudziaka kazał Grzegorz rozesłać słomy, aby u niego przenocowali.

Ci trzéj dopiero nazajutrz rano opuścili mieszkanie Grzegorza.



NOWY GOŚĆ.

I.

Upłynął tydzień od tego czasu, kiedy u starego Grzegorza sąsiedzi i insi się byli zebrali i tak mile na opowiadaniu o Polsce czas przepędzili. Była znowu Niedziela.

Łuczywo na kominie jasno się paliło jak zawsze w izbie Grzegorza. Raz po raz drzwi skrzypły i ktoś wszedł do izby. Już się miało mocno ku wieczorowi, zmrok prawie zapadał. Sąsiedzi Grzegorza i ksiądz proboszcz dawno przybyli i jak zwyczajnie gawędzili sobie o polskich rzeczach, powtarzali nie jedno, o czém nie jedną niedzielę była mowa, i mile im czas schodził.

Grzegorz kazał wnieść z komory parę dzbanków piwa. Jeden i drugi nalewał sobie i przypijał do sąsiada.

Brakowało tylko Dudziaka. Nadszedł wreszcie i on, a z nim człowiek jakiś młody i krzepki w granatowéj sukmanie i baraniéj czapce na głowie.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! wyrzekł obcy zdjąwszy przystojnie czapkę. Na wieki wieków Amen! odpowiedzieli. Dudziak zaś przystąpiwszy do Grzegorza mówił:

To mój brat, Grzegorzu! Przyszedł do mnie aż od Poznania. Pozwolicie, żeby w waszéj izbie usiadł i porówno z nami na miłéj rozmowie przepędził kawałek czasu!

Bóg z tobą, miły człeku! Witajże do nas! rzekł Grzegorz podnosząc się z miejsca. Ale obcy nie pozwolił mu się ruszyć, tylko z poszanowaniem skłonił mu się do nóg i usiadł na ławie.

Cóż tam teraz u was słychać koło Poznania? zagadnął Grzegorz brata Dudziakowego, Janka.

Mało u nas słychać! odpowie Janek, ale i to co się słyszy, nic dobrego. I potrząsnął smutnie głową.

Jak to? zapytał Grzegorz. Nic dobrego? zawsze więzienia, zawsze ucisk i bieda na nasz lud? Nic wam się nie ulżyło?

Janek chciał na to odpowiedzieć, ale się zatrzymał i popatrzył się na wszystkich, jak gdyby się chciał zapytać: czy pomiędzy nimi nie ma jakiego zdrajcy albo szpiega. Ale Grzegorz, człowiek mądry, domyślił się tego zaraz i rzekł do Janka:

Mów śmiało, bo tu nie masz ani zdrajcy, ani szpiega, co to podsłucha, jak ludzie sobie w poczciwości gadają i idzie z tém do kommissarza, do wójta, albo inszego szubrawcy. My się wszyscy brzydzimy taką przeklętą duszą. Boć to gorsze od rabusia i największego rozbójnika, wysłuchać, a potém iść

i wydać, aby uczciwych ludzi męczono, bito, prowadzono na Syberyę i gnojono w więzieniu. Bóg wie jak długo. Pomiędzy nami tutaj nie masz takiego bezecnika, ale sami uczciwi ludzie.

Kiedy tak mówicie gospodarzu, to wam z duszy, z serca wierzę! Mówił Janek. Ja tylko dla tego zawszem ostrożny, że już nie jeden przypadek się zdarzył wedle takich sromotnych szpiegów. Jak to na ten przykład z Potockim i tym młynarzem, co mi nauczyciel raz w niedzielę z gazety czytał.

O! wiemy, wiemy o tych niezbożnikach! zawołali drudzy. Ale też ponieśli za to karę Boską.

Więc to u was tam teraz źle? zapytał Grzegorz.

Co źle, to źle! odpowiedział Janek. Nas rząd uciemięża podatkami, że już nie wiedzieć, skąd brać; drugich gnoją po więzieniach! Nie dawno temu wypuścili kilkanastu ludzi wiejskich Górczyńskich i Kurnickich z fortecy. Ale wielu jeszcze siedzi i pomarnuje się. Serce się kraje wspomnieć, co Niemcy wyrabiają. Mój Boże! ten Antoni Babiński czy Aloizy Bogusławski... a co z nim zrobili!

Ten Babiński zawołał Grobelny, co go w Poznaniu rozstrzelali? Czyście go kiedy sami widzieli?

Miły Boże! odpowie Janek. Nie miałem go widzieć? Przecież on był w mojéj chałupie przez cały tydzień; razem z nami jadł, razem się z nami modlił!

Jak to? zapytał Grobelny. Babiński był u was, w waszéj własnéj chałupie? To nam też przecież powiedzcie co więcéj o nim, bo do nas tylko to do-

szło, że go rozstrzelali w Poznaniu i więcéj też o nim nie wiemy.

Dla czegóż wam nie mam powiedzieć? odrzecze Janek. O takim człowieku całemu światu-bym rozpowiadał, bo taki jak on z trudna się gdzie drugi znajdzie.

Trzeba wam wiedzieć, że jestem z Białczyńskich chub, to jest: mam swoją chałupę i rolę, a dziedzicowi do Białczyna płacę czynsz. Otóż ten dziedzic ma u siebie krewnego. Młody to jeszcze panicz, zwie się Tadeusz. Ale co za dusza uczciwa, co za serce kochające! — Poznał mnie ten Tadeusz, tak temu dwa lata, kiedym sobie raz siał owies, pogadał ze mną o wszelakich rzeczach i od tego czasu często spotykamy się na polu; —pogadamy o tém, o owém, radzimy o gospodarstwie, a najczęściéj o Polsce i naszych nieszczęściach.

Otóż jednego razu młócę sobie w stodółce, aż tu nadchodzi ten sam Tadeusz. Pochwalił Pana Boga; odpowiedziałem, a on przemówił: Samiście tu Janku?

Samiuteńki, jak kołek w piasku! odpowiedziałem.

Powiedzcie mi, rzekł do mnie, czy nie moglibyście do siebie przyjąć mego przyjaciela, coby tu u was parę dni przemieszkał?

Nie od tegom! odpowiedziałem. Ale cóżby to miało znaczyć, że go Pan Tadeusz do mnie daje na mieszkanie?

Oto widzicie Janie? mówił, jest to człowiek, co przybył z Francyi. Chodzi teraz pomiędzy ludem

i naucza o Polsce. We dworze niebezpiecznie, bo wiecie, że do dworu żandarmy najprędzéj wpadną, jak tylko co zwąchną. Dla tego więc chcę do was dać mego przyjaciela, aby u was był bezpieczniejszy, bo wszędy na niego dybią. Znam też waszą kobietę i wiem, że nie będzie od tego.

A cóż jéj poczciwy człowiek w izbie zawadzać może? odrzekłem. Zresztą wiem, że moja kobieta niby mur, więc się też przed drugiemi nie wyplecie.

To dobrze! mówił do mnie. Wiedziałem już najprzód, że nie będziecie od tego.

A jakżebym go nie miał przyjąć? rzekłem. Przecież mnie to wiele raduje, że taki człowiek wejdzie w moje progi i będzie moim gościem. Choć go kommissarz i żandarmy będą szukali, to go u mnie na złość nie wynajdą.

Umówiliśmy się z Tadeuszem, że przyjdą oboje przed wieczorem. Ja też zaraz poszedłem kobiecie powiedzieć, że będziemy mieli gościa, żeby mu niczego nie skąpiła i każdemu, co się spyta, powiedziała, że to mój znajomy z za Poznania, co teraz idzie do krewnych za Czarnkowo.

Kiedy się już ciemnieć poczynało, szedłem ku Białczynowi i kilka staj za chubami spotkałem Tadeusza z tym drugim.

Pochwaliliśmy Pana Boga, a Tadeusz tak mówił: Otóż jest miły Janie mój przyjaciel, imie mu Antoni! Bądźcie i wy mu przyjacielem!

Antoni podał mi rękę, ucałowałem ją, a on mnie w czoło pocałował. Tadeusz zaraz nas pożegnał i

na odchodném mówił jeszcze do mnie: Strzeżcie go jak oka w głowie! Niech sąsiedzi nieuczciwi, pijacy i gaduła, co to umarłby a wybajać musi, — nie wiedzą, co to za człowiek, boby się wnet Żydzi i Niemcy dowiedzieli, a od tych kommissarz i żandarmy. Ale ludziom uczciwym, jak Karczmarkowi i Sierpowi i inszym, to powiedzcie prawdę.

Tadeusz poszedł, a myśmy się zawrócili do chub. I tak Antoni gościł u mnie przeszło tydzień. A co to był za człowiek! Dobry jak dziecko, a z książek wyuczony jak ksiądz, choć wcale do księdza nie był podobny. Bo wzrostu był bardzo wysokiego, miał brodę i wąsy, i nosił się napół z chłopska.

Chodził on też odemnie do sąsiedzkich wsi i chub, a ja mu zawsze powiadałem, kto poczciwy. On zaś nauczał, co robić i jak żyć, aby z tego była chwała Boża i pożytek ludziom.

Po dwa razy zeszliśmy się w kilku w Sierpowéj chałupie, bo ma izbę wielką, kobietę skrytą, co nic nie wygada, choćby ją piekli, a dzieci jeszcze małe. Co on nam też ciekawości przez te dwa razy naopowiadał. Drugi żyje i pięćdziesiąt lat z górą, a o nich pewno nie słyszał.

Powiedzże nam Janku, przemówił ksiądz proboszcz, o czém wam Antoni Babiński mówił?

Przepraszam księdza proboszcza, odpowiedział Janek. Ksiądz dobrodziejaszek pewnie o tém też dobrze wie, boć to w książkach pewnie wszystko jest napisané; ale jak dla nas, to każda taka rzecz jest całkiem nowa i ciekawa.

Prawdę mówicie mój Janie! rzecze ksiądz proboszcz. W książkach prawie wszystko jest napisane, ale może ja tego właśnie nie czytałem, o czém wam Antoni powiadał. Opowiedz nam więc, a wszystkim jak tu siedzimy, będzie to na użytek i zbudowanie.

Janek odgarnąwszy włosy z czoła począł tak mówić:



II.

Niech to nie będzie z obrazą księdza dobrodzieja, że wszystkiego nie podołam powiedzieć w tych samych słowach, jak nam Antoni powiadał. Bo różnych też już słyszałem i na kazaniu i po odpustach i u fary w Poznaniu, ale nie pamiętam, żeby kto tak ślicznemi słowy, tak serdecznie mówił i tak od razu człowiekowi do samego serca trafił jak on.

Wszelako wiele jego własnych słów jeszcze pamiętam, i jak umiem tak opowiem.

Oto nasz kochany Antoni mówił nam wiele o wierze katolickiéj, o męczennikach świętych, a najwięcéj o Zbawicielu świata, Jezusie Chrystusie: jak go Żydzi pojmali, biczowali, męczyli, cierniową koronę na skronie Przenajświętsze wtłoczyli, do krzyża sromotnie przybili, plwali, najgrawali się i nareszcie bok jego święty żelazem świętokradzkiém przebili. A mówił nam o tém tak śli-

cznie, z takim zapałem, tak nam to wszystko przed oczy wystawił, żeśmy się wszyscy popłakali. Bo i za cóż oni go tak męczyli? Za to że chciał zbawienia świata! Otóż widzicie tak też jest z Polską Ojczyzną naszą. Bo każdy co chce jéj wybawienia z niewoli Austryackiéj, Pruskiéj i Moskiewskiéj, jak Pan Jezus od Żydów bywa męczony od tych trzech katów.

Różnie nam potém mówił o zbawieniu ludzi, o niedoli, a kiedy Karczmarek wspomniał o Polsce, wtedy on nam obszernie począł mówić: co się to z nami dzieje, i wystawił nam wszystko przed oczy tak jakbyśmy na to żywemi oczyma patrzyli. Pamiętam dobrze: mówił on tak do nas i to są jego słowa:

Jak Żydzi chciwi Krwi Przenajświętszéj Jezusa, napadli go, skrępowali, na krzyż przybili i szatę Jego świętą na sztuki podarli i pomiędzy siebie podzielili, tak nasze sąsiady, dzikie i barbarzyńskie rządy: moskiewski, austryacki i pruski Polskę, Ojczyznę naszą napadli, skrępowali, na sztuki ją pomiędzy siebie porozdzierali; — a krew Polską jakoby zwierzęta dzikie krwi niesyte, toczą wciąż z Polskich synów. Biada człowiekowi, który czyhając na chudobę bliźniego, napadnie go i zabije; biada i stokroć biada takim rządom, które czyhając na naród sąsiedni, napadną go, zdepcą i jarzmo srogie na karki mu włożą!

Bo jest sprawiedliwość w Niebie, jest Bóg Wszechmogący, który niewinnemu prędzéj czy późniéj poda rękę, natchnie go myślą ognistą, a

wtedy upadną w proch gnębiciele narodu naszego i na klęczkach prosić będą u nas przebaczenia.

Dzisiaj okropnie się w kraju polskim dzieje. Ciemiężcy nasi wszelkich sposobów używają na zagładzenie i całkowite uśmiercenie narodu naszego.

Prusak jednych więzi a drugim głosi: Nie chciejcie Polski! W Polsce własnéj czeka was ucisk, czeka was pańszczyzna, czeka was pogardzenie. A jakież to gadanie! Kiedyćby chłopi razem z panami i mieszczanami Prusaków tłukli, toż by też i razem z panami i mieszczanami rządzili, bo jak pszczoły kiedy razem miód do ula znoszą, to go i razem spożywają.

Moskal posyła jednych na Syberyę, do kopalń, w sołdaty, więzi i morduje, a ludowi prawi: Nie chciejcie Polski! Nie myślcie o Polsce! Car zakazał myśleć o Polsce! Car najlepszy pan, Car was kocha jak dzieci, Car wam zniósł darmochy, Car was uszczęśliwi. I takie długie rzeczy o tych darmochach pospisywali Moskale, i tak długo czytali o łasce Cara, że chłopi słuchając, na końcu zapominali co było na początku, że im się zdawało iż im grunta podarował. Dopiero kiedy przyszło do regulacyi, widzą że to mydlane bańki, więc krzyk na panów, że z urzędnikami nadrobili i zmówili się na chłopów biedę. O ciemni ludzie, czegoż oni nie prawią;—czyżby car trzymał urzędników co go nie słuchają, kiedy patrzę nieraz jak za nieposłuszeństwo Moskwa żołnierza rózgami zasieka. I przecież wiedzą, że u Moskali wolno kraść, rabować, i inne bezeceństwa broić, — ale nie słuchać, choć Car

rozkaże w pijaństwie i we waryacyi, to zbrodnia nad zbrodniami. Wszystko też słucha cara jak bezrozumne bydlęta swego pastucha, co ich podług woli bije kijem i szczuje psami. Więc czyż podobieństwo, aby ci urzędnicy nie robili co im Car kazał. Wszystko więc było tylko na to, aby chłopom gadać o łasce Cara, a potém jak nic nie będzie rozłoszczą się na szlachtę, a tymczasem będą ich Moskale spokojnie w rekruty łapali, księży pobiorą, popów podają, i zrobią ich bydlętami jak innych Moskali. Ale jeżeli z panami i mieszczanami podadzą sobie rękę, z nimi też razem w téj Polsce rządzić będą — sami więc sobie poznoszą zaciągi, a chata, sprzęty i wszystko, będzie raz na zawsze ich.

I Cesarz austryacki gnębi Polaków, odziera kraj prawie ze skóry, a do ludu mówi: — Nie chciejcie Polski! Nie chciejcie rewolucyi o Polskę! W Polsce własnéj czeka was zagłada! Panowie was pomordują! — Weźcie za noże i rżnijcie panów waszych, Cesarz was pochwali! Cesarz wam nada grunta, Cesarz was uszczęśliwi. I rozdali im befele aby mordowali! I to kogo? Oto brat brata, Polak Polaka. I porobili z nich rozbójników i morderców — a wiecie dla czego? Oto żeby się nie łączyli ze szlachtą i mieszczanami, bo rządząc razem z nimi w Polsce, i zniosłszy sobie sami poddaństwo i zaciągi, jużby więcéj Austryaków w Polsce nie cierpieli. I chłopi zostali na pożytek Niemców rozbójnikami, i przedawali krew własnych braci za parę reńskich temu, co chce ród

Polski wytępić. Zapomnieli, że Bóg na niebie i na ziemi, i choć coś zabójstwem wydarli, to im nie pobłogosławił, ale wszystko zmarnieje, i jak przyszło od czarta, tak poszło do czarta.

Bo zaprawdę, zaprawdę powiadam wam,—mówił potém Antoni — słowa ciemiężców naszych gorsze są od trucizny i jadu; — słowa ciemiężców naszych fałszywsze są od oskarżeń Faryzeuszów na Chrystusa. Lepiéj zrobi, ktoby kamień do karku swego przywiązał i w rzekę wskoczył, niżeli ktoby wierzył słowom ich.

Czartowska w ciemiężcach naszych dusza, czartowskie więc słowa. Nie chcą, abyśmy ich z kraju jak robactwo plugawe wyrzucili, bo z naszego kraju się żywią, z naszych krzywd bogacą, z podatków mizernego ludu mnożą skarby: moskiewski, pruski i austryacki. — Straciliby to wszystko, gdybyśmy wspólną bratnią siłą ich przemoc zwalili. Dla tego jednych niszczą, mordują, więżą, a drugich szatańskiém słowem zawrócić chcą głowę i duszę Polskiego ludu, aby się nie poznał na swojéj niedoli i nie zapragnął Wolności Polskiéj!

Tak to do nas u Sierpa mówił nasz Antoni, i bardzo rozmaite rzeczy nam powiadał o kommissarzach, o sądach, o rekrutach, o Syberyi, o podżeganiu ludzi wiejskich w Galicyi przez rząd cesarski.

Nam się gorzko na sercu robiło i zaraz go się pytaliśmy, czybyśmy mogli zmawiać się do rewolucyi, tak jak się to robiło tak temu dwa lata.

Antoni podał nam po kolei ręce, uścisnął nas i zaczął nas pouczać, jak to trzeba rozpocząć, z kim

i gdzie pomówić; — jakich ludzi wybierać, jak się sposobić, i wszystko nam dokładnie wytłómaczył.

Nam też nie wiele było potrzeba słów, bośmy już dawniéj przed rokiem tak samo wedle tego się starali, — więc łatwo się wszystko od razu zrozumiało.

Rozeszliśmy się potém. Nasz Antoni poszedł do inszéj wsi i wrócił dopiero w nocy do chałupy, a my zaraz poczęliśmy się naradzać, kogo to najprzód trzeba wziąść do zmowy.

A cóż się daléj z Antonim działo? zapytał Grobelny.

Oto, — odpowiedział Janek — w sobotę mówił mi, że jutro rano musi wyjechać. Okropnie mi żal z tego było, ale że on chciał, zaprządłem parę koni do wózka i wywiozłem go świtkiem przez rzekę o dwie mile. Mam tam poczciwego kumotra, więc go złożyłem do jego chałupy i rozpowiedziałem, jak ma przyjąć Antoniego. Mój kumort też się bardzo uradował z tego. — Kiedyśmy się żegnali z Antonim, łzy nam obu w oczach stanęły i mówiłem do niego:

Bracie ukochany! Szkoda, że z nami nie chcesz dłużéj zostać. Nasza ręka zawsze gotowa do bronienia cię przed kommissarzem i żandarmem. Prędzéj by nas zabili, niż do ciebie dostąpili!

A on mi odpowiedział: Bóg cię wynagrodzi za twoje uczciwe serce! Żal mi cię opuścić, ale muszę daléj ruszać! Mam ufność w Bogu, że napotkam i gdzieindziéj ludzi poczciwych, co mnie w potrzebie obronią. A gdyby ich nie było przy

mnie, to się tém bronić będę! — mówił wydobywając pistolet. Potém niech się dzieje Wola Boża!

Pożegnaliśmy się serdecznie i nawróciłem ku domowi. Sam wtedy nie wiedziałem czemu, ale kiedym na wóz wsiadał, konie ni zrazu ani na krok nie chciały z miejsca ruszyć, wierzgały i rżały oglądając się na chałupę, do któréj wszedł nasz Antoni, a mnie się tak ciężko na sercu zrobiło, jakbym był umarłego odwiózł do grobu.

Powiedz mi miły Janku! — przerwał ksiądz proboszcz! — czy on wam nie opowiadał też o Francyi i o tych Polakach, co tam mieszkają?

Miły Boże!— odrzekł Janek. Opowiadał on nam nie mało.

Francuzy — mówił do nas Antoni — już przeszło pięćdziesiąt lat, jak zawsze z Polakami żyją w dobréj przyjaźni; — nie chcą naszéj krzywdy, upominają się wciąż o nasze uwolnienie i jakby mogli takby nam dopomagali. W dawniejszych czasach, kiedy to Polacy zawiązali Konfederacyę Barską, co to w niéj tak się raźnie brali do rzeczy Puławscy, ksiądz Marek i rozmaici, — wtedy Francuzy przysłali nam kilkudziesiąt officerów, co się doskonale znali na wszelakiéj wojnie, aby nam dopomogli przeciw Moskalom. Jeno to nieszczęście, że Francuzy też jeszcze mają u siebie króla. A wszyscy króle i cesarze powąchają się w każdéj sprawie, i w to tylko biją, aby oni sami mogli panować, aby im samym dobrze było, aby mogli bankietować i tracić rok w rok miliony pieniędzy, a lud choćby zmarniał, to nie wiele zważają;

podatkami obciążają wszędy, do więzień zamykają wszędy najlepszych ludzi, coby drugim ulżyć chcieli. Wszystkie króle i cesarze są od wieków w zmowie pomiędzy sobą, i wszędy sobie by chcieli pomagać, choćby na krzywdę swojego własnego narodu. Toć najlepszy przykład mamy na własnym królu Stanisławie Poniatowskim, co pomagał Moskwie na przygnębienie i upadek własnego polskiego narodu. Bo cóż on miał do stracenia? Moskwa na cały naród włożyła jarzmo i uciemiężenie, a Poniatowski król, choć mu koronę odebrali, żył aż do śmierci w królewskich dostatkach i tarzał się prawie w złocie. Tak to jest z wszystkimi królami. Ale jednak lud francuzki zawsze kocha nas Polaków serdecznie, i niezapomina, że kiedy za tego Napoleona, co to wojnę z całym światem prowadził, wszyscy na Francyę uderzyli, my Polacy nie opuściliśmy ich, i jakby za naszą Ojczyznę, biliśmy się za Francyę. Więc kiedy zaprzeszłego spozimku było powstanie w Krakowie, Francuzy bardzo się z tego cieszyli, i jak mówił Antoni, byliby z naszymi, co tam są u nich, przybyli na pomoc. A kiedy nastąpiły, jak wiecie, te morderstwa w Galicyi, Francuzy bardzo się wtedy rozgniewali na podobne szelmostwa austryackie i na pamiątkę wybili medal. Antoni pokazywał nam takowy, a był on z miedzi, ale opisać go wam na pamięć nie umiem.

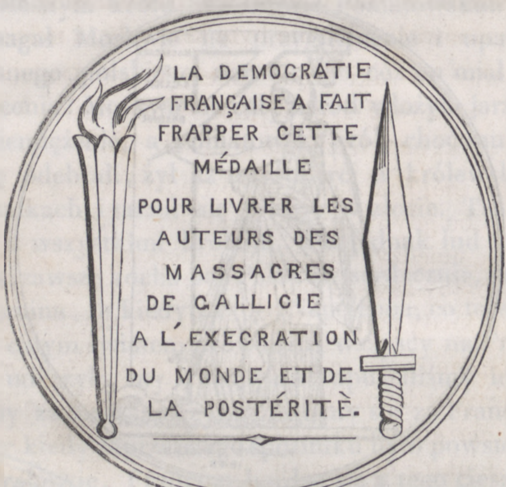
Ja go wam opiszę, powiedział na to ksiądz proboszcz, bo mam w mojej książce jego rysunek. Patrzcie jeno. Ta kobieta którą tu owo widzicie,

jest to wolność, a ustrojona jest po grecku. U jéj nóg leżą porozbijane kajdany. W jednéj ręce trzyma ona karabin, a w drugiéj bagnet, przed nią jest szubienicą, i na téj bagnetem wyrzyna te wyrazy: *Rzeż Galicyjska — Metternich, Breindl.*



Metternich, moje dzieci, jakiem wam mówił, jest to stary minister austryacki, który wszystko robi za cesarza, i on to rzeź szlachty w Galicyi nakazał — a Breindl który był wtedy starostą w Tarnowie, płacił po dwa złote za każdą zabitą głowę, więc ich nazwiska wypisane są na téj szubienicy, a co jest tak wielką hańbą, jak gdyby oni sami na téj szubienicy wisieli.

Ten drugi obrazek, jest to druga strona medalu, i widzicie tu *miecz* a tu *pochodnię*, a między niemi napis po francuzku: *Demokracya francuzka odbiła ten medal dla przekazania sprawców morderstw Galicyjskich na ohydę świata i potomności.*



Tego wyrazu: *Demokracya*, wy moje dzieci nie rozumiecie, otóż wam powiem, że tak się tam we Francyi nazywają ci, co nie chcą króla, którzy chcą aby nie było różnicy między szlachcicem, mieszczaninem a chłopem, ale żeby wszyscy byli między sobą braćmi, byli sobie równymi, a jeden drugiemu żadnej nie robił krzywdy. Wtedy nie rządziłby król, ale jeden najwyższy urząd, po-

stawiony wolą całego narodu i przez niego obrany, któryby byłby tylko tak długo, dopókiby mądrze a uczciwie, a sprawiedliwie rządził, bo jakżeby miano go słuchać, gdyby był złym a nieuczciwym? My nazywamy rząd taki Rzeczpospolitą, czyli jakobyś powiedział rzeczą ogólną, powszechną, rzeczą wszystkich, bo wszystkich powinnością czuwać i pilnować, aby nie było krzywdy, i ucisku.

A więc to taki rząd, odezwał się Dudziak, chcieli ustanowić ci, co wydali ów manifest w Krakowie, jaki nam Grzegorz pokazał.

Taki, mój Dudziaku, odpowiedział ksiądz proboszcz, bo gdybyśmy mieli króla, byłaby zawsze różnica między panem a chłopem, a zatém chłop byłby zawsze chłopem, i tak uciskanym, jak dziś kiedy panuje Moskal, Austryak i Prusak.

Oj, czemuż my to niewiedzieliśmy o tém, zawołał Butny, a dawno by już te szelmy Niemcy i Moskale nie gospodarowali w naszéj ziemi. A cóż wam Janku, opowiadał Antoni, o tych naszych Polakach, co tam są we Francyi, wszakże oni to wszystko wiedzieć powinni.

Ja wam opowiem, odezwał się Janek. Oto kiedy jak pamiętacie owa rewolucya w Warszawie tak nieszczęśliwie się skończyła, wiele tysięcy Polaków chroniąc się przed Syberyą, knutami, szubienicą ucałowali Polską ziemię i wziąwszy po garści na pamiątkę, wywędrowali ze smutkiem i płaczem, poszli do Francyi, gdzie ich, jak mówił Antoni, lud tamtejszy ze łzą przyjacielską w oku przyjął.

Byli pomiędzy naszymi i jenerałowie i sędziowie i księża i doktorowie i ludzie wiejscy i szlachta i mieszczanie! Zostawiali oni majątki, żony, dzieci; — ale cóż było robić, kiedy we własnéj Ojczyznie czekały ich prześladowania, Sybir, męki, knuty, szubienica moskiewska!

Otóż większa część tych naszych nieszczęśliwych Polaków mieszka w Paryżu, największém mieście z całéj Francyi; drudzy gdzie indziéj w kraju francuzkim, insi znowu w Anglii i innych krajach. Wszyscy pracują w czém tylko mogą, aby się wyżywić. A coraz ich tam przybywa, bo wszystko, co najlepsze tutaj w kraju, kiedy ich rząd pocznie prześladować i ścigać, uciekają i przechodzą tam do Francyi.

Nie masz nikogo pomiędzy nimi, coby z całego serca nie pragnął uwolnienia Polski z jarzma obcego. Więc też wszyscy dzień i noc nad tém przemyśliwają, jakby to najlepiéj z naszą Polską począć. Oni to najprzód wypowiedzieli to święte słowo, że wszyscy Polacy, co jeno żyją na Bożym świecie, są braćmi i równymi sobie w obliczu Boga i ludzi. Więc choć pomiędzy nimi są też tak samo rozmaici ludzie jak u nas: i mieszczanie i dawniejsi urzędnicy Polscy i szlachta i prości ludzie, — wszyscy są sobie równi, jeden kocha i szanuje drugiego jak brat brata.

U nas tutaj, w kraju, niewolno nikomu głośno radzić o Polsce, — a we Francyi tamtym naszym wolno. Więc gdzie się też jeno kilkunastu w jedném miejscu znajduje, zaraz obierają kilku naj-

mędrszych; — ci spisują wszystko, co uradzono i tak ze wszystkich stron posyłają swoje spisania do Paryża, gdzie mieszka tych PIĘCIU, co już najmądrzejsi z wszystkich Polaków we Francyi.

Ci PIĘCIU czytają wszystko, radzą i osądzają, co trzeba zrobić, aby było jak najlepiéj.

Oni to więc spisują w książkach, jak się tu u nas dziać powinno, jak się mamy sposobić do Powstania i jak się to wszystko ma urządzić.

Te książki przysyłają tu do kraju, a prócz tego wysyłają ludzi uczciwych, aby obejrzeli zawsze, jaki jest duch w Ojczyznie i ażeby rozpoczęli tajemne zmowy z nami, co w kraju zamieszkujemy. I takim to wysłańcem czyli Emisaryuszem, jak ich tam z francuzka zowią był nasz Antoni. Mówił on że jak nadejdzie godzina powstania, to ci wszyscy Polacy z Francyi zaraz nadjadą, a wielu z nich zna się doskonale na wojnie.

Naturalnie — mówił daléj Antoni — że ani rząd pruski, ani moskiewski, ani austryacki nie są naszemi rządami, tylko rządem Prusaków i rządem Moskali i rządem Austryaków.

Nasz rząd teraźniejszy jest taki: Oto są w kraju ludzie najpoczciwsi i najrozumniéjsi, co o niczém nie myślą jeno o Bogu i Ojczyznie naszéj Polsce. Ci ludzie rozpamiętywają wszystkie nasze utrapienia, i wciąż rozmyślają dzień i noc jakby im zaradzić, a potém spisawszy to wszystko razem, posyłają tym Polakom do Francyi, aby i ci tam nad tém rozmyślali i radzili jak to daléj robić. A ci po uradzeniu, jak wam już mówiłem, przesyłają swoje

słowa do ojczyzny, albo spisane albo przez wysłańców, i choć tyle mil za krajem mogą swobodnie o nim radzić jakoby w nim żyli.

Takie to słowa do nas miał nasz kochany Antoni i przed nim poprzysięgliśmy ani się nie oglądać na rządy pognębicielskie, ale zawsze w dobréj wierze słuchać tego, co nam nasi starsi nakażą.

Jest to święta prawda, przemówił stary Grzegorz, i każdy uczciwy człowiek trzymać się jéj powinien. W taki sposób łatwiéj się wydobędziemy z pod obcego jarzma.

Ale powiedz nam Janku, odezwał się Grobelny, cóż się daléj stało, jak Antoniego odwiozłeś do kumotra? Czy go to tam Niemcy zaraz pochwycili?

Ani myśli, żeby go tam byli złapali! odpowie Janek. Mój kumotr byłby go bronił do ostatka krwi. Ale to inaczéj się stało.

Pewnie w cztery niedziele potém młocę znowu w stodółce. Wpadł do mnie nagle Tadeusz. Nie pochwalił nawet Pana Boga, jak to miał we zwyczaju, jeno stanął jak wryty, patrzał na mnie i widziałem że coś okropnego miał mi naraz wypowiedzieć. Przeląkłem się strasznie i zapytałem: Na miłość Boską! cóż się to stało Paniczu?

Złapali go, złapali go! zawołał; i boleść wielką zobaczyłem na obliczu jego.

Ja załamałem ręce i było mi, jakby mi kto nóż w sercu utkwił, a on tak począł rozpowiadać: Stryj mój przyjechał z Poznania i tam słyszał, że nasz Antoni zaszedł do Studzieńca pod Rogoźnem. Był on tam podobno już raz i ludzie go tak słuchali,

jak i my tutaj. Znowu się potém tam wrócił i wtedy zapewne jakiś zły człowiek dał o nim znać do żandarma. Antoni miał właśnie odjeżdżać; jeden gospodarz stał już z zaprzęgiem czekając na niego za wsią, a Antoni szedł przez wieś, aby się z kimś jeszcze pożegnać i palił fajkę. Wtém nadjeżdża żandarm i zatrzymuje go niby o to, że palił we wsi fajkę. A trzeba wam wiedzieć, że ten żandarm był urodzony Polak. Potém żądał od naszego Antoniego zaświadczenia; ten pokazał papier, ale żandarm powiedział, że to nie jak należy i kazał mu iść za sobą do karczmy. Tu mu powiedział, że go będzie aresztował. Antoni wziął go za rękę, uścisnął i szepnął do ucha: Tyś Polak, jam Polak, daj mi pokój, nie rób mnie nieszczęśliwym!

Ale żandarm nie chciał tego rozumieć, jeno wydarł mu z zanadrza papiery i krzyczał: że go będzie aresztował, bo on królewski sługa; i Bóg wie jak Antoniego lżył. A nakoniec, kiedy go chciał imać, Antoni wyjął pistolet i palnął mu w łeb jak psu. Boć kiedy Polak, a Polaka chciał łapać i oddać w ręce katowskie, to istny Judasz i więcéj nie wart.

Żandarm się obalił, a Antoni począł uciekać. Ale człowiek jeden ze wsi, nie wiedzieć czy przez taką swoją głupotę, czy też ze zdradziectwa podłego, wsiadł na żandarmowego konia, aby dać znać Niemcom do Rogoźna.

Wyleciało Niemców aż ciemno zmiasta, z psami, flintami, pałaszami, kijami — istnie jak Żydzi na pojmanie Jezusa Chrystusa.

Antoni ukląkł, modlił się i nikt z polskiego ludu nie śmiał do niego przystąpić, jeno rzeźnik Niemiec poszczuł go psem i uderzył kijem w jedną rękę, a syn rzeźnika pałaszem w drugą. Wytrącili mu pistolet i długi nóż, któremiby się był mógł bronić. Potém związawszy go, odprowadzili do miasteczka, a na drugi dzień do Poznania.

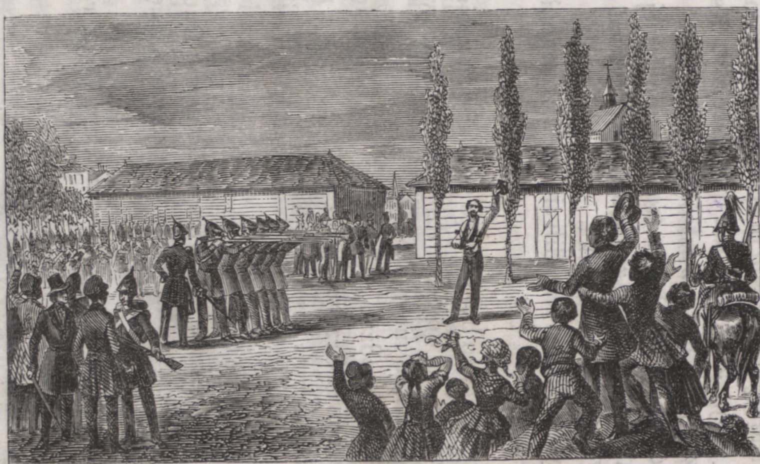
Może przez trzy niedziele potém pojechałem ze zbożem na targ do Poznania. Zajeżdżam na rynek, a tu mi powiadają, że jakiś człowiek i to Polak ma być rozstrzelany.

Zostawiłem wóz i zboże i leciałem przed więzienie, gdzie go mieli wyprowadzić. Stało naokoło od pełności i żołnierzy i ludu. Poznałeś z daleka Niemca i Żyda, bo się plugawce cieszyły, a każdy prawy Polak albo Polka jeżeli nie płakali oczyma, to widać było, że płakali sercem.

Wyprowadzono więźnia, wsiadł na wóz! Raz tylko spojrzałem — poznałem.... to był, nasz ukochany Antoni! Ręce miał tylko związane i Pana Jezusa zatkniętego na piersiach. Blady był na twarzy, ale tak szlachetnie patrzał, jak gdyby go nie na śmierć, ale do kościoła Bożego wieziono.

Pociemniało mi w oczach! pchałem się przez ludzi, — pruska kolba w piersi mię uderzyła. Antoni zobaczył mnie, rozpoznał w natłoku! Skinął głową na znak ostatecznego pożegnania; — ja zdjąłem czapkę i zalałem się łzami.

Wózek ruszył — Lud ruszył! — Jam szedł, bo drudzy szli, ale jak i którędy nic nie wiedziałem. Wszyscy stanęli i jam stanął.



ALOIZY BOGUSŁAWSKI *albo* ANTONI BABIŃSKI.

Co się potém działo, nie wiem, bom z bólu i żalu prawie otrętwiał, tylko się huk dwunastu karabinów rozległ — dym wionął w górę i — Antoni leżał we krwi!...

Jezus Marya! zawołali przytomni. Janek zakrył rękami oczy, a łzy mu jak groch leciały. Ksiądz proboszcz przemówił, z żałością:

Dzieci kochane! Jemu tam pewnie lepiéj, niż tutaj. Ale uklęknijcie i zmówmy trzy Zdrowaś Marya i Wieczny odpoczynek!

Wszyscy uklękli i modlili się za duszę Antoniego.

Już też i późno było, więc po pacierzu zabierali się wszyscy do domu i dziękowali Jankowi za wszystko, co od niego słyszeli.

Janek wychodząc skłonił się do nóg księdzu proboszczowi i Grzegorzowi z prośbą, ażeby z nimi i trzema inszymi jeszcze gospodarzami mógł na osobności pogadać.

Przystał na to Grzegorz stary i ksiądz proboszcz. Zamówiono jeszcze Grobelnego, Butnego i Dudziaka, aby się nazajutrz przed wieczorem u księdza proboszcza zeszli.

Potém wszyscy pochwaliwszy Pana Boga, rozeszli się do domu.



III.

Na drugi dzień jeszcze kawał przed zmierzchem, Janek i Dudziak prowadzili pod rękę Grzegorza i zmierzali ku plebanii. Na progu stał ksiądz proboszcz i wziąwszy za rękę Grzegorza, wprowadził go do pokoju i posadził na wygodném skórzaném krześle z poręczami. Grobelny i Butny stawili się już pierwéj w plebanii. Wszyscy sześciu zasiedli koło komina, a ksiądz proboszcz tak począł mówić:

Więc to prawda, Janku, żeście tu przybyli do brata na to, aby się wywiedzieć i wyrozumieć naszych ludzi w okolicy, ażebyśmy się wszyscy wspólnie wzięli do roboty nad rewolucyą?

Prawda, dobrodzieju! — odpowie Janek. Nasz kochany Antoni zalecił mi, ażebym tu u mego brata był i tutaj go wziął do zmowy.

Więc was, Janku, mówił ksiądz proboszcz, Antoni pouczył, jak się trzeba zmawiać?

Pouczył mnie, dobrodzieju! — odrzekł Janek.

Alem ja też już dawniéj wiedział, jak i co, bom przecież tak temu rok, też porówno z wszelakimi ludźmi siebie i drugich do rewolucyi sposobił.

Powiedzcież mi, rzecze ksiądz proboszcz, któż to was do tego pociągnął przed dwoma laty?

Przed kim inszym, odpowie Janek, nie powiadałbym tego. Ale że to jesteśmy sami tacy, co jeden przed drugim taić się nie potrzebuje, więc powiem, jak się to wszystko u nas tam robiło.

Pamiętam jak dziś! — było to święto Najświętszéj Panny. Kiedyśmy na chórze skończyli Anioł Pański, rzekł do mnie na stronie nauczyciel: — Zaraz po nieszporach przyjdźcie, Janku, do mnie, powiedźcie też Karczmarkowi i Sierpowi, ażeby z wami przyszli. Jeno więcéj nikomu o tém nie powiadajcie.

Nie wiedziałem po co, alem zabrał Karczmarka i Sierpa, i poszliśmy po nieszporach do nauczy.. ciela. W izbie szkolnéj, zastałem już Tadeusza, który po uczciwém przywitaniu się z nami, tak mówił:

Czy już wiecie, Janie, po cośmy się tutaj zeszli?

Nie! odpowiedziałem. Przyszliśmy, ale dla czego, nic nie wiem.

Toć się niedługo dowiecie, jak tylko reszta nadejdzie! — mówił do nas. Teraz tylko to wam powiem, że przecież aby już raz przyszło do tego, że chłop, szlachcic i mieszczanin do wspólnéj narady na jednéj ławie zasiędą, — że już nie będą na siebie wygadywali: a tyś chłop, a tyś szlachcic, a tyś mieszczanin, więc się nie cierpmy!

Dzisiaj powiemy sobie: wszyscyśmy bracia, bo wszyscy synowie jednéj matki, Ojczyzny; nie masz gorszego, ani lepszego, tylko wszyscy sobie równi. Ale żeśmy wszyscy nieszczęśliwi, bo wszyscy obce jarzmo i ucisk na karku mamy, więc się naradzić musimy, jakby się tego jarzma pozbyć, jakby wygnać ciemiężycieli polskiego Narodu.

Ledwie co to Tadeusz wymówił, wszedł do izby Rączkiewicz, majster professyi slósarskiéj, człowiek jeszcze młody, ale rozsądny i bardzo uczony. Po chwilce przyszedł i nasz ksiądz pleban, który wyjął z pod płaszcza krzyż z wizerunkiem Zbawiciela świata i postawił na stole. Nasz ksiądz pleban tak samo z nami tam trzymał, jak oto ksiądz proboszcz z Grzegorzem i drugimi.

Myśmy też szczęśliwi, że takiego księdza tam w naszéj parafii mamy, bo to jednak nie wszędy się taki przydarzy. Zaraz o granicę od nas jest proboszcz, co woli rządowi pruskiemu świecić bakę; — ludzi zdziera we wszystkiém, czy to za pogrzeb, czy za śluby, a o poratowaniu biednego człowieka ani pomyśli.

Otóż, nasz ksiądz pleban, majster Rączkiewicz, Sierp, Karczmarek i ja, zasiedliśmy koło stołu.

Ksiądz pleban prosił Tadeusza, aby on najprzód zaczął mówić.

Tadeusz chciał pierwszego zaczęcia ustąpić księdzu plebanowi, ale ten się do niego ozwał:

Nic to nie szkodzi żeś jeszcze młody i najmłodszy między nami. Od dzieciństwa serce twoje biło dla Ojczyzny; twój rodzic poległ pod Grochowem

na placu bitwy! Chętnie więc słów twych wszyscy tu zebrani słuchać będą.

Na te słowa, tak Tadeusz do nas mówić począł:

Wszyscy tu siedzimy poczciwi ludzie, więc będę mówił jak do siebie samego, bo się żadnej zdrady nie boję. Zapytuję się najprzód wszystkich: dobrze nam jest pod rządem pruskim, czy nie?

Myśmy z kolei odpowiadali, że źle, bo jest ucisk, uciemiężenie podatkami, Niemców wszędy na urzędach pełno, kraj przez to podupada i ubożeje.

Tadeusz znowu pytał: przystajecie na to, aby wygnać Niemców z kraju, a własny rząd polski postawić?

Odpowiedzieliśmy, że przystajemy.

Tadeusz pytał: więc chcecie powstania, w którémbyśmy z bronią w ręku wpadli na kark ciemiężcom naszym?

Odpowiedzieliśmy, że go chcemy, ale tak, ażeby cały Naród polski się ruszył.

Więc dobrze! — rzekł Tadeusz. Ażeby cały Naród powstał, trzeba cały Naród poruszyć do tego; trzeba się z drugimi ludźmi zmawiać, i jak najprędzéj ludzi pewnych zebrać. Otóż, wy gospodarze, Sierpie, Karczmarku i Janie! niech każdy pomiędzy swymi we wsi i okolicy, gdzie tylko może ludzi do tego pobudza, aby kiedy przyjdzie ten czas, byli gotowi do broni. Lepszych będziecie pociągali do przysięgi za Polskę. Od czasu do czasu

przyjdźcie mi powiedzieć, jak tam pomiędzy waszymi idzie.

Panie nauczycielu! wy to samo róbcie między nauczycielami, organistami i dworskimi.

Panie Rączkiewiczu! wy między ludźmi w mieście, i kiedy się łatwość nadarzy, to i na wsi.

Ksiądz pleban sam wie, gdzie, z kim i jak rzecz poczynać i rzucić słówko tu i ówdzie, przy spowiedzi, żeć to czas wygnać tych nieprzyjacioł z naszéj świętéj ziemi. A jak dzień nadejdzie, toć każdy pobożny kapłan polski weźmie krzyż poświęcony w rękę, pójdzie do boju z Ludem i będzie go błogosławił, kiedy Lud będzie siekł kosami, rąbał toporami, żgał widłami, tłukł cepami, kłonicami, co kto złapie, i gdzie najbliższego Prusaka, Austryaka, albo Moskala napotka.

A teraz — mówił znowu do nas — muszę wam przeczytać te prawa, które w przyszłéj Polsce być mają, abyście wiedzieli, jak to dla każdego w naszéj własnéj Polsce będzie. Te prawa ułożone są przez tych, którzy będą kierowali całém powstaniem. Szlachta po całéj Polsce, co już jest pociągnięta do zmowy, poprzysięgła je; — teraz my je przeczytamy i poprzysiężemy.

Wyjął potém Tadeusz z zanadrza papier i czytał nam te prawa, a nam się miło na sercu robiło, że wszystko w téj naszéj przyszłéj Polsce tak ma iść uczciwie.

Pamiętacie je jeszcze Janku? zapytał Grzegorz stary.

Bogać tam nie pamiętam! — odrzekł Janek.

Tak słowo w słowo już dzisiaj nie wiem, ale wszelako dobrze baczę, co w nich stało.

Nasz ksiądz proboszcz — rzecze Grzegorz — pewnie jeszcze ma spis tych praw, to nam je z łaski swojéj przeczyta, a wy Janku powiecie, czyście takie same mieli, czy insze. Bo u nas tak samo mieliśmy spisane prawa.

Ksiądz proboszcz otworzył szafę i wyjął dwa pisma. Jeden był manifest, a drugie: Prawa osobno napisane, i zaczął je czytać:

My, którzy się zabieramy do broni za wolność Ojczyzny takie stanowimy prawa.

I. Zaraz przy pierwszém pochwyceniu za broń wszyscy stajemy się równi sobie: tak chłop jak szlachcic, jak mieszczanin i wszystek naród.

II. Dotychczasowe czynsze, pańszczyzny, darmochy i wszystko co lud wiejski dziedzicowi płaci lub odrabia — ustaje natychmiast i ustaje na wieki.

III. Rola, którą dzisiaj posiada lud, staje się całkiem ich własnością z chałupą, sprzężajem i wszystkiém do roli potrzebném.

IV. Ci, którzy dzisiaj nie mają gruntu podostawają z dóbr, które dzisiaj trzymają w ręce obce rządy: pod Prusakiem z dóbr amtowych, pod Austryakiem z dóbr kameralnych, pod Moskalem z dóbr rządowych. Wszystkie te dobra odbierzemy, i rozdzielimy pomiędzy lud na wieczystą własność.

V. Chorym, kalekom i starcom rząd Polski ob-

myśli pomieszczenie i utrzymanie, aby się nie tułali bez dachu i chleba.

VI. Rzemieślnicy zapomagani będą przez Rząd Narodowy.

VII. Ludzie dworscy, organiści, nauczyciele, zgoła wszyscy, którzy nie będą pracowali na własnym kawałku, dostaną sprawiedliwsze niż dzisiaj wynagrodzenie za swą pracę.

VIII. Zgoła nie ma być na Polskiéj ziemi nikogo, coby się miał uskarżać na niedostatek. Ziemia nasza aż nadto urodzajna. Dla tego przy uczciwém rozporządzeniu każdy powinien być szczęśliwy.

IX. Wszyscy będziemy jednych praw słuchali co sobie sami spiszemy, i jednego rządu który sobie obierzemy co z najpoczciwszych i najmędrszych ludzi, nie pytając czy on szlachcic, chłop, czy mieszczanin. Króla mieć niechcemy, i te miliony któreby szły na utrzymanie jego pójdą na pożytek narodu.

X. Urzędy wszelkie otwarte są dla każdego Polaka, czy on dotąd był chłopem, czy mieszczaninem czy czemkolwiek. Aby tyko miał zdatność.

XI. Wszystkie dzieci czy to mieszczańskie, czy chłopskie, czy szlacheckie będą pooddawane do szkół kosztem rządu, aby się wyuczyły na co które zdatne, czy na prostego człeka, czy na sędziego, czy na jenerała.

Te prawa dla Polski stanowi

Rada tajemna sprzysiężonych.

A to wszystko słowo w słowo zawołał Janek jak nam nasz Tadeusz czytał. Dla tego on nam też to

mówił, że te prawa są wszędzie przyjęte przez sprzysiężonych.

Potém każdy z nas uklęknął i poprzysiągł wszystko.

Tedy nam jeszcze Tadeusz powiedział, żeby wszystko robić i sposobić w skrytości, aby się Niemcy o tém nie dowiedzieli.

A jak nadejdzie ta godzina, że odbierzemy rozkaz do ruszenia, wtedy każdy z nas, wziąwszy z sobą ludzi, pójdzie z księdzem plebanem na przedzie do miejsca przeznaczonego i rozpocznie się bój.

Nasz ksiądz pleban zmówił nad nami wszystkimi modlitwę, pobłogosławił nasze przedsięwzięcie; — potém sobie wszyscy podaliśmy po bratersku ręce, uścisnęli i każdy poszedł do domu, aby robić swoje.

W parę dni potém jestem sobie na mojéj ozimnie i wyrzucam przegony. W tém patrzę... jedzie do mnie na koniu Tadeusz.

Niech będzie pochwalony!

Na wieki wieków!

Miły Janie! — rzecze do mnie — nie mogę z wami długo mówić, bo u stryja dzisiaj polowanie i mamy dość gości. Ale jak się zmierzchać zacznie, przyjdźcie do mnie do oficyny; tam się dowiecie, czego od was żądam.

Było to przed południem, więc poskromiłem robotę w domu i poszedłem nad wieczorem do Białczyna. Wszedłem do mieszkania Tadeusza i

pytałem, coby mi miał do powiedzenia. On tak mówił do mnie :

Oto widzicie, mój Janie! Jest tu u mnie jeden z najstarszych, co kierują wszystkiém, ażeby powstanie zrobić. Musi pojechać pod Warszawę i tam się z ludźmi uczciwymi porozumieć. Ale że nie mam tutaj takiego człowieka, cobym się we wszystkiém mógł na niego spuścić, więc was Janie proszę, abyście z nim pojechali. Dam wam moje konie, paszport wyrobię, odwieziecie go i wracając zabierzecie listy od niego do mnie. Wy zaś sami rozpatrzyć się możecie między tamtejszym ludem, jak oni tam myślą i czy się do czego garną.

Nie namyślałem się ani na chwilę, tylko powiedziałem, że dobrze. Naradziłem się jeszcze z Tadeuszem jak i co; — poszedłem do chałupy i zrobiłem sobie zaraz na drogę zawiniątko z dwóch koszul. Wychodząc z domu z zawiniątkiem pożegnałem się z kobietą i powiedziałem, że idę parę mil za Poznań po konia, com go sobie na targu upatrzył, żeby się nie kłopotała, choć tak zaraz nie wrócę.

W Białczyńskim lesie czekali już na mnie Tadeusz z tym drugim, co go będę nazywał Pan Władysław. Dwa konie stały zaprzężone u powoziku. Wsiedliśmy z tym Władysławem i ruszyliśmy w świat. Jechało się bodaj nie pięć dni, ale mnie się wydawało jakby to jeno pięć godzin było, bośmy na drodze wciąż gadali o bardzo rozmaitych rzeczach. Nasłuchałem się tam wiele nowości i pouczyłem się jeszcze lepiéj, jak sobie z ludźmi

postępować, kiedy się ich do zmowy i przysięgi bierze.

Nakoniec stanęliśmy w téj wsi, do któréj Władysława odwoziłem.

Drugiego dnia przyszedł Władysław do mnie do stajni i widząc żem samiuteńki, wydobył butelkę wina, bocheneczek białego chleba, garneczek świeżego masła i spory kawał pieczeni. Markotno mu wszelako było, że mnie to nie mógł wziąść z sobą do pokojów dworskich, ażeby tamtejsi ludzie się nie zmiarkowali, com za jeden i że to ja z panami razem siedzę.

Rozpatrywałem się pomiędzy tamtejszym ludem, wypytywali mi się wiele, widząc żem z daleka przyjechał, jam ich się też o wszystko podpytywał, alem nie bardzo był kontent; bo jeżeli u nas wiele jest ludu ciemnego, to tam pod Warszawą jeszcze ciemniejsi.

A lud okropnie niedowierny. I kiedym im po trosze napomykał o Polsce i o tém, jakby w téj Polsce potém było, to potrząsali głową i mówili: Gdzieby nam tam było lepiéj! Szlachta by nas uciemiężała tak jak teraz. Ale znowu nie wszyscy byli tacy, bo znalazłem drugich co te rzeczy tak miarkowali, — jakoli ja; tylko okrutnie ostrożni i dopiero mi dowierzali jak im Władysław za mnie poprzysiągł. Żyjąć oni tam jeszcze i pracują na chwałę Boga i Polski.

Za kilka dni dał mi Władysław listy, pożegnał się ze mną serdecznie, — dał pieniędzy suto na po-

dróż. Pobrałem się więc i jechałem ku domowi, bo niedługo też mieliśmy rozpocząć.

Co się od tego czasu stało, toć wszystkim wiadomo. Pokręciły się szyki, bo nie było jeszcze wszędy między ludem należnego przygotowania; lud spał jak zawsze.

Aleć nas przecież Pan Bóg nie opuścił, bo znowu duch dobry w serca polskie wstąpił i na nowo trzeba rozpocząć, czego się za pierwszą razą nie dokończyło.

Co się nas tyczy, rzecze Grzegorz, nie zaśpiemy pewno gruszek w popiele i byle tylko w całéj Polsce tak się starano, jak my się tutaj starać będziemy, to wnet stanie Polska pod bronią i zaświeci nieprzyjacielowi piorunem w oczy.

Jeżeli tak mówicie, miły Grzegorzu! to niech wam Bóg da zdrowie! mówił Janek. Ja mego brata tutaj już pouczyłem, jak trzeba począć ze zmową, ale on to wie, bo was tu już przed mojém przyjściem ksiądz dobrodziej pouczył. Róbcie tu swoje, jak możecie i dajcie nam potém też trochę znać, jak u was rzeczy idą.

Mnie się spieszy do domu, do gospodarstwa, więc się też muszę pobierać. Tadeusz czeka na mnie w Wrocławiu z końmi, dla tego bawić tutaj dłużéj nie mogę.

Ksiądz proboszcz poszedł do drugiego pokoju a wyniosłszy pudełko dosyć duże, rzecze:

Wczoraj odebrałem tutaj książeczki. Nader ślicznie w nich jest sprawa Polska wyłożona; wszystko z czcią Boską a uczciwie. Są to: Słowa

Boże! Zabierz Janku z sobą w Poznańskie kilkanaście takich książeczek, a wiem, że się każdemu uczciwemu człowiekowi u was serce rozraduje, jak taką książeczkę przeczyta.

Janek podziękował księdzu proboszczowi za to i wziął pudełko z książeczkami.

Podnieśli się wszyscy z miejsc. Janek z każdym z osobna serdecznie się żegnał. Grzegorz stary położył drżące swoje ręce na jego głowę i błogosławił mu jako prawemu synowi Matki Ojczyzny. Ksiądz proboszcz po łacinie się modlił, aby Pan Bóg Janka szczęśliwie zawiódł aż do domu.

Oddalili się wszyscy. Ksiądz proboszcz wyszedł na próg i tak długo patrzał za nimi, póki ich całkiem z oczu nie stracił.

